

Historia tak prawdziwa, że trudno ją zapomnieć.



GÓ RA

ANNA DZIEWIT-MELLER

TAJ GET

Anna Dziewit-Meller

GÓRA TAJGET

Wielka Litera
17 lutego 2016

J

Moim dziadkom i moim dzieciom

*Więc ojciec syna w ramionach swych skrył
I konia ostrogą popędził co sił.
Nie wiedział, że syn skonał mu już
W tym głuchym lesie wśród olch i brzóz.*

JOHANN WOLFGANG GOETHE

Król olch,

(przeł. Wisława Szymborska)

Dej mi pokój, dej pokój, łostow mie, dioble. Bo ty żeś dioboł, choć bioły. Jo nie poradza już dychać, już mie bieróm, już mie rozrywajóm na drobne, na skrowki, we piersiach mie poli żarym, jynzyk sie robi napuchły i strzimać już nie moga bólu, kiery żeś mi prziniós, jakżeś mie ciepnoł bez tyn króng z łognia. Widza ich małe twarziczki, patrzóm na mie choby zza jakiej biołyj gardiny, a to zza zosłony dymu patrzóm, bo to jo sie pola, jo skwiercza jak wieprzek na łogniu. I widza, jak się kładóm jedyn łobok drugigo, za rynce sie chytajóm i cicho płaczą, coś szeptajóm, ino jo ich już niy moga usłyszeć, bo mój własny ryk zagłuszo wszystko. Nie poradza już nic, zamykóm łoczy i skacza w dół, w tyn piekielny jynk i czorno przepaść bez dna.

Sebastian

Sebastian Kowolik z trudem otwiera oczy. Widzi przed sobą rząd pustych butelek, przewrócone szklanki, pety wciśnięte w kanapki z szynką, wrzucone do kieliszków do połowy wypełnionych jeszcze winem. Widzi tłący się dym, który wydobywa się z wazonu stojącego na stole. Ledwo kojarzy fakty – coś przyplywa, coś odpływa, obrazy przenikają się i kręcą jak fryga dookoła jego głowy. Zatrzymałby chętnie tę karuzelę i wysiadł, ale najwyraźniej to teraz niemożliwe. Wymioty podchodzą niebezpiecznie blisko gardła. Czuje, że to będzie przegrana walka, więc nachyla się nad wazonem, z którego wciąż coś się kopci i chlusta rzygowinami. Ociera kantem dłoni usta i wydaje mu się, że chyba czuje się odrobinę lepiej. Opiera się z ulgą o krzesło i zaczyna robić bilans wieczoru.

Oto więc został ojcem.

– Nie urodzi pani tego kolosa naturalnie, mówię pani, że to się i tak skończy cięciem – mówi im lekarz, patrząc na czarno-białe kształty majaczące im na ekranie w ostatnim przed porodem USG. – Najpierw będzie się pani męczyć godzinami, po to żebyśmy i tak panią pocięli. Po co ryzykować.

No tak, przecież nie będą ryzykować. Doktor każe Karolinie się wytrzeć, ubrać i usiąść, a potem roztacza przed nimi widma dzieci uduszonych pępowiną owiniętą wokół szyi, niedotlenionych w kanale rodnym, z porażeniem mózgowym, leżących miesiącami w inkubatorach. Sebastian trzyma żonę za rękę pod stołem. Kobieta ma lodowatą dłoń.

– Aha. – Kiwa głową, patrząc na ruchy warg doktora – No tak. Faktycznie.

We wskazanym dniu jadą do szpitala na cięcie. Kiedy siedzą w Izbie przyjęć, wśród stękających z bólu rodzących, czekających na znieczulenie, czują się obydwójce nieswojo. Jakby przybyli tam, na te fotele w pleksi, z innej planety. Jakby czekali na operację wyrostka. Jakby ich poród był niżej w hierarchii ważności wszystkich planowanych tego dnia porodów świata. Karolina chwyta go za ramię

– Sebek, kurcze, myślisz, że my dobrze robimy z tą cesarką?

– No przecież lekarz mówił. – Sebastian mocno w to wierzy. Komu ufać jeśli nie służbie zdrowia?

Lekarz dyżurujący tego dnia na porodówce wyjmując kilka godzin potem z brzucha Karoliny ledwie trzykilogramowe dziecko. Sebastian, który asystuje przy cięciu, obserwując wszystko z miejsca wyznaczonego dla ojców za szybą w kącie sali operacyjnej, jest zdumiony.

– Trzy kilo? To jest kolos?

Dają mu ją potrzymać, kiedy chirurg zszywa brzuch żony. Jest oszołomiony jak po mocnym uderzeniu w głowę. Trzęsą mu się ręce. Pielęgniarka śmieje się, widząc jego nieporadność.

– Pierónie, chopy, pod ziemia sie nie boicie jechać i fedrować, a dziecka nie poradzicie na rynce wzióńc. Sebastian protestuje.

– Ja pod ziemię nie jeżdżę.

Pielęgniarka tylko wzrusza ramionami i zostawia go sam na sam z krzyczącym dzieckiem. Delikatnie odkłada ją do plastikowej kuwetki na kółkach, w której mu ją przywieziono. Dziewczynka przestaje krzyczeć i zapada w sen.

Poziom alkoholu we krwi Sebastiana, który właśnie dochodzi do siebie po integracji towarzyskiej z kolegami, z okazji narodzin pierworodnej, zaczyna powoli opadać. Sebastian wpada nagle w przygnębienie. Zamyka oczy i z oczami zamkniętymi widzi siebie, jak wczoraj w tłumie kolegów podnosi do ust kolejny kieliszek wódki, by opić zdrowie córki, i wtedy dookoła jego nóg zaczyna widać się mgła tak gęsta, że nie może poruszyć palcem w bucie, mgła trzyma go w uścisku żelaznym, opływa go jak roztopiona stal, trzyma w dybach, odbiera mu dech z piersi. Koledzy przepijają do siebie, a on doświadcza ataku paniki, jakiego nie znał nigdy dotąd. Przed oczami ma zaciśnięte piąstki swojej córki i drży jak olchy na wietrze.

Na to wspomnienie przez dobrych parę minut Sebastian siedzi z głową schowaną w dłoniach. Znow nie wie, co się z nim dzieje, czuje się słaby i mikry. Wydaje mu się teraz, że wyrosła przed nim niebosiężna góra, na którą będzie musiał toczyć wielki głaz, a przecież nie ma sił. Ten lęk pojawia się znikąd i siada mu na piersiach, jak wyliniały lew, który swoim cielskiem przygniata wrywającą się ofiarę. Sebastian nigdy nie bał się tak bardzo. Ale może to tylko wpływ alkoholu, który płynie wartko przez tętnice.

Bo czuje się wciąż bardzo pijany. Stara tradycja, która każe ojcu na cześć narodzin dziecka nachlać się do nieprzytomności. Ten paradoks – ona leży w szpitalu ze zszytym czarną nicią brzuchem, z moczem spływającym rurką cewnika do worka, z kroplówkami pełnymi soli fizjologicznej do nawadniania wbitymi w źle założone wenflony, niemogąca się podnieść o własnych siłach, tradycyjnie porzucona przez niesłyszące niczego położne ukryte dobrze

w swojej kanciapie na końcu korytarza, i on leżący w domu na łóżku, wśród gruzów znakomitej imprezy, jaka za nim. Współczucie – ty cierpisz i ja cierpię.

Sebastian wychodzi na balkon, żeby trochę ochłoniąć, mijając po drodze rzucone na podłogę serwetki i puszki po piwie. Wciąż mroźne powietrze marcowe przesycone jest zapachem palonego miału, śmieci, opon – wszystkiego, czego okoliczni mieszkańcy używają przez całą zimę do palenia w piecach. Przez okolicę snuje się szaro-czarny smog, przenikający z każdym głębszym oddechem do płuc, a stamtąd do krwi. Wdycha przez dłuższą chwilę tę trującą mieszankę metali ciężkich i tlenku węgla, patrząc na słońce, które zza toksycznej mgły świeci bladym światłem. Wyjmuje z kieszeni bluzy paczkę papierosów. Wyjmuje jednego i wkłada do ust.

Wychodzi z klatki i rusza zacięną stroną ulicy w stronę szpitala położniczego. Ceglany mur kamienic tu i ówdzie jest odnowiony. Wiele budynków jednak niszczy. Odpadają z nich fragmenty secesyjnych dekoracji, zabytkowe ozdobne balkony zamieniają się w graciarnie, na których trzyma się niemieszczące się w domach sprzęty, szyby okien pokryte są czarnym nalotem, zza którego trudno rozpoznać barwy zasłon i firanek. W bramach stoją równie podniszczeni ludzie, trudniący się zbieraniem złomu, których Sebastian wyprzedza nieraz samochodem, kiedy ciągną wózki wyładowane starymi pralkami, rurami i Bóg wie czym. Są jak trójkonne zaprzęgi. Jeden zawsze ciągnie, dwóch trzyma po bokach, żeby się im po drodze nie pogubiło to wyszukane na hasiokach bogactwo. Zazwyczaj są chudzi i żyłaści, w nieokreślonym wieku, z połamanymi w bójkach nosami, z przepitymi oczami, z historią wielu pokoleń syndromu alkoholowego wypisaną na brzydkich twarzach. W oknach wiszą oparte o poduszki ich żony, z włosami spalonymi na biało lub czarno tanią farbą, pomarańczowe od samoopalaczy albo blade z głodu, w zależności od faz księżycy i podaży złomu na mieście. Na placach gdzieś w głębi bawią się ich dzieci, te zawsze najmniejsze w klasie, w podartych ubraniach, z niebieską kartą w niebieskiej linii, co je pod koniec podstawówki pchali już wszyscy na siłę, byle ich przepchać do gimnazjum i pozbyć się kłopotu a i nieraz wszy. Skaczą z dachów chlewików na podwórkach, grzebią patykami w czarnej jak smoła ziemi, huśtają się na tych trzepakach, których jeszcze nikt nie ukradł na złomowisko. Ich ojcowie kradną prąd, podłączając się do przewodów na klatkach schodowych, co czasem kończy się wielkim pożarem i trupami wywożonymi w czarnych workach, a matki palą w piecach byle czym, co czasem też kończy się podobnie, kiedy tlenek węgla zabija ich wszystkich we śnie. Wtedy tylko w MOPS ie

ktos stawia podpisy w odpowiednich miejscach w odpowiednich teczkach i uwalnia środki finansowe, które mogą trafić w inne wyciągnięte brudne ręce. Czarne obwódki za paznokciami kiedyś świadczyły o tym, że się miało pracę, zarabiano pod ziemią i wydawało się za złotymi frankami. Teraz czarne obwódki świadczą o tym, że człowiek gnije za życia, i o niczym więcej. Sebastian patrzy spode łba na mijanych ludzi o szklistym wzroku. Oni jednak go nie zauważają zamroczeni swoim ulubionym jabcokiem, stoją chwiejąc się lekko w przód i tył, mamrocząc coś do siebie w sobie tylko znanym narzeczu, w języku będącym mieszanką śląskiej gwary i mowy osób nieistniejących. Są jak cienie zaginionych przodków, zjawy z najniższych pokładów kopalni, które ktoś przypadkiem wywiózł razem z ostatnim wagonikiem węgla na powierzchnię. Rozpierzchły się wtedy po okolicy w popłochu jak wypuszczeni ze szpitala wariaci i biegają teraz samopas, przybierając coraz bardziej spotworniałe formy.

Sebastian idzie w stronę szpitala, przez poranną mgłę i dym z kominów, przez miejski park. Jego sylwetka widziana z perspektywy ulicy staje się coraz bardziej zamazana, traci swoje kontury i barwę, aż w końcu Sebastian całkowicie znika w białoszarej poświacie, jak duch, który właśnie przeszedł przez ścianę.

A zatem pytam każdego z was. Czy wyrzekasz się grzechu, aby żyć w wolności dzieci Bożych?

Wyrzekam się.

Czy wyrzekasz się wszystkiego, co prowadzi do zła, aby cię grzech nie opanował?

Wyrzekam się.

Czy wyrzekasz się szatana, który jest głównym sprawcą grzechu?

Wyrzekam się.

Czy wierzysz w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi?

Wierzę.

Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, Pana naszego, narodzonego z Maryi Dziewicy, umęczonego i pogrzebanego, który powstał z martwych i zasiada po prawicy Ojca?

Wierzę.

Czy wierzysz w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, obcowanie Świętych, odpuszczenie grzechów, zmartwychwstanie ciała i życie wieczne?

Wierzę.

Złote szaty księdza szeleszczą, ministranci się uwijają, małe główki w białych czapeczkach zostają odkryte i już raz-raz, zimna woda święcona, krzyżmo święte i światło Ducha Świętego

zstępują na poczęte z grzechu istoty, które krzyczą unisono, a ich głos niesie się wokół jak smętna pieśń.

Sebastian Kowolik z rodziną stoi teraz w ciasnej kruchcie kościelnej, bo na zewnątrz leje wiosenny deszcz, majowa burza rozpętała się nad drewnianym kościołem na wzgórzu, pioruny grzmia, jakby sam ksiądz ciemności miotał się po niebie, wygoniony przed chwilą z tych małych duszyczek. Sebastian trzyma na rękach córkę i milczy, choć dookoła pobrzmiwa gwar rozmów. Przechodzi ksiądz, u którego Sebastian był się wyspowiadać. Sebastian spuszcza wzrok. Trudno udawać, że przyjemne jest opowiadanie o sobie obcemu facetowi po drugiej stronie kraty. O tym, co się robi i co się myśli. Kiedy się spowiada, przychodzi mu do głowy myśl, by podzielić się z księdzem lękiem, który urodził się razem z jego dzieckiem.

Ksiądz mówi: „Ochrzczisz ją, synu, i szatan zostawi waszą rodzinę w spokoju, a twoje serce stanie się spokojne”. Ale już w chwili, gdy odchodzi od konfesjonału, Sebastian wie, że to nieprawda. Bo nigdy nie przestanie się o nią bać.

Apteka, którą odziedziczył po ojcu, znajduje się tuż obok szpitalnego kompleksu, w niezbyt ładnym budynku. Z jej okien widać bramę do szpitala, przez którą wyjeżdżają karetki, wchodzą pacjenci, wychodzą lekarze, w kurtkach i płaszczach narzuconych na białe kitle, a pielęgniarki w czepkach palą papierosy za bramą, bo na terenie szpitala obowiązuje ścisły zakaz, i masywne chodaki, które kiedyś szpital dostał w przydziale, toną w kałużach. Od prawie trzydziestu lat Sebastiana zaprzęta myśl o tym, czy one mają pod tymi fartuchami bieliznę, czy są nagie. Majtki pewnie mają, ale czy biustonosze? To jego pierwsza konkretna fantazja erotyczna. Kiedy przychodzi do ojca po szkole, siada przy oknie, połykając smakujące jak pierwsza komunia opłatki – zastępcze opakowania do leków robionych w aptece na zamówienie – i patrzy przez to okno na pielęgniarki w białych albo zielonych fartuchach, pod którymi wyraźnie rysują się duże piersi, krągłe pośladki. Myśli sobie wtedy o tym, jak łatwo jest zedrzeć to ubranie jednym zdecydowanym szarpnięciem. Dochodzą go przecież strzępki rozmów rodziców o romansach na dyżurach, o zdradach, rozwodach kolejnych lekarzy. Przez cały okres dojrzewania wyobraźnia podpowiada mu obrazy bezeceństw, do jakich dochodzić musi w starych szpitalnych murach. Szpital jest dla niego od zawsze miejscem, które jak żadne inne kojarzy się z cielesnością, i to nie dlatego, że ciała są tam wystawiane na widok publiczny, upokarzane wenflonami, kaczkami, wlewami i jodyną, ale ze względu na seksualny potencjał nocnych dyżurów, pielęgniarek przysypiających na wąskich kozetkach, lekarzy spędzających wiele nocy poza domem, lekarek

niemogących ułożyć sobie życia rodzinnego, pacjentów i pacjentek psychiatrycznych, o których słyszał najdziwniejsze historie powtarzane przez kolegów ze starszych klas – tej całej medycznej menażerii naładowanej emocjami, których trudno się pozbyć wraz z odwieszeniem kitla na wieszak w kanciapie.

Sebastian jednak nigdy nie zaznaje uroków erotycznego życia szpitala. Gdy zostaje kierownikiem apteki, ojciec mówi mu: „Być na swoim, Sebastian, to jest znacznie lepsze”. Ojciec wie, co mówi, przepracował parę lat w jednej takiej szpitalnej aptece, zaopatrując oddziały w leki. „Układy, układziki, Sebastian, tylko to się tam liczy. Zostawiam ci aptekę, żebyś nie musiał się nikomu w pas kłaniać”. Ojciec Sebastiana kończy studia wyższe, bo jego z kolei ojciec pewnej bezsennej nocy przyrzeka sobie solennie, że nie da dziecka zmarnować pod pokładami węgla, w wybuchu metanu, pochowanego na zawsze setki metrów pod ziemią. Ta noc przychodzi po dniu, kiedy na jego zmianie maszyna górnicza obcina głowę dwudziestoletniemu sąsiadowi, Zeflikowi, który właśnie miesiąc wcześniej ożenił się ze swoją lipstą.

I tak oto głowa ojca Sebastiana, a potem i Sebastiana unikają losu głowy nieszczęsnego Zeflika, któremu ją przyszywają w zakładzie pogrzebowym, bo nikt się nie waży pokazać inaczej ciała zrozpaczonej matce.

Zeflik bez głowy nieraz przychodził we śnie do małego Sebka, ten sen nawiedzał go regularnie, nigdy nie dając zapomnieć o makabrycznym wydarzeniu sprzed lat.

Farmacja, kraina trucizn i odtrutek, odczynniki, proszki, receptury – Sebastian lubi swoją pracę, bo czuje się częścią tej wspólnoty, której praca ma głęboki społeczny sens. Leczy ludzi, ratuje życie, nie tworzy niepotrzebnych bytów – tak o sobie myśli, porównując się z kolegami z liceum, którzy obejmują urzędy w spółkach górniczych, działają w marketingu albo piszą do gazet. Leki ułożone w odpowiednich przegródkach, sterylność czystości zaplecza, białe, pachnące świeżym praniem fartuchy, opary i wyziewy chemikaliów, atomy najróżniejszych substancji, uwalniające się do atmosfery i wdychane przez pracowników apteki – tak, to jest żywioł Sebastiana.

Idąc do pracy, zostawia teraz w domu żonę i córkę. Czuje się za każdym razem, jakby wychodził nie z mieszkania, ale z miękkiego kokonu, w którym toczy się inne życie, życie o smaku mleka, o zapachu żółtej kupki, o konsystencji fałd na wciąż rozdętym ciężą brzuchu żony, miękkie, o zatartych konturach, pozbawione intensywnych kolorów. Zamyka za sobą drzwi, jakby zaklejał pszczelim woskiem wejście do ula, by nie wypuścić nikogo na świat i by świata nie wpuszczać do środka. Zanim wyjdzie, stoi zawsze nad kołyską, gdzie cicho posapuje dziewczynka

ochrzczona dwójgim imion Małgorzata Janina, o włosach zrudziałych nieco i intensywnie niebieskich oczach, której główka mieści mu się na dłoni. Wzdycha i wychodzi na świat. Zatykając szczelnie pozostawiony po sobie otwór.

Nie chce, by dotarły tu wiadomości o matce, co udusiła dziecko gumką do włosów, ani o tej, co utopiła noworodki jak kocięta i zakopała pod kamieniem, ani o tej, co zawierzyła znachorom i karmiła córkę ziołami tak długo, aż ta zmarła z głodu, ani o tej, co oddała dziecko na lekcję wychowania do konkubenta, który pasem z klamrą zatłukł sześciolatka na śmierć. Nie chce, by było słyhać o wypadkach komunikacyjnych, w których giną rodzice, a dwójka trzylatków zostaje sama na bożym świecie. Pijane matki podają noworodkom piersi pełne alkoholu, pijani ojcowie gwałcą swoje roczne córki, pijani wychowawcy nie widzą, jak w domach dziecka wychowankowie gwałcą się wzajem. Sebastian nie chce, by dotarła tu wiedza o podejrzietych gardziołkach małych Syryjczyków ani o małych trupkach chrześcijańskich dzieci w Iraku. Gdyby mógł jakoś ukryć przed ich wzrokiem zdjęcia topielców w czerwonych krótkich spodenkach, z czarnymi włoskami okalającymi śliczne małe buzie lub zaplecionymi w warkoczyki, które delikatnie poruszają się w rytm przyływu śródziemnomorskich ciepłych fal. Boi się nawet tego, że w domu usłyszą o tym chłopczyku, co nocą w piżamce wyszedł z domu, ciekawy świata, i nad ranem go znaleźli zahibernowanego nad rzeczką. Sebastian jak tampon nasiąka tymi historiami, wyłapując je, jak miotełka cząsteczki kurzu w powietrzu, i czuje, że jest opasły od tych historii, że nie umie ich strawić i wydalić, tylko je zatrzymuje, tak jak tama na rzece zatrzymuje całą szumowinę płynącą od źródła po ujście. Boli go od tego i głowa, i serce, gdy patrzy na małe paluszki Małgorzaty Janiny.

Myśli też czasem o Zefliku, co mu głowę obcięło, i o jego matce, bo ta historia jest jak legenda, opowiadana co roku we Wszystkich Świętych. Zeflik i dziadek leżą niemal grób w grób. Ta opowieść kształtuje myślenie Sebastiana o pracy pod ziemią. Nigdy nie zjedzie na dół, będzie sobie mówić, że on woli białe fartuchy niż czarne twarze. Choć czasem, jeszcze za bajtla, zapatrywał się nieraz na kręcące się koła kopalnianych szybów, jak obracają się prędko, ciągnąc węgiel na powierzchnię. Jeden wagonik do góry z węglem, a jeden na dół z umarłym – taki miał sen którejś nocy. „Chcecie polić wónglym w piecu, ja? To dowejcie mi tu dusze, a ino wartko, bo mie sie tu już ckní stoć na tym pierońskim mrozie” – mówi do małego Sebastiana brodaty człowiek z lampą w dłoni, więc Sebastian się budzi z krzykiem, a potem ma przez trzy dni gorączkę i matka go zatrzymuje w domu, i nie każe iść do szkoły. Być może to ta kopalnia

widziana z okna winna jest nawet jego klaustrofobii. Sebastian nie potrafi spać w zamkniętym śpiworze – czuje niemoc w kończynach, dusi się i miota, dopóki nie otworzy suwaka.

Ostatnio w ogóle dużo myśli o tym, że zwariował. Bo kiedy tylko żona z córką meldują, że są na spacerze, on natychmiast zachęca je do powrotu, mając wizję ot, choćby rozpedzonego samochodu – kierowca schyla się po telefon, wpada w poślizg i wbija jego żonę i córkę w ścianę budynku, obok którego przechodzą. Tak, coraz bardziej obawia się, że jest pomyłony, bo nie potrafi się uwolnić od obsesyjnych myśli o wypadkach, zachłyśnięciach, raku mózgu, białaczce, o tym, że on zginie, a one zostaną, z kredytem na trzydzieści lat i bez środków do życia, że zginie ona, a jemu nie uda się samotne ojcostwo i córka skończy jako kurwa albo narkomanka. Sebastian, odkąd został ojcem, najbardziej boi się śmierci. Że zapuka do ich drzwi, że załomocze nad ranem i coś mu odbierze. Życie, żonę, dziecko. Te lęki krążą jak czarne ptaki wokół jego głowy i kraczą mu do ucha pieśni żałobne, widzi w snach konduktory idące starym zwyczajem spod jego domu na cmentarz, tylko skład się zmienia i trumna raz duża i brązowa, a raz maleńka i biała w tym śnie.

Tej nocy znowu śni mu się pogrzeb, a na nim stare kobiety w śląskich strojach, tych czarnych, co je zna ze starych fotografii. Mają włosy jak babka Agnieszka – zaplecione w warkocz, z których robią koczki za pomocą mnóstwa wsuwek.

Sebastian opowiada o tym śnie swojej pracownicy, która robi właśnie porządek w papierach i starannie układa zrealizowane recepty.

– Sebastian, no co ci poradzę, tak jest – mówi mu sympatyczna techniczka Kasia, podnosząc głowę znad pliku papierów. – Ja się też ciągle boję o moje dziecko.

A potem dodaje, że wymyśliła metodę na ten strach – pozwala wyobraźni, by podsuwała jej najgorsze scenariusze, bo wierzy mocno, że to, co wymyślone, już się nie zdarzy, że to zbyt mało prawdopodobne.

Sebastian uznaje w duchu ten pomysł za głupi. Uważa, że jest dokładnie odwrotnie.

A teraz jest lato i rodzina Sebastiana chodzi wspólnie na przechadzki po mieście. Pchają przed sobą wózek z bystrą małą dziewczynką, która nauczyła się już śmiać w głos i zatrzymuje swoim śmiechem przechodniów, gotowych zaglądać do wózka i grzać się tym ciepłem bezinteresownej pierwotnej radości.

Sebastiana zatrzymuje na ulicy pod kościołem jego dawny nauczyciel z liceum. Pyta o zdrowie, pyta o kondycję, zagląda do wózka i szczebocze przez chwilę do dziecka.

– Słuchaj – mówi – ja mam do ciebie wielką prośbę. To jest sprawa richitig poważno – powiada – ty jesteś człowiek szanowany w mieście, ciebie i tobie podobnych bym potrzebował.

Sebastian jest ciekaw, co to za sprawa, więc nauczyciel dołącza do nich i idą dwa kroki za Karoliną, która tymczasem przejmuje wózek i pcha go przed sobą.

Nauczyciel jest już stary, bo stary był już wtedy, kiedy Sebastian był bardzo młody, więc teraz jest naprawdę wiekowy, ma łysą czaszkę i zapadłe policzki, i rzadki szczeciniasty zarost, który nadaje mu wygląd osoby niechlujnej i zaniedbanej. Ale Sebastian zawsze go lubił, choć z jego lekcji fizyki wynosił niewiele i brał korepetycje, żeby zdać na studia.

– Sebastian, masz dziecko, to już wiesz, jak to jest – mówi nauczyciel, a Sebastianowi się nagle pojawia w głowie jakiś obraz, jakby dmuchnął ciepłym powietrzem na zamrożoną szybę, przypomina sobie, że nauczyciel traci w wypadku kolejowym dorosłego już syna, któremu pociąg obcina nogi, a jak umiera po trzech dniach, to całe miasto jest na pogrzebie, a jego własny ojciec po tym wydarzeniu zabiera go pierwszy raz w życiu na bardzo długą wycieczkę rowerową do lasu i rozmawiają wtedy o tym, jak by to było fajnie kupić auto, gdyby były pieniądze. – Wiesz, jak to jest, bo już masz dziecko – powtarza nauczyciel. – Wiesz, co to znaczy naprawdę się bać.

Sebastian kiwa głową w milczeniu i czeka.

– No to chodź ze mną na radę miasta, bo ja chcę tym dzieciom pomnik wystawić – mówi nauczyciel i zatrzymuje Sebastiana, chwytając go swoją chudą żylastą dłonią. – Już tyle lat minęło, a one pomnika żadnego nie mają. Szpital sprzedał ten budynek. Hotel tam teraz budują, a tablicy nie dadzą.

Sebastian nie bardzo wie, o czym nauczyciel mówi. Usiłuje przyporządkować jego słowa do wiedzy, którą posiada. Dzieci... dzieci... nie, nic nie przychodzi mu do głowy.

Nauczyciel ściska boleśnie jego dłoń i szepcze:

– Dwieście, bez mała dwieście ich było, Sebastian. I ani śladu, ani tablicy, nic. Chodź ze mną na radę miasta, to trzeba głośno powiedzieć, co to za miasto, że niewinnych dzieci z honorem pochować dobrze nie potrafi. Co to za wolny kraj.

Nauczyciel nagle puszcza jego dłoń i oddala się bez pożegnania. Sebastian przystaje i patrzy za nim zdziwionym wzrokiem.

Chyba staremu się już pomyliło ze starości – myśli.

Zapomina wkrótce o starym i o dzieciach, bo trudno nie zapomnieć, kiedy własne dziecko nocą nagle budzi się z krzykiem i nie chce już przestać krzyczeć, tylko skarży się głośno na swój los, a jego ciałem wstrząsają dreszcze i rośnie gorączka.

Szpital dziecięcy, miejsce pełne niezawinionych zgryzot. Matki i ojcowie, leżący pokotem na ziemi, na dmuchanych materacach i cienkich karimatach, niedomyci i udręczeni, przemykający jak cienie pod ścianami, w strachu o to, by nie narazić się na gromowładne spojrzenia personelu. Co jednak począć ze sobą, jeśli dziecko jest małe i nie chce zrozumieć, że lepiej byłoby dla pielęgniarki, gdyby zostało tu samo, bez pałętającej się ukradkiem, histerycznej matki.

Sebastian i Karolina koczują w szpitalu na zmianę, dopóki Małgosia, otoczona rurkami kropłówek, musi tu pozostać. „Proszę się odsunąć, proszę zrobić miejsce, nie teraz, nie w tej chwili, będzie obchód” – zniecierpliwione głosy służby zdrowia kłują jak osty.

Jeszcze chwilę wcześniej szanowani obywatele, po przekroczeniu progu szpitala stali się zawalidrogami, irytującym dodatkiem do chorego dziecka. Na korytarzu całą noc pali się mocne jarzeniowe światło, dzieci przykrywają buzie kołdrami, by zasnąć, pocą się i płaczą.

Sebastian wraca na oddział, żeby zwolnić żonę. W sali, w której leży Małgosia, jest jeszcze dwoje dzieci. Przy jednym, tak jak przy ich córce, przez okrągłą dobę koczuje matka na karimacie. Nosi chłopczyka na rękach, tuli, śpiewa mu kołysanki, gdy nie chce zasnąć, wyklóca się z pielęgniarkami, domaga się dokumentacji medycznej, grozi prawnikami i pozwami. Namawia Sebastiana do wspólnej walki. „Panie, to jest gorsze niż obóz, jak oni nas tu traktują, jak śmieci! Ale ja się nie dam, ja ich wszystkich zaskarżę, za utrudnianie. Konowały” – piekli się, a Sebastian mimowolnie przyznaje jej rację po tym, jak trzeci dzień z rzędu jest zbywany przez siostrę oddziałową.

Drugie dziecko zaś jest zupełnie samo. Odkąd są w tym szpitalu, a to już trzecia doba, nikt do dziecka nie przychodzi. Jest wyobcowane, otoczone surowymi głosami lekarzy i pielęgniarek. Sebastian, widząc wzrok tej dziewczynki, śledzący jego czułości z coraz lepiej czującą się córeczką, tężeje i niemal odskakuje od własnego dziecka. Dziewczynka jest po operacji, bardzo cierpi i płacze. Całkiem sama w swoim łóżeczku. Ma jasne włoski, kręcące się wokół piegowatej buzi, i za małą piżamkę, której rękawy kończą się w połowie łokcia. Na stoliku obok łóżka leży książeczka, której nikt jej nie czyta. Pielęgniarka wzrusza ramionami i mówi, że dziecko jest z sierocińca, więc trudno, żeby ją ktoś odwiedzał, dom dziecka interesuje się nią w stosownym zakresie. Po zmianie opatrunku i wymianie worka cewnikowego głaszcze dziewczynkę po

głowie. Dziecko zapada się w sobie i już nie szlocha. Sebastian mówi do Karoliny, gdy ta przychodzi go zmienić, że nie powinni tak bardzo okazywać uczuć Małgosi przy tym samotnym dziecku. Karolina puka się w czoło. „Oszalałeś?”

Sebastian jednak odczuwa palący wstyd. Nie do końca wie, za kogo się wstydzi. Na swoją następną zmianę przynosi dziewczynce pluszowego tygrysa. Dumny z siebie, niesie ten pakunek owinięty różowym papierem w koniki Pony, wie, że to teraz bardzo modna kreskówka wśród małych dziewczynek.

Jednak kiedy wchodzi do sali, widzi, że na łóżeczku naprzeciw jego córki siedzi mały chłopczyk. A przy nim tata, który przemawia do dziecka spokojnym głosem, objaśniając, co będzie się działo na sali operacyjnej.

Sebastian zmieszany wita się ze wszystkimi. Karolina karci go. „Po co jej kolejna zabawka, daj spokój”. Sebastian kładzie tygrysa na krzesło i macha ręką. „Daj spokój”.

Jest naprawdę upalne lato, słońce wdziera się do domów przez najmniejszą szparę w zasłonach, wentylatory szumią jednostajnie. Sebastian wraca z pracy i siedzi na balkonie ze szklanką zimnego piwa, nogi wyciągnął przed siebie, czeka na żonę, aż do niego dołączy w tym wieczornym rytuale, kiedy tylko ułoży dziecko do snu. Patrzy na ulicę i widzi dzieci sąsiadów, jak się bawią zdalnie sterowanym autem.

– Nie larmujcie tak, pieróńskie podciepy – woła do nich z okna na parterze matka – bo wam zabiera te auto i tyła wóm z tego gizdowania przijdzie.

Kobieta wychyla się i opiera swoim legendarnym na dzielnicy wielkim biustem o czerwony parapet, pijana w trzy dupy, jak każdego wieczora. Sebastian ogląda dzień wcześniej w telewizji film o slumsach w Bombaju. Mówi do Karoliny: „Jak naprzeciwko” – wskazując głową w kierunku familoka z poczerniałej od brudu cegły. W środku klatka schodowa z drewnianymi schodami, które są tak pełne dziur, że po ciemku strach po nich iść. A ciemno jest często, bo żarówki kradną. Na półpiętrze sracze, wspólne dla czterech mieszkań. Zamykane na klucz, nieogrzewane zimą. Dupa przymarza do deski, jak mróz zetnie. Jak ci się chce srać, musisz wyleźć z chałupy. I modlić się, żeby akurat sąsiad nie srał. Bo w domu nie masz kaj się wysrać, a szczasz do wiadra, i rano po nocy zlewasz te szczyny. W dwudziestym pierwszym wieku. W Polsce, w Unii Europejskiej, w otoczeniu zwykłych domów z łazienką i wanną w mieszkaniach. Kobieta z wielkim biustem zapala papierosa i zaciąga się, zerkając zalotnie

w stronę Sebastiana. Jej mąż zachodzi co jakiś czas do nich i prosi: „Sebek, Sebek, my sóm kamraty, nie? Jerónie poratuj mje, ino pora groszy, auto ci umyja, łógródek przekopia abo co”.

Sebastian wygrzebuje wtedy z kieszeni drobne i splanwia go, nim do nich dotrze Karolina, która zawsze bez pardonu zamyka sąsiadowi drzwi przed nosem i krzyczy na swojego męża: „Przecież wiesz, że zaraz to na wódkę wyda! Za dużo pieniędzy masz, że będziesz temu łóżyrokowi wódkę kupować?”.

Ale teraz sąsiad już leży zwalony gdzieś na łóžku w swoim domu i zaraz dołączy do niego żona, to może nawet lepiej, bo skoro leżą, to już nie wystawią w ainfaircie¹ głośników z zicpolkami², po polsku, po niemiecku, jak kto lubi. „Ana, Ana, Ana, Ana, jo cie zuwizu dostana, choćbyś wlaźła i pod stół, jo cie wezna zuwizu”.

Sebastian patrzy na dzieci, które biegają po chodniku i na placu obok swojego familoka, i nagle przypomina sobie spotkanie z nauczycielem. Dzieci, dzieci... dwieście ich było.

Sięga do kieszeni i włącza internet w telefonie. Szuka, szuka, przegląda, hasło kluczowe „dzieci, dwieście, śmierć”. Wypadki, statystyki, wojna – och, ile razy zginęło w świecie naraz dwieście dzieci. Nawet nie wiesz, nawet ci do głowy nie przyjdzie, że właśnie tej chwili, kiedy podnosisz do ust szklankę z piwem, gdzieś tam umiera dwieście dzieci. To tu, to tam oddają ducha w lepsze ręce i idą do nieba. Ziemia się kręci, a z niej odlatują duchy dzieci, jakby je ruch dookoła Słońca podrywał do lotu i wyrwał z tych miejsc, w których cierpią choroby, głód, strach, samotność, brak miłości. Zostaje po nich tylko mały ślad krwi na śniegu, na piasku, na klepisku, w łóžeczku, w wenflonie, na stole operacyjnym, na ulicy wśród potrzaskanych reflektorów samochodowych, małe kosteczki w masowym grobie, sflaczałe kamizelki ratunkowe, które nie spełniły swej roli pośród morskich fal, zabawki z urwanymi rękami, dziurawe piłki, przekłute baloniki, za małe koszulki i sukienki brudne w miejscu, gdzie biło serce. I nigdy się świat nie dowie, co z nich wyrośnie, kto będzie ich pierwszą miłością, jak zmieni się im kolor oczu i włosów, czy są zdolne, czy głupie, jak daleko mogą zajść. Pfff – i po wszystkim, małe serca stają w miejscu i nie ruszają dalej.

Bóg dał, Bóg może wziąć.

Sebastian po chwili czuje, że dostatecznie pożywił już bestię, która zamieszkuje w jego głowie od narodzin córki. Już ma zamknąć przeglądarkę, bo nie jest pewien, czy zniesie choć odrobinę więcej tej wiedzy, lecz nagle do haseł kluczowych dodaje nazwę swojego miasta, jaki był głupi, że od razu nie wpisał. Internet się mozoli, tryby przeglądarki się kręcą, strony ładują i nagle jego

uwagę przykuwa tytuł sprzed ponad dziesięciu lat z lokalnego dziennika, który już nawet nie istnieje: „Śmierć w domu wariatów”, a dalej krótki informacyjny tekst o szpitalu, na którego bramę wjazdową patrzy co dzień z okien swojej apteki. Jest wojna, jest Rzesza, jest i szpital. I pacjenci, którym nigdy nie udało się wyjść przez tę bramę, bo zostali tu na zawsze. I to były dzieci. „Dwista ich było”.

Sebastian czuje, jak włosy na karku mu się jeżą, a żelazna łapa strachu ściska mu wnętrzności. No bo jakże to tak – nic nie wiedzieć przez trzydzieści lat życia, a nagle, w jednej chwili, zobaczyć, że w szpitalu, o którego pracownikach miewa sny erotyczne, przed laty mordowano dzieci? Tak, właśnie tak – oto jak działa zero-jedynkowy system: nic nie ma i nagle jest wszystko. Nie można być tylko trochę w ciąży. Nie można tylko trochę nie wiedzieć. Sebastianowi z ręki wypada szklanka z piwem, spada na ziemię z trzaskiem, ale nie rozbija się cała, a to, co z niej zostaje, toczy się po balkonie z tępym stukotem i piwo, którego było jeszcze sporo, rozlewa się w żółtą kałużę. Na balkon wypada wściekła jak osa Karolina, której hałas zniweczył plan wzięcia ciepłej kąpieli, bo Małgorzata Janina obudziła się („śpi lekko jak zając na miedzy, przecież wiesz, do jasnej cholery, Sebastian!”) i odmówiła powrotu do krainy snu.

Sebastian mówi do żony: „Karolina, przestań, proszę, przestań”. Na co ona ciska mu gromy spojrzeniem i wychodzi z balkonu ostentacyjnie, by wrócić do usypiania rozwrzeszczanego dziecka.

A więc nauczyciel, ta postać całkiem jak ze złej baśni, ten zasuszony, toczony rakiem człowieczek, wyglądający jak stary chleb znaleziony pod szafką, pokryty białozielonym nalotem pleśni, przyszedł do Sebastiana prosto ze strasznej opowieści o śmierci, choć Sebastian wcale nie chciał tego usłyszeć, skoro tyle lat nie słyszał i było dobrze. Sebastian wybiera numer swojej matki. „Mamo? Czy ty wiedziałaś o czymś takim?”. Matka szuka w słabnącej coraz bardziej pamięci informacji, coś tam jej świta, że ojciec, że dziadek, że ktoś coś mówił. „Ale wiesz, Sebek, ja to nie wiem za dużo. Za to wiem, jak wieszali tych harcerzy. – Rozochoca się i już chce mówić więcej. – To wiem, bo mama tam była i mówiła”. Ale Sebastian też wie, jak ich wieszali, bo o tym babcia mu mówi zawsze, kiedy idzie z nim przez pusty plac, ten plac z jedną jedyną starą topolą rosnącą pośrodku. „Tu, Sebek, my stoli, nos tu zagonili rehtory ze szkoły, kozali nom tukej stoć i patrzeć. I jo zech łoczy zasłoniała, bo zech się boła, a mie tyn rehtór bez łeb strzelół, że móm patrzeć. I tyn jedyn, jak mu już ta pyntla założyli, to zawołał «Niech żyje Polska», i mu wtedy spod nóg tyn stołek zabrali. Jo do dziś słysza tyn chrzęst, wiysz, synek?” –

mówi babka do małego Sebastiana, kiedy idą razem na spacer. Sebastian boi się chodzić przez plac, koło topoli, i do domu ze szkoły wraca okrężną drogą, bo się boi duchów.

Sebastian rozłącza się i patrzy na telefon, nie wiedząc, gdzie ma teraz dzwonić. Może po prostu w tej sprawie nie da się nigdzie zadzwonić? Sebastian jest zły, bo normalnie zawsze wie, gdzie dzwonić, lubi mieć poczucie panowania nad wszystkim. Po prostu bierze telefon i wybiera numery, „dzień dobry, tu Kowolik, z apteki, jest taka sprawa”. Nie lubi bezradności w sprawach, które można wziąć we własne ręce. Działanie, przeciwdziałanie, jak w aptece – jest choroba, jest lek. Wystarczy mu, że czuje się bezradny wobec strachu. Teraz stoi z telefonem w ręce, czując się źle. Coraz gorzej. O śmierci nikt nie chce rozmawiać. Sam ostatnio unika przyjaciela, któremu zmarła niedawno siostra. Bo jak tu zagadać w takiej sytuacji. „To już lepiej w ogóle się nie odzywać, no nie, Karolina? No powiedz – lepiej nie sypać soli na rany”. Chciałby, żeby poparła jego tok myślenia, ale Karolina mówi, że w sumie to nie wie, że chyba jednak lepiej zadzwonić, że człowiek potrzebuje rozmowy.

Ale Sebastian tylko wzrusza ramionami i nie dzwoni. A dziś myśli o tym, czemu właściwie nie dzwoni, skoro wszyscy kiedyś umrzemy.

Tej nocy śpi na kanapie, bo Karolina, nie mogąc uspokoić dziecka, zabiera je ze sobą do ich małżeńskiego łóżka.

W nocy budzi się, czerwone cyfry na wyświetlaczu budzika wskazują trzecią piętnaście. Patrzy w sufit, patrzy w okno, nasłuchuje hałasów za oknem, w oddali tłuką się jakieś przejeżdżające samochody. Zamyka oczy i bezskutecznie próbuje zasnąć. Przez głowę przewalają mu się teraz bieżące problemy, rata kredytu za samochód, zapłacić za prąd, nie ma żarówki w kinkiecie w przedpokoju, czy jest zapas mleka w proszku dla Gosi, umowa z hurtownią do podpisania. Płyną myśli przez mózg Sebastiana i zamiast usypiać, coraz bardziej osadzają go w rzeczywistości, nie potrafi odpłynąć w sen, gdy myśli o podatku VAT za ubiegły miesiąc. W ten pochód prozaicznych problemów nagle wciska się, jakby kto włożył nogę między drzwi, twarz starego nauczyciela. „Sebek, musisz mi pomóc” – słyszy Sebastian i już na pewno nie zaśnie. Idzie do kuchni, nalewa sobie wody do kubka i wypija duszkiem.

Kładzie się z powrotem i znów czeka na sen. I nagle przypomina mu się ta scena, jak siedzi na parapecie otwartego okna, ma pięć lat, i patrzy na burzę. Deszcz zacina, huczą grzmoty, a on czeka na piorun. Woda wpada do środka, cała podłoga jest już zupełnie mokra, topią się na deskach kuleczki gradu, a on, łapiąc z trudem powietrze, czeka na piorun. Bo bardzo marzy

o tym, by go przeszył. Wierzy, że to mu przyda nadludzkiej mocy. Wyczytał o tym w komiksie. Piorun go nie przeszywa, bo do pokoju wpada matka, ściąga go kompletnie przemoczonego z okna, wlepia mu klapsa i wyciera zalaną podłogę. Sebastian teraz, leżąc na kanapie w salonie i czekając na sen, czuje, że tym razem nie chciał, a piorun i tak go przeszył na wskroś.

Zastanawia się, czemu tak go to uderza, ta wiedza, że tam, gdzie dziś pracuje, było miejsce kaźni. I że w starym ceglany pawilonie na tyłach szpitala, przerabianym teraz na hotel, umierające dzieci pokładały się na zimnych kamiennych posadzkach. I znów przychodzi nieproszony piorun, przeszywa mu elektrycznym impulsem mózg i rozjaśnia w głowie – bo oto na kamiennej brudnej podłodze leży jego córeczka, w podartym ubranku, krzyczy ze strachu, chłodu i bólu. Nie potrafi jeszcze się sama podnieść i uciec, przekręca się tylko z pleców na brzuch i odwrotnie, ze wzrokiem pełnym zwierzęcego przerażenia, pchana do działania instynktem przeżycia. Chciałby podbiec do niej i wziąć ją na ręce, ogrzać swoim ciałem, oddechem, uspokoić, nakarmić, ale im bardziej chce się zbliżyć, tym ona jest dalej, jakby jakaś tajemna siła odpychała ją w głąb nieskończenie długiego korytarza szpitalnego, który Sebastian tyle razy przemierzał, stukając podeszwami butów o zimne płyty podłogi. Budzi się z krzykiem. Siódma. I tak trzeba już wstawać. Jest zmęczony i obolały. Za to Małgosia w nocy spała dobrze, Karolina też dopiero co otworzyła oczy. „Wyspałam się” – mówi i całuje Sebastiana w policzek. Ma dobry nastrój. Dziewczynka, ubrana w zielone śpioszki, turla się po dywanie. Odkryła właśnie, jak można się przemieszczać – kręci się dookoła własnej osi, leżąc na ziemi, a potem się podnosi i siada. Trzeba już na nią uważać, nie zostawiać samej ani na chwilę. Sebastian bierze ją na ręce i przytula do piersi. Wzdycha i wychodzi do pracy.

Jest przed czasem. Zerka na zegarek i zamiast otworzyć rolety antywłamaniowe, idzie po schodkach na dół i kieruje się w stronę szpitalnej bramy. Czerwone ceglaste mury wznoszą się pośród parkowych drzew. Kompleks szpitalny to piękne stare budynki. Wyrastają na nich smukłe neogotyckie wieżyczki i kopuły, choć trzeba wysiłku, by dostrzec pociemniałe od stuletniego nalotu płaskorzeźby. Zielona winorośl oplata niektóre z nich. Stare drzewa delikatnie się kołyszą na wietrze.

Sebastian idzie ostrożnie przez szpitalny park, stawia kroki uważnie, jakby szedł po lodzie, choć przecież jest pełnia lata. Pod jego stopami łamią się drobne gałązki.

Chodziłem tędy tyle razy – myśli. Ale nigdy dotąd nie patrzył na to miejsce w taki sposób, w jaki patrzył na baraki oświęcimskie na obowiązkowej wycieczce do Auschwitz w ósmej klasie.

Doskonale pamięta, jak koleżanka z klasy traci przytomność, bo dostaje ataku paniki, nie może złapać tchu i z powodu hiperwentylacji mdleje. Kiedy uderza głową o ziemię, podnosi się rwetes, a Sebastianowi, choć przecież nigdy nie był z tych wrażliwych, ciarki przechodzą po plecach – bo to pewnie tak było, padali tu, na tę podłogę, jedni po drugich. I teraz, idąc przez szpitalny park w stronę placu budowy, tam gdzie inwestor przerabia jeden z zabytkowych pawilonów na ekskluzywny hotel SPA, Sebastian słyszy ten niepodobny do niczego dźwięk czaszki uderzającej o podłogę. Głuchy i tępy. Wzdryga się.

Stary budynek szpitala, opuszczony i w ruinie, był ulubionym miejscem zabaw chłopców. Gdzie lepiej bawić się w policjantów i złodziei albo w wojnę jak nie tam, wśród odrapanych ścian, popękanych kafli, wybitych okien i schodów trzeszczących pod ciężarem chłopców, gdy zbiegali jak stado koni – Sebastian dobrze pamięta uczucie grozy, jakie budził w nich ten budynek. Przyciągał ich i odpychał. Ruiny mają w sobie dzikość, która wzywa. Ganiłi z latarkami po pustych pomieszczeniach, nawoływali się dzikimi wrzaskami, upadali, potykając się o graty leżące na ziemi, wbijali sobie w dłonie drzazgi, przeciskając się przez szpary w pozamykanych drzwiach. Rozszabrowany przez zbieraczy złomu i śmieci budynek był jak skorupa starego żółwia, opuszczona przez właściciela, wydrążona w środku, jak archeologiczne stanowisko, ciekawe dla tych, którzy gotowi są zajrzeć pod warstwę starej zielonej farby olejnej widniejącej na lamperii. Wyobrażenia chłopców, zasilana porcjami filmów i książek, działała najmocniej właśnie tu, w samym sercu umierającego budynku, zabitego dechami i straszącego posępnyymi napisami w rodzaju: „Uwaga, grozi zawaleniem”. Oni jednak nigdy się tego nie bali, śmierć była czymś tak abstrakcyjnym i odległym, że aż śmiesznym. Bali się duchów, strzyg, wampirów, zombie z podziemi szpitala, ale nie śmierci. Ta nie istnieje, gdy masz dziesięć lat. Może czasem gdzieś tam cię zahaczy, umrze czyjś dziadek, zdechnie ci chomik schowany za meblościanką, usłyszysz o wypadku komunikacyjnym, ale na Boga, to wciąż wszystko dzieje się poza tobą. Kiedy Sebastian biegał po ruinach szpitalnego budynku, najbardziej bał się, że złapie ich cieć. I nastąpi ostateczny kres zabawy. W końcu resztą ich złapał. Awantura była kosmiczna. Sebastian na wspomnienie tamtych dni uśmiecha się pod nosem. Staje przed dawną ruiną i uważnie się przygląda.

Remont jest już wyraźnie na ukończeniu. Zza parkanów okalających to miejsce widać wspaniale odnowiony budynek, robotnicy dopinają wszystko na ostatni guzik. Wygląda to naprawdę imponująco. Solidna mieszczańska niemiecka architektura, jakiej wiele na Śląsku, w rękach

stosownych inwestorów odzyskuje swój niezwykły blask. Ach, musiało tu kiedyś być pięknie, zanim pyły ze wszystkich kopalń i elektrociepłowni wżarły się w strukturę kamienia. Ten, kto kupił fragment szpitalnego kompleksu, niewątpliwie ma dobry gust.

Sebastian patrzy, ale widać niewiele, tyle co wystaje zza wysokiego płotu. Kto tu przyjedzie? SPA przy domu wariatów to dopiero wariacki zamysł. Ale z drugiej strony, kto to wie, co jest za płotem? I czy to naprawdę kogokolwiek obchodzi, nawet jeśli wie?

– Dziewczyny, czy wyście słyszały tę historię? – pyta Sebastian swoje pracownice, rozsiadając się z kubkiem kawy na zapleczu apteki, w chwili gdy akurat nikt nie prosi o żadne suplementy diety ani leki na potencję.

Słyszały dwie z trzech, czyli większość.

– To jakim cudem ja nic o tym nie wiem? – Sebastian nie przestaje się dziwić.

– A bo to mało takich historii dookoła. – Kasia wzrusza ramionami. – Wojna jak wojna, mnie to już nic nie zaskoczy, powiem ci. W internecie można sobie poczytać o tym, że dziś dzieją się podobne historie. I co? I nic. Dalej siedzimy tu, na zapleczu apteki, i kiwamy głowami, och tak, to straszne.

– Abstrakcja, Sebek – dodaje Mirka, która też coś wie na ten temat od swojej babci. – To jest dla mnie totalna abstrakcja. Nie będę sobie głowy zaprzętać takimi historiami, skoro na co dzień masz wokół jeszcze gorsze.

Sebastian już się nie odzywa, tylko siorbie kawę, parząc sobie usta. Myśli o Małgosi, jak raczkuje po dywanie, roześmiana i słodka. I czuje, że to wcale nie jest abstrakcja. Sebastian boi się przecież, że wyjmie ze skrzynki, razem z rachunkiem za gaz i reklamą supermarketu Lidl, ulotkę, jak się zachować, gdy przyjdzie wojna. Bo przecież czemu nie? Już takie rozdają w Wilnie.

Na razie jednak dostaje ulotkę reklamującą nowy hotel w mieście. Na zdjęciach wnętrza urządzone w dawnym szpitalnym budynku. Jest elegancko. Tak jak przypuszczał, oglądając budynek z zewnątrz. Nie schlebia nowobogackim gustom. Wszystko urządzone jest ze smakiem, choć łóżka wydają się wąskie. Ceny nie zbijają z nóg, oferta gastronomiczna też jawi się całkiem godnie. Na ścianach stare fotografie i ryciny, z nawiązaniem do długiej historii obiektu. Ale nie do całej. W świetle ulotki reklamowej historia budynku kończy się na roku 1939, a potem znów się zaczyna w 1975. Pomiędzy jest cisza. Ale czy można winić właściciela, że wolałby uniknąć

rozgłosu wokół spraw tak nieprzyjemnych? No nie można. No naprawdę nie można. Zresztą może też nie wie. Dziś mało kto coś wie.

Przez kilka kolejnych dni Sebastian stara się dotrzeć do starego nauczyciela. Dzwoni do liceum i pyta o niego, ale mówią mu, że nie mogą pomóc, bo mają sporadyczny kontakt, bo pan Zgierski rozstał się ze szkołą lata temu i nie wraca zbyt chętnie.

– Rozumiem, dziękuję.

Budzi się znowu nad ranem i słyszy hałasy za oknem. Pewnie śmieciarka wczesna albo piekarze. W półśnie zaczyna sobie wyobrażać, że ten hałas to wojsko wroga, które biegnie właśnie jego ulicą, dudniąc ciężkimi butami po asfalcie, wstrzymując ruch i wdzierając się do kolejnych domów. Żołnierze wyciągają z łóżek zaspanych, zléknionych i bezbronnych ludzi i bez słowa przystawiają im lufy karabinów do głowy. Na oczach mężów gwałcą żony, na oczach rodziców podrzynają gardła dzieciom, ojcom każą spółkować z córkami, matkom brać penisy swoich synów do ust, starcom każą się rozebrać do naga i pędzą ich na ulicę, gdzie ustawiają w szeregu i oddają strzały.

Sebastian poci się w łóżku. Śmieciarka podjeżdża bliżej, a jemu zdaje się, że słyszy już stukot buciorów na schodach, że zaraz załomoczą do drzwi. Słyszy, jak nad miastem przelatują samoloty, niczym niskie czarne chmury, z których spadnie śmiertcionośny deszcz. Słyszy huk spadających bomb. Słyszy wycie – sam nie wie, psów czy ludzi. W chwili śmierci pies i człowiek są tym samym. Zdany na niełaszkę zlepkiem komórek, który się boi swego unicestwienia. Nikt nie jest bezpieczny we własnym domu, kiedy przyjdzie wojna, nie zabarykadujesz się przed nią w swoim mieszkaniu kupionym na kredyt trzydziestoletni w szwajcarskiej walucie, zamykanym na zamek Gerda. Żadna antywłamaniowa roleta nie powstrzyma wroga, który zapragnie uczynić z ciebie karaczana niegodnego życia. Nie uciekniesz przed śmiercią, która ma ci zostać zadana tak niespodziewanie i tak niesprawiedliwie! Żydów do stodoły pędzili Niemcy, a może Polacy, a może ostatecznie to bez znaczenia, skoro człowiek zmienia się w garść popiołu, a osmalone kości zostają rozwleczone przez zwierzęta, gdy robota ognia już się kończy. Może to bez znaczenia, czy twoje dziecko, co leżało w kołysce, roztrzaskuje o ścianę ręka esesmana, który wpadł do twojego domu i z mocnym bawarskim akcentem zapowiada ci rychłą śmierć, czy ręka garbatego Władka, syna sąsiadów, który zapisał się do narodowców i nieraz już przeczesywał okolicę w poszukiwaniu śmierci, którą warto by zadać.

Na ileż sposobów można zabić małe dziecko? W głowie Sebastiana przewija się film pełen okrucieństw, małych rączek sztywnych z zimna, nagich ciałek przebitych bagnetem, wzdętych głodem brzuchów, wyhodowanych strasznych chorób, dzieci wyjętych z brzuchów matek – ostry nóż i jedno porządne cięcie.

„I jakie to ma znaczenie, kto tnie ów brzuch. – Patrzy na Sebastiana kobieta, z której brzucha zwisa pępowina. – Jakie to ma dla mnie teraz znaczenie? I dla niego. – Wskazuje ruchem głowy martwe nagie dziecko, leżące w kałuży krwi na jej udach. – Jakie?”.

Co ze mną jest? – myśli Sebastian, budząc się z krzykiem. Otrząsa się, jakby chciał zrzucić z siebie błoto. – Co mnie opętało?

Kiedy Małgosia zaczyna samodzielnie chodzić, upały robią się nie do zniesienia. Dziecko biega w samej pieluszce, wciskając buzię między szczeble balkonowej balustrady.

Dzieci pijaków z naprzeciwka machają do niej.

– Maaałgoś, pódź sam do nos, poszpilómy se w bala!

A ona się cieszy i klaszcze w rączki tak mocno, że aż traci równowagę i opada z ciężkim „bach” na pupę. Pieluszka amortyzuje upadek, dziecko z mozołem się dźwiga i znów zanoszą się śmiechem, który brzmi, jakby szklane kuleczki sypano do cynowej misy – dźwięczy perliście.

A czy ty byś poszedł do powstania? – pytają wymierzone w Sebastiana spojrzenia z plakatów, którymi oklejono bodaj wszystkie słupy ogłoszeniowe. Jest w Warszawie, w sierpniu, i chodzi po mieście, w którym by nigdy nie chciał mieszkać. W pociągu Intercity ze stacji Katowice Głównie do stacji Warszawa Centralna spotyka chłopaka, który jest całkowicie oszalały. Co okazuje się nie od razu, tylko po pewnym czasie, gdy chłopak, przez nikogo niepytany, zaczyna snuć opowieść – o tym, że mieszka wśród duchów i zjaw. Że mu schody trzeszczą, ściany krwawią, że coś przenika go chłodem tak dotkliwym, że już od miesięcy nie sypia.

– Żydowskie dzieci mnie trzymają za nogawki od pizamy i wołają swoje matki. Ruta i Srulek – mówi, patrząc uważnie na Sebastiana, który woli się nie odzywać do wariata. – Na Muranowie w ścianach domów jest żydowska krew. Każde mieszkanie tam jest przeklęte. Te cegły nasiąknięte są trupim jadem, przeżarte cierpieniem. Pod chodnikami wszędzie są trupy, Warszawa to zjełczałe miasto, toczone przez robaki. To stolica kraju, w którym rządzą nieczyste duchy potępionych, spalonych, wywiezionych – wylicza chłopak, sięgając po butelkę wody mineralnej, którą trzyma na kolanach. – Zaschło mi w gardle – tłumaczy i pije duszkiem, głośno przełykając. – Nie chodzę też do lasu – toczy swą opowieść dalej. – W każdym polskim lesie

czai się śmierć – mówi dobitnie. – Te wszystkie malownicze sosenki, te brzoźki białe, symbole polskości, te cholerne wierzby nad brzegami polskich rzek, one wszystkie rosną na nawozie ludzkim, na trupie, na wsiąkniętej w piasek krwi. Wejdz do polskiego lasu po zmroku – zwraca się do Sebastiana – i nadstaw uszu. Wycie, usłyszysz wycie, bo one siedzą tam w ziemi i wyją. Do mnie, do ciebie, do siebie.

Sebastian wstaje i idzie do wagonu restauracyjnego. Zamawia herbatę i pierogi ruskie. Kelnerka o niezadowolonym wyrazie twarzy stawia przed nim w końcu talerz. Pierogi są tłuste i obłe, jak wielkie glisty, które wychodzą z ziemi po deszczu. Sebastian stwierdza, że nie ma apetytu, odstawia talerz niezjedzonych pierogów na bok. Pije gorzką herbatę i patrzy na mijane mazowieckie lasy, rosnące wzdłuż Centralnej Magistrali Kolejowej. Chmury nad stolicą przybierają kształt otwartych ust. Zbliżają się do ziemi i plują na wszystko czarnym deszczem.

Sebastian bierze tydzień urlopu i jedzie z rodziną w góry. Zawsze w to samo miejsce, jeszcze jak był dzieckiem. Co roku z rodzicami. Złoty Stok. Pensjonat nad jeziorem, u stóp gór. Chodzi na wycieczki, wożąc maleńką w wózku, Karolina opala się na pomoście i czasem wskakuje do zimnej wody, by się ochłodzić. Dziś przyjechał, żeby zobaczyć zaporę. Był tu już wiele razy. Nie zliczy ile. Fascynuje go ta budowla i przeraża jednocześnie. Spiętrzone wody Soły tworzą jezioro, w którym właśnie kąpie się jego żona. Nie widzi jej stąd, bo dzieli ich kilka kilometrów, które przemierzył samochodem, zaparkowanym teraz na dzikim parkingu pod nieczynną restauracją. Wyjmuje dziecko z fotelika i wkłada półspiające do wózka. Rusza przed siebie swoją ulubioną trasą – na drugą stronę rzeki, po zaporze, zatrzymując się co rusz, by popatrzeć, jak woda ześlizguje się po gigantycznych zjeżdżalniach. Wiezorami śluzę się otwierają i megalitry wody płyną wzburzone, podnosząc raptownie poziom rzeki. Wyją syreny, ostrzegając wędkarzy stojących w gumiakach na płycznach. Ci leniwie opuszczają swoje stanowiska łowieckie, nim woda sięgnie im ud. Sebastian, przechodząc przez tę elektrownię wodną, czuje niezmienny lęk i szacunek dla sił przyrody. Ciemna tafla jeziora po jednej stronie, spokojna, choć budząca grozę swoją potęgą, i leniwy nurt rzeki po drugiej. A pomiędzy nimi, jakby siedział okrakiem między żywiołami, Sebastian powoli pchający wózek.

Z zalanej słońcem zapory schodzi na drogę, która skręca w prawo i prowadzi do ośrodków wypoczynkowych. Droga tuż pod północnym stokiem góry Żar, tej samej, na której nie działa podobno grawitacja i przedmioty zamiast w dół, toczą się w górę.

Tak przynajmniej mówią niektórzy. Że tam jest dziwna energia. Odwrotna. Cokolwiek to znaczy. Być może. Przecież ledwie trzydzieści kilometrów stąd zmieniano skutecznie stany skupienia. Ze stałych w gazowe. Z krwi i kości w popiół i pył. Czy miliony dusz uwolnionych z ciał przez ogień nie mogły odwrócić biegu elektronów albo i samej grawitacji? Ojcu Sebastiana, gdy ten jest małym bajtlem w krótkich galotkach, gospodyni pensjonatu pokazuje kiedyś zdjęcie – nad tym samym jeziorem, w którym teraz pływa jego żona, pozują uśmiechnięci młodzi ludzie. W mundurach. Chłopcy i dziewczęta. Stoją na mostku, w piękny letni dzień, gdy nagle rozpętuje się burza, grube krople spadają z nieba, dziewczyny zaczynają krzyczeć, chować głowy w ramionach, kulić się przed deszczem. Fotograf naciska wtedy spust migawki. „I nagle zaczęło padać” – głosi napis na odwrocie zdjęcia. Chłopcy i dziewczyny ze zdjęcia w szampańskich nastrojach biegną, by przeczeakać ulewę pod dachem domu wypoczynkowego, który budują dla nich ludzie w pasiastych drelichach. Noszą głązy z kamieniołomu, wydobywają żwir z Ponikiewki, wciągają po zboczu Kotelnicy wielkie drewniane bale, budują drogę, kopią doły. Pracują ciężko, ale praca czyni wolnym.

Ojciec Sebastiana wtedy, widząc zdjęcie, nie dowierza. „Willa Hoessa, willa hossa, no tak się mówi: willa Szarotka, willa Krysia, willa Hoessa? Ale tego Hoessa? To tam? Na końcu drogi? Żartuje pani?”. „Co mam żartować. We wsi ludzie wiedzieli, ale co mieli robić, żyli, jak żyli. Cieszyli się co najwyżej, że jeszcze sami nie noszą tych głązów pod Złoty Stok”.

Piękna okolica podoba się przecież wszystkim, i farmaceutom ze Śląska, i esesmanom z Auschwitz. Przecież to też tylko ludzie. Też po robocie chcą mieć fajrant, pojechać gdzieś pooddychać świeżym powietrzem, w którym być może nieco mniej jest popiołu, napić się wina w szwarskim towarzystwie, pośpiewać piosenki przy akordeonie. Młodym się jest raz! A dziewczyny nasze takie piękne, takie mają dołeczki w swych rumianych niczym rajskie jabłuszka policzkach i kręcone loki z rudawymi refleksami, że aż się chce je od razu całować i podawać im do ust soczyste jagody, zebrane w lesie za pensjonatem. Na przyrodę wrażliwi są wszyscy. Jak ma się człowiek nie radować, kiedy dookoła te zielone lasy, te smreczyny bujne na zboczach gór, ta ciemnogrnatowa toń jeziora jak oczy najpiękniejszej z dziewcząt w całym naszym komando!

Siadywali sobie na drewnianych barierach mostku nad strumykiem. Dziewczyny piszczały wesoło, ktoś grał na harmoszcze. Urlopy brali wszyscy – góry i doły obozowej ekipy. To tu prosty esesman mógł cieszyć się bliską obecnością tych największych.

Razem, ramię w ramię, śpiewali *Horst-Wessel-Lied. Podnieście flagi!* – nucił Rudolf Hoess, nucił Josef Mengele, nucił Obersturmführer Max Sell. Kto wie, może mieli i piękne te swoje głosy, wyćwiczone w okrzykach i wrzaskach?

Siadywali przy drewnianych ławach i pili, pili, pili na umór, bo jednak nawet nazista czasem się musi zgłuszyć. Zerwać film.

Kto będzie siedział w autokarze koło mnie? – pyta wzrok Marii Mandel, która siedzi na razie sama przy oknie. Wracamy do Auschwitz, trasa taka piękna, popatrzmy wspólnie na te beskidzkie widoki.

A skąd te buty skórzane na jej zgrabnych nóżkach? Skąd ta bielizna, którą chętnie zdarłaby z siebie, gdyby ją tylko o to ktoś poprosił grzecznie: *Bitte!* Maria, taka dzielna pracownica, oddana służbie Rzeszy. Co dzień staje przy bramie w Birkenau i czeka, kto waży się na nią spojrzeć. A kto się waży, ten idzie do gazu. Nic więc dziwnego, że Maria pragnie czasem odpocząć. Tak się człowiek namęczy, jak musi związywać nogi rodzącym kobietom, żeby nie mogły dzieci wypchnąć na świat. Ile to mocy trzeba w sobie mieć, by tak panować nad życiem i śmiercią. Jakie to wyczerpujące jest, to wiedzą tylko oni. Koło Marii chce siedzieć Irma, ta piękna Irma o złocistych włosach i wielkich oczach. Takiej pięknej nie ma w całym Auszwicu. Jest piękna, nawet kiedy siekierą rozbija ciało więźniarki, tak długo póki nie zostanie z niego mięsna miazga na klepisku.

„I nagle zaczął padać deszcz”, więc wszyscy, w swych odebranych Żydówkom pantoflach i sztywnych mundurach z błyskawicami na kołnierzach, jakby z cukru byli, a nie ze stali, i bali się, że się roztopią, że zmieniają swój stan skupienia, biegną wszyscy pędem, z wesołymi okrzykami, z powrotem pod górę, do pensjonatu, gdzie padają na rozłożone na werandzie leżaki i rozkoszują się dalej pięknym dniem urlopu. W rękach trzymają flaszeczki piwa. Och, nierzadko trzeba się uciekać do podstępu, aby przyjechać autokarem do Kotelnicy. Jak dostać trzy dni wolnego? Bez trudu! Już wiemy, już wymyśliliśmy! Najlepiej zapobiec ucieczce z obozu. Można w tym celu zerwać więźniowi czapkę z głowy i rzucić na druty. I kazać mu po nią iść. Jak pójdzie – trzeba zabić. Tym samym zapobiec ucieczce. Tylko tyle, jeden celny strzał, a trzy dni wolnego wśród bujnej zieleni!

Sebastian słyszy kiedyś tę historię, siedząc u taty na kolanach, dorośli gadają, piją wódkę, jedzą ogórki i smalec. Opowieść wpada jednym uchem, drugim wypada, tak jak większość rzeczy, których się dowiadujemy w dzieciństwie. Ot, kolejna historia z wielu historii, które się słyszy.

Jak ta o królu, co go myszy zjadły. Jak ta o baranie, co go szewczyk nadział siarką i dał smokowi. Jak ta opowieść babci o powieszonych na topoli harcerzach. Trochę straszne, trochę nieważne. Siedzi gdzieś z tyłu głowy.

Ale za każdym razem, kiedy idzie tuż pod zboczem góry Żar, tej, w której energia płynie ponoć odwrotnie, czuje niepokój. Jednocześnie boi się iść dalej i nie może przestać. Zawsze kiedy mija słup wysokiego napięcia, skąd straszą trupie czaszki i symbole błyskawic, niemal biegnie, byle tylko znaleźć się poza zasięgiem ich wzroku, który na sobie czuje, i złowrogiego brzęczenia trakcji elektrycznej. Co jest takiego w tym wysokim napięciu, że człowieka przechodzą dreszcze? Może to, że syczy jak kobra, ostrzegając przed atakiem. Sebastian przebiega pod słupami trakcji wtedy, kiedy ma lat dziesięć, i wtedy, kiedy przekracza trzydziestkę. Teraz też, pchając przed sobą wózek ze śpiącym dzieckiem, biegnie. Choć wie, że to irracjonalne. Cieszy się, że nikt go nie widzi. Za zakrętem, kiedy już nie widać słupa, zwalnia kroku. Zacieniona droga pachnie wilgocią i mchem. Tu nigdy nie świeci słońce, schowane przez cały dzień za grzbietem góry. Ośrodek wypoczynkowy, zbudowany na północnym zboczu, kryje się w ciągłym cieniu. Ręczniki i prześcieradła nie schną przez całe lato, wczasowiczów z tej strony jeziora można poznać po zapachu wilgoci, jaki przywiera do nich tak skutecznie, że nawet wielokrotne pranie ubrań po powrocie do domu niewiele daje.

Ale Sebastian lubi odwiedzać ten drugi brzeg jeziora. Staje na pomoście i patrzy przed siebie, na żaglówki i windsurferów, na motorówki WOPR-u, na wille i pensjonaty grzejące się w słońcu.

Tego lata pogoda jest wyjątkowo piękna. Od wielu dni nie spadła ani kropla deszczu, jest sucho i powietrze nad asfaltem aż drga. Jezioro przeżywa prawdziwe oblężenie. Wszędzie tłumy, bo oto wreszcie wakacje w Polsce mają sens i nie trzeba lecieć na drugi koniec Europy, by zażyć ucziwej kąpieli słonecznej. Wino pite na tarasie w Międzybrodziu smakuje tak samo jak to pite w Toskanii albo na Krecie.

Lato było piękne tego roku – przypomina sobie Sebastian wiersz, którego musiał się uczyć w szkole, i od razu traci humor. Jak bardzo nie lubi tych historycznych analogii. Bo to tylko się bać. Że historia lubi się powtarzać. Gadanie. *Żaden dzień się nie powtórzy*. To też przecież poezja.

Wraca z dzieckiem, które już się obudziło i patrzy teraz spokojnie na świat z wysokości wózka spacerowego. Karolina czeka na nich w jadalni pensjonatu. Jutro wracają do domu, lato się

kończy, w powietrzu czuć jesień, zwłaszcza wieczorami, gdy trzeba już włożyć polar i grube skarpety, żeby pić wino na tarasie.

Ludzie w okolicy grillują, czarny dym z brykietów spowija wszystko dookoła. Kielbasy z dyskontów, marynowane łopatki, piersi z kurczaka, wieprzowe polędwiczki skwierczą w żarze, tłuszcz skapuje z nich do ognia, sycząc głośno. Panowie przy grillach pocą się obficie, wydalając z siebie wszystkimi porami alkohol. Kobiety spalone letnim słońcem, czerwone na ramionach, nosach i udach, z czerniakiem pulsującym gdzieś w przepowiedni, popijają beztrąsko piwo z sokiem, ich dzieci biegają głośnymi chmarami dookoła. Lato, wakacje, odpoczynek. Leżą na zielonej trawie, w cieniu drzew, które zasadzili więźniowie. Sikają na ziemię, po której chodzili bosko w drodze do kamieniołomu. Dzieci usiłują forsować metalowe drzwi, które bronią wejścia do betonowych bunkrów ukrytych pod zboczem góry. Przekazują sobie z ust do ust informacje, że tu straszy nocami i że słyhać jęki potępieńcze. Nie mogą potem spać ze zdenerwowania, a ich matki irytują się, bo wolałyby leczyć kaca, niż tulić załęcznione córki i synów do swych poparzonych słońcem ciał. Ziemia się kręci. W kolejnym roku prasa lokalna podaje, że prywatny inwestor zrównał z ziemią esesmańską willę. I dobrze, mówią ludzie, po co komu taka pamiątka. To, że jest już październik, Sebastian zauważa dopiero, kiedy podpisuje umowy z nową hurtownią. Tak bardzo nie ma czasu, by się nad czymś zastanawiać. Roboty jest w bród, odeszła mu pracownica na urlop macierzyński, trochę sobie nie radzą we trójkę, Sebastian szuka kogoś na zastępstwo, lecz na razie bezskutecznie. Ale praca czyni go wolnym. Nie ma ani czasu, ani sił na nic innego poza nią. Nocne lęki teraz dotyczą rzeczy namacalnych, strachy abstrakcyjne i potężne zniknęły. Nawet go to cieszy. Jak w dowcipie z kozą.

I oto nagle, w samym środku pracującej niedzieli, do apteki wchodzi mizerny zasuszony człowiek w szarej marynarce, kieruje swe kroki prosto do okienka i staje przed Sebastianem.

– Już czas. Musimy działać – mówi.

Na szybie dzielącej farmaceutę od klienta zakwitają kropelki śliny. Sebastian skupia wzrok na tym mokrym wzorze, bo nie wie, co powiedzieć. Stary nauczyciel stoi przed nim bez słowa i wpatruje się intensywnie w jego twarz.

– Panie Zgierski – odzywa się w końcu Sebastian – ale co właściwie pan chce zrobić?

– Chcę ich upamiętnić – mówi nauczyciel. – I bez pana to mi się nie uda. Pan musi być moim głosem.

– Ale dlaczego ja? Co ja mam z tym wspólnego? – protestuje Sebastian. Właśnie podjął ekspresową decyzję, że nie chce się w nic mieszać. Woli pozostać przy zwyczajnym lęku o niezapłacone podatki, kredyt i remont w dużym pokoju. Nie ma już teraz ochoty na nic więcej. To jest i tak za dużo. Ileż człowiek może znieść?

Nauczyciel nie odpowiada na jego pytanie, tylko przysuwa twarz blisko do szyby, tak że niemal rozpląszcza na niej nos.

– Czekam na pana jutro przed trzynastą w ratuszu.

Sebastian wraca do domu wściekły. Znow przywiało ten dym, ten smog duszący, ten lęk paranoiczny, albo i nie, że nie tylko faktura i podatek, ale śmierć, śmierć, śmierć, kurwa jego mać.

Sebastian stoi przed wejściem do Urzędu Miasta. Miałby ochotę zapalić papierosa, ze zdenerwowania. Sam nie wie, jak dał się w to wszystko wciągnąć. Jakies zaszczości z przeszłości. Zgierski podszedł go bardzo sprytnie. Obudził w nim strach. A ten pcha do działania. Bo przecież Sebastian nie jest typem społecznika, nie interesują go ogólnospołeczne krzywdy, martwi się raczej o swoje, bliższa koszula ciała. Nie rozumie związków zawodowych, pochodów na Warszawę, listów otwartych i wszelkich tego rodzaju inicjatyw. Widząc w telewizji zawodowych piniaczy występujących w imieniu mas, czuje irytację, jest twardym wyznawcą zasady, że każdy odpowiada za siebie, państwo zaś niech pozwoli działać i odczepi się od obywatela. Sebastian płaci składki i podatki, choć z bólem serca, i do tego ogranicza się jego wkład we wspólne sprawy. Nigdy, przenigdy nie wykraczał poza te mocno zarysowane granice. A tymczasem stoi pod drzwiami wejściowymi do urzędu, w cieniu rzucanym przez neogotycki budynek, odnowiony z pietyzmem, jak wszystkie budynki władzy w tym mieście, i czeka na pojawienie się Zgierskiego, aby wesprzeć go w jego petycji. Musi stanąć przed znudzonym obliczem władz miejskich, by wyjaśnić im, jakie jest oddolne zapotrzebowanie na przywrócenie do zbiorowej pamięci zbrodni dawno zapomnianej. Ma poczucie, że oszalał, że uległ zamroczeniu i że to działa nie on, ale jego awatar. Nie mówi nawet nic Karolinie, a dziewczynom w aptece oznajmia, że są sprawy w urzędzie. Ogólnie, bez wnikania. Wychodzi, zaciskając ręce w kieszeniach. Znow zaczęło padać, więc chowa się pod daszkiem z pleksiglasu osłaniającym wejście.

Widzi zbliżającego się powoli Zgierskiego. Nauczyciel milczy i tylko kiwa mu głową na powitanie. Bez słowa wchodzi po paru schodkach i kierują się do windy, by wjechać do gabinetu prezydenta miasta.

– Obiecał, że nas przyjmie – mówi Zgierski, ciężko oddychając.

Sekretarka obrzuca ich nieprzyjaznym spojrzeniem. Tak, są umówieni, ale muszą poczekać – wskazuje im miejsce na lichych krzeselkach pod ścianą. Siadają posłusznie.

Jest kompletnie cicho. Zza obitych skórą drzwi nie dochodzą żadne dźwięki.

Mijają długie minuty, które zamieniają się w kwadrans. Obaj mężczyźni milczą. Sebastian w duchu wścieka się na siebie coraz bardziej. Siedzi jak kretyn pod drzwiami, jak petent, którym być nienawidzi. W całkiem nie swojej sprawie. Bo dał się zmanipulować. Wziąć pod włos. Bo nie potrafi odmawiać.

Oddech Zgierskiego brzmi źle. Sebastian wsłuchuje się w to rżenie i myśli, że ktoś powinien osłuchać mu płuca. Bo zaraz pojawi się problem kolejnej mogiły.

W końcu! Choć nic się nie zmieniło – bo nikt nie wyszedł z gabinetu, sekretarka nagle opuszcza gardę i mówi: „Proszę wejść”, po czym otwiera im drzwi.

Gabinet prezydenta, z ogromnym biurkiem i ciemnymi szafami w stylu gdańskim, prezentuje się tak jak powinien. Jest typowym miejscem, w którym lubi mościć się poczucie władzy. Prezydent wita się serdecznie najpierw z jednym, potem z drugim, wskazując im kącik wypoczynkowy pod oknem. Zapadają się wszyscy trzej w miękkich poduchach skórzanych foteli i kanap, a sekretarka stawia przed nimi filiżanki z kawą, o którą nie prosili.

I nagle, wśród słów bez znaczenia, wśród chrząknięć i uwag o pięknej jesieni tego roku, Zgierski pyta prezydenta:

– Pamięta pan *Antygonę*?

Sebastian opada ciężko na oparcie fotela. Prezydent, przyłapany na brakach w wykształceniu, uprzejmie kiwa głową, nie mówiąc ni tak, ni nie.

– Człowiek musi mieć grób – mówi Zgierski, a jego chude żylaste ręce trzęsą się, wsparte o kolana. – Człowieka nie można chować bezimiennie.

Sebastian – społeczne alibi dla Zgierskiego – człowiek z wyżyn miejskich, młody i znaczący obywatel miasta, nie odzywa się. Przyszedł tu tylko jako asystent starszego człowieka. Który mówi:

– Człowiek musi mieć grób, a na nim swoje nazwisko. Nie pomnik, nie masowy grób, w którym spoczywa anonimowo, jakby go nigdy nie było. Człowiekowi trzeba po śmierci nadać godność, którą mu przed śmiercią odebrano. Oddajmy tym dzieciom ich imiona.

Prezydent ze zrozumieniem kiwa głową, po czym układa dłonie w piramidkę i z miną dobrotliwego wuja wyjaśnia:

Ach, panie Zgierski, no cóż, to nie jest takie proste, nie nasz teren, nie nasza sprawa, nie można, a wręcz nie wypada, prywatny inwestor, dawni właściciele, reprivatyzacja, roszczenia, odszkodowania, góra pieniędzy, miejskie inwestycje, wsparcie z budżetu, Instytut Pamięci Narodowej, poważni bohaterowie, żołnierze wyklęci, AK i rocznica wybuchu Powstania. Wariaci, nieletni, czy to aby na pewno jest wizytówka dla miasta, będzie SPA, klienci (także z Niemiec!), czarny PR, odpływ gotówki. Podatki od nieruchomości, różne zobowiązania, wybory samorządowe, obietnice. Patrzymy w przyszłość, nie oglądamy się za siebie, niech trupy nie wypadają z szaf. Są groby ważne i są groby mniej ważne. Racja stanu, ważenie za i przeciw. Konflikty społeczne, niezadowolenie grup wpływowych, niepotrzebne jątrzenie w dawno zagojonych ranach. W dodatku brak środków, ten rok zamrożony od dawna, a nowy to wciąż zagadka. Wizytacja z województwa, dotacje unijne, kontrola skarbową. Dożywianie w stołówkach, żywe dzieci, dzisiejsze dzieci, nasze dzieci. Bezrobocie, Kompania Węglowa, protesty. To jednak sprawa marginalna, proszę próbować w budżecie obywatelskim, acz tam progi zwalniające na jezdniach i kostka Bauma na skwerze oraz kwiaty na miejskie klomby i festiwal krupnioka w sierpniu. Kawy?

Wychodzą z urzędu powoli. Zgierski potyka się na schodach, Sebastian go przytrzymuje. Nauczyciel ma zimną, zaciętą twarz. Nie odzywa się już ani słowem.

Żegnają się zdawkowo. Sebastian chce coś powiedzieć, ale Zgierski macha ręką: to nie ma sensu. Odchodzi powoli, jak stary chart, na cienkich nogach, zanurzony w przeszłości, pośród duchów, które wołają go cienkimi głosami. Biegają dookoła niego, trzymając się za ręce, skaczą w swoich białych koszulkach nocnych, mają przezroczyste twarze i rozwiane włosy.

Sebastiana nagle przechodzą dreszcze, jakby brała go jakaś grypa, jakby miał paść do łóżka i zalec na długie dni. Ogląda się za siebie, widzi odnowiony elegancki ponemiecki gmach urzędu i czuje złość. Pierwszy raz w życiu nie w swojej sprawie.

[\[1\]](#) w bramie

[\[2\]](#) szlagierami

Gertruda

Ludzi trzeba brać takimi, jacy są; innych nie ma.

KONRAD ADENAUER

Nazywam się Gertruda Luben. Urodziłam się w 1899 roku. W Weimarze. To moje miasto rodzinne. Mieszkaliśmy w domu przy dużej ulicy. Nie pamiętam już jej nazwy. Tyle lat minęło. Ale pamiętam, że na pierwszym piętrze. To było ogromne mieszkanie. Zwłaszcza dla pięciolatki. Z półokrągłym wykuszem w wielkim salonie. Tam stała żardiniera, tam zimą bawiłam się w ogród, wśród bujnej zieleni, o którą dbała nasza słodka Traudka. Z wielkim kredensem w jadalni i polifonem, który ojciec kupił pewnego dnia w Monachium. Przypominam sobie, że staliśmy wszyscy w szeregu – my i służba – a ojciec kazał wnieść prezent. Miał dumną i zadowoloną minę. A myśmy się cieszyli i trzymali za ręce. Polifon stał potem na stoliku między oknami w salonie i umilał nam wieczory muzyką.

Miałam warkocze do pasa, ciasno zaplecione za uszami. Czasem służące plotły je tak ciasno, że oczy nieomal wychodziły mi z orbit. Wieczorami, gdy je rozplatałam, bolała mnie cała skóra na głowie. Masowałam ją opuszkami palców, bojąc się, że mi kiedyś przez to ciągnięcie wypadną wszystkie włosy. Nasza ciotka Mili była przecież prawie całkiem łysa, spomiędzy rdzawych kłaczek na jej głowie prześwitywały ogromne połacie zupełnie łysej skóry. Brzydziłam się ciotki i nie chciałam całować jej w policzki, co zawsze źle się dla mnie kończyło.

Gośćmi rodziców bywali często duchowni, a to pewnie w wyniku pogłębiającej się religijności naszego ojca. Modlił się często i gorąco, żałując niejednokrotnie, że żadna z nas nie jest chłopcem, którego można by uczynić osobą duchowną, to było bowiem jego największe marzenie, by mieć syna księdza. Nie udało się, za co miał w sobie dużo żalu do losu, ale więcej żalu do nas, że nie spełniłyśmy pokładanych w nas oczekiwań i nie urodziłyśmy się chłopcami. Jednak mimo tych gorzkich żali i klęski na polu kapłańskim Jezus Chrystus i jego wszyscy namiestnicy ziemscy byli i dla nas – dwóch słabych dziewczynek – drogowskazami.

Pamiętam wiele rzeczy z domu, wystarczy czasem, że przymknę oczy, leżąc w półśnie, a obrazy tamtego utraconego na zawsze czasu same napływają. Pamiętam nasze zabawy – te szalone letnie dni, wypełnione zapachem kwitnącej lipy, gdy zostawałyśmy same i mogłyśmy gonić się wśród zielonych traw naszego ogrodu, a potem, po długich godzinach brykania na świeżym powietrzu, po prostu padałyśmy jak nieżywe na łóżka. Pamiętam martwego gołębia, który leżał

pod drzewem akacji, miał skręcony kark i wylane wnętrzności. Nim dorośli zorientowali się, że pod drzewem gnije nam truchło, my z Elzą co dnia przychodziłyśmy obserwować zmiany, jakie czas czynił ze zwłokami gołębia. Elza trzymała się za buzię, z obrzydzeniem patrząc na martwego ptaka, a ja z fascynacją wkładałam patyczek w jego brzuch i przyglądałam się, jak mrówki i inne owady cierpliwie rozbierają go ścięgną po ścięgnię, atom po atomie, na części pierwsze.

Pamiętam doskonale ten bacik, który wisiał na gwoździu w kuchni i wzbudzał moją odwieczną trwogę. Szedł w ruch od czasu do czasu. Wedle zasad opisanych w starych dobrych księgach.

„Najcięższą z kar, jaką wymierzamy, jest kara fizyczna, chłosta – wyczytał ojciec w książce dostarczonej mu w stosownym momencie przez wielebnego Fischera. – Tak jak w domu symbolem władzy ojcowskiej jest różga, tak w szkole oznaką dyscypliny jest kij. – Ojciec ze spokojem przywoływał w myślach wiszący bat, pachnący skórą i solą. – Ten sposób przemawiania do rozumu jest odwieczny i powszechnie stosowany przez wszystkie narody. Cóż może być bardziej oczywistego niż reguła: «kto nie słucha ojca, matki, ten posłucha psiej skóry»? Dydaktyczna chłosta jest działaniem, które ma towarzyszyć pouczeniom słownym i wzmacniać ich skuteczność. Najbardziej bezpośrednio i niemal odruchowo taka akcja najpierw skupia się na uchu, które przed uderzeniem boleśnie się wykręca, co dobrze pamiętamy z własnej młodości. Ma to nieomylnie wskazać na istnienie narządu słuchu i na to, jaki należy z niego zrobić użytek. Posiada to wyraźne znaczenie symboliczne, tak jak i trzepnięcie po ustach, odnoszące się do narządu mowy, a mające nakłaniać do roztropniejszego się nim posługiwania”.

– Prawdziwie chrześcijańska pedagogika, Herr Luben – mówił ojcu rozparty wygodnie w fotelu wielebny – która nie postrzega człowieka, jakim powinien być, ale jakim jest, nie może, a wręcz nie ma prawa się odżegnywać od wszelkiej cielesnej chłosty.

Ojciec kiwał głową, a wielebny ciągnął, popijając małymi łydkami koniak.

– Taka kara poniża i wstrząsa, wskazuje na konieczność ugięcia się przed wyższym porządkiem i pozwala poznać całą siłę ojcowskiej miłości.

Herr Luben chwycił swój kryształowy kieliszek pełny złocistego napoju i płukał wewnątrz ust alkoholem, czując, jak ten przenika przez jego błony śluzowe do krwiobiegu.

– Młody człowiek nie zawsze od razu zrozumie siłę tej miłości, ale w końcu ją pojmie – dodawał wielebny Fischer i sięgał po fajkę, którą potem długo pykał, wpatrując się w przyjazne oblicze naszego ojca.

Bito nas więc, a jakże! Bito – forma tak bezosobowa! Otóż biła nas matka i bił nas ojciec. Ale my kochałyśmy naszych oprawców. Taki był dziecięcy los. Nikt się temu nie dziwił, nikt się nie sprzeciwiał, któż śmiały! Wszyscy w całej Republice wiedzieli dobrze, co mówi o wychowaniu dzieci stary dobry doktor Moritz Schreber! Dzieci trzeba ćwiczyć! Dzieci trzeba prostować! Dzieci mają być jak struna! Należy je uciszać za pomocą bicia. Bić tak długo, aż pojmą. Zwłaszcza noworodki – by zawczasu przywykły do zasad, jakie panują w domu. Wystarczyło nieraz zbić tylko parokrotnie, by nieprzyjemne dla rodziców sytuacje przestały się powtarzać. W dziecięcych głowach zostały zakodowane mechanizmy zachowań, jakich wymagali zmęczeni naszym okropnym krzykiem dorośli. Dzieci trzeba było uczyć miejsca w szeregu. Ojciec zwolnił z hukiem piastunkę, która nie stosowała się do zaleceń i miała trzymać przy mojej twarzy soczystą gruszkę, tak bym nie mogła jej sięgnąć spragnionymi słodczy ustami, pożałowała mnie i dała mi ugryźć. A przecież wedle zaleceń dziecku od zarania samego trzeba było wpajać, że jest ostatnie w kolejności dziobania. Że mu się nic nie należy, chyba że ojciec uzna inaczej.

Wiść o błędzie opiekunki rozniosła się szybko po mieście jako ostrzeżenie dla tych, co kwestionują zasady pedagogiki.

O sobie nie mówiliśmy. Mówienie o sobie było fanaberią. Przejawem spontaniczności, na którą w naszym domu nie było miejsca. Życie toczyć się miało wedle jasno określonych reguł, na każdą okoliczność istniały stosowne formuły i zaklęcia i nigdy, przenigdy nie można było poza nie wykraczać, ani w domu, ani w kościele.

Ojciec i matka wpajali nam największy szacunek do dorosłych, a zwłaszcza do ludzi starszych, niezależnie od tego, kim byli. Nauczono mnie, że moim najwyższym obowiązkiem jest pomagać każdemu w razie potrzeby oraz że mam spełniać bezzwłocznie wszelkie życzenia i polecenia rodziców, nauczycieli, księdza i innych, właściwie wszystkich dorosłych. Jeśli wydano ci rozkaz – wykonaj go! Być posłusznym lub umrzeć!

Ale przecież oprócz tego, co wyszło nam zresztą na zdrowie, miałyśmy piękny dom, fortepian i bibliotekę. I służące. I guwernantkę. I przyrządy ortopedyczne od doktora Schrebera, żeby się prosto trzymać. I kąpiele w wodzie z lodem, żeby się hartować. I lodowate spojrzenie ojca.

Był człowiekiem postawnym i przystojnym. Mówiono, że podobał się kobietom. Ale wybrał moją matkę, kobietę kościstą i nieatrakcyjną. Która w dodatku nie urodziła mu syna. To było dla ojca przykre.

Ojca całowałam w rękę co wieczór po kolacji. Kiedy ojciec mówił, trzeba było milczeć. Kiedy bił – podobnie. Za krzyki dostawałam pięć dodatkowych smagnień bacikiem. Dzieci mają być posłuszne, ciche i pokorne. Mają znać swoje miejsce. Ja znałam. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, by sprzeciwić się ojcu. Bito nas także po twarzy, w chwilach większego wzburzenia, gdy kara była wymierzana od razu – bez namysłu. Wpadał w szal i uderzał tak, że nieraz aż się zatoczyłam. Takie czasy. Ja się nie skarżę. Wychowano nas na porządnych ludzi. I twardych. Słabi by tego wszystkiego, co potem było, nie przetrwali.

Moja siostra Elza garbiła się, a ja miałam koślawe kolana. Ojciec zakupił więc stosowne uprząże, w które nas zakuwano, abyśmy wyszły na ludzi i mimo naszego podobieństwa do matki znalazły mężów. Na moich chudych nogach zapinano klamry, które ściągały krzywe łydki do środka, a między kolana wsadzano mi kamień, tak by odsuwać je od siebie. Moje nogi były całe w sinych wybroczynach. Elzie nakładano na głowę i barki rodzaj chomąta i stała tak, podczepiona pod sufit, czując ponoć, jak jej się kręgi prostują. Kiedy siedziałyśmy przy stole, na głowy zakładano nam skórzane opaski, które przymocowane z tyłu do krzeseł ciągnęły nas w odpowiednią stronę, tak by kręgosłupy nie garbiły się niepotrzebnie. To były jednak poczciwe metody. Całkiem nieskuteczne. Nogi mam krzywe, jak miałam. Elza zginęła pod gruzami, z potężną skoliozą, za to bez męża. Ojciec zginął na froncie. Matka zmarła na gruźlicę.

Weimar. Moje miasto. Zniknęło z powierzchni ziemi, a potem wstało. Podniosło się z ruin, choć miało latami gnić pod zwałami gruzu. Całe Niemcy miały gnić. Jak zapowiedział to ów angielski kapitan, kiedy go pytano, czemu nie pomagają odbudować Niemcom dworca w Hamburgu: „Dlaczego mamy wam pomóc odbudować go w trzy lata, kiedy możemy w trzydzieści?”.

Dureń. Nie potrzebowaliśmy was, żeby wstać z kolan.

Po wojnie wróciłam tam, by zastać wszystkich martwych lub na wieki wieków zaginionych. I jak to mówią – morze ruin. Uciekałam ze wschodu, w zawsonym pociągu, gdzie ludzie byli obdarci, brudni, chorzy. „Pociągi niezdatne do przewożenia towarów”. Zdatne oczywiście do przewożenia ludzi. Nas.

Były nas tysiące, setki tysięcy. Pociągi pełne ludzi nadjeżdżały i nadjeżdżały, wypływały te żywe trupy ludzkie w trupach miast. Smród gnijących ciał i chorych oddechów prosto z pustych trzewi, odory ślimaczących się ran, szczyń i gówna mieszały się ze sobą w najbardziej odrażającą mieszankę, jaką można sobie wyobrazić. Tak pachnie groza.

Na ostatnim odcinku drogi leczyłam czyjeś dziecko. Nie wyleczyłam. Nie da się wyleczyć dziecka za pomocą brudnych szmat i zimnej wody. Mówiłam im, ale zdawali się mnie nie rozumieć. Ratuj dziecko, ratuj dziecko. Co ja mogłam. Nic.

Co rusz rozlegał się gdzieś jakiś szloch, bo czyjaś udręczona dusza ulatywała w niebo.

Wagony sanitarne, do których wkładano chorych, były zwykłymi umieralniami. Polakom po drodze trzeba było zapłacić dwadzieścia marek za pochowanie zwłok na cmentarzu, bo za darmo chowali je najwyżej w polu przydrożnym. I wszystko od nas brali, co było. Dojechałam w lichej sukni i bez butów, bo wszystko mi polscy żołnierze zabrali. Zatrzymywali transport, otwierali wagony i zabierali. A że w pociągach były głównie matki z dziećmi i starcy, bo mężczyzn w sile wieku zdążyli już wybić wcześniej albo sami się wybili, robota szła gładko, kto by się tam bronił. Czasem kogoś zgwałcili, czasem zabili. Choć zabijać to nawet za bardzo nie trzeba było – co rano w wagonach nowe trupy leżały. Z głodu, z chłodu.

Pociągi takie jak nasz odstawiano na bocznice. I stały. Tydzień, dwa, trzy. Nikt do nich nie zaglądał, nikt nie przynosił jedzenia, nikt ich nie ogrzewał. Odłączano lokomotywę. A ludzie, zamknięci w tych wagonach niezdatnych do przewozu towarów, koczowali wśród półżywych i martwych. Uchodźcy ze Wschodu najbardziej nienawidzili Polaków i Ruskich, ale uchodźców ze Wschodu nienawidzili ci, co ocaleli na Zachodzie. Bo na przykład zajęli ich mieszkania i bali się, że któregoś dnia zapukają do drzwi. A tak się działo. Gdy człowiek z pociągu, cudem przetrwawszy morderczą podróż, przychodził do swego cudem ocalałego z bombardowań domu i zastawał tam kogoś, kto nie zamierzał go wpuszczać, wtedy wracał do zapchlonego wagonu, siadał na podłodze i płakał. Dzieci wyły z głodu, dorośli wyli z bólu. *So ist unser Los.*

I ciągle lało! Tak, tak, to ma większe znaczenie, niż można by sobie wyobrażać, bo gdy się mieszka w piwnicy, lejące się z nieba hektolitry wody zaczynają w którymś momencie stanowić większy problem niż wszy czy głód. Gdy wspominam tamten czas, widzę czarne dziury piwnic zalanych wodą na kilkadziesiąt centymetrów i białozielone twarze ludzi wychodzących z tych piwnic. I dzieci chore na gruźlicę, dzieci biegające po ulicach jak bezpańskie psy. I tak samo groźne. Dzieci złodzieje, dzieci bandyci. Zdemoralizowane małe potworki, chude, o zapadłych policzkach, ogolone na łyso, o wielkich głodowych brzuchach. Skaczące swoim ofiarom do gardła. Z głodu. Z osamotnienia. Z szaleństwa. Sieroty wojenne, których nie powinno się ocalić. Istoty niepotrzebne. Ja się panicznie bałam tych dzieci. Ja!

Tak. To był nasz powrót do domu. W mieście od jakiegoś momentu stały tablice, na których przyklejano obwieszczenia o wykonanych wyrokach. Myśmy wtedy czytali to całkiem obojętnie. Jakby nam odebrano cały strach. Jakby ta piwniczna woda zalała nam umiejętność racjonalnego myślenia. Bo gdy zjawiał się ktoś ot choćby z Hamburga albo Essen, albo skądkolwiek i mówił: „A to u was jeszcze nie jest tak źle”, wówczas myśmy reagowali złością. Bo to u nas jest źle, u nas jest najgorzej!

Brali nas do odgruzowywania miasta. Można było iść na ochotnika i przerzucać cegły. Chętnych było zawsze dużo. Kto wie, co tam można znaleźć w takich ruinach. Może puszkę fasoli, a może złoty naszyjnik? Ja nie znalazłam nic oprócz trupa przywalonego cegłami i belką. To była kobieta zwinięta w kłębek jak kot. Przerывało się wtedy pracę, krzyczało się „trup” albo „zwłoki” i wołało żandarmów. Czasem z trupa zdejmowano kosztowności, ale zawsze trafiały one do kieszeni policji. Myśmy tylko łakomie patrzyli, jak złote obrączki znikają w ich płaszczach.

Dużo o tym czasie myślę ostatnio. Dużo myślę o winie i o karze. Że nasza kara była zbyt wielka. Przeliczam monety – pięć, osiem, dwanaście marek – proszę – kładę pieniądze na ladzie sklepowej. Młoda ekspedientka, z trwałą ondulacją i tandetnym makijażem, zbiera je bez słowa i podaje mi zawiniątko w szarym papierze. Na jego powierzchni pod naciskiem mojej dłoni wykwita bordowa plama krwi. Dobry stek na kolację na pewno wart jest tych kilkunastu marek pozostawionych w mięsny.

Chowam paczkę do płóciennej torby i rzucając ledwie słyszalne: *Danke*, odchodzę od lady.

Dzień jest piękny. Czuję, jak słońce pieści czule moją twarz. A twarz mam mimo wszystko ładną. Choć już przecież niemłoda. Ale to taki typ – odpowiednio się starzeć potrafi tylko dobry gen! Krótkie, przycięte na pazia włosy mam siwe, ale lśniące, zmarszczki wokół oczu widywałam gorsze u pięćdziesięciolatek, a i zębów mimo wszystko udało się nie stracić zbyt wielu. Kiedy dodam trochę czerwieni na usta, mogę się podobać mężczyznom w swoim wieku. Szkoda tylko, że ich już tak niewielu zostało. Niosę torbę z zakupami do domu, wracając spacerem z miasta. Nucę sobie pod nosem, swoim zwyczajem. Zawsze lubiłam muzykę. Opera, operetka, tak, zwłaszcza romantyzm. W naszym domu zawsze było dużo muzyki. Ćwiczyłyśmy gamy do upadłego. Wyrosłam w jej umiłowaniu. Nie ma teraz nic przyjemniejszego niż wieczór z dobrą muzyką. Czy to w domu z odtwarzacza, czy to w filharmonii. Mam wykupione karnety do opery, staram się bywać często, to takie przyjemne wejść w tłum eleganckich ludzi, w etolach

i smokingach, pachnących perfumami. Zawsze lubiłam luksus. Te perkalowe sukienki, w które ubierała nas nasza Mutti, te lalki z porcelany, te czekoladki, te aksamitne rękawiczki i miękka egipska bawełna pościeli, do której wieczorem przytulałyśmy głowy w naszych uroczych łóżkach ze złożonymi baldachimami.

A po wojnie człowiek, który przymierał głodem, kiedy wędrował obdarty jak ostatni łachmaniarz, uciekając przed wrogiem, gdy mieszkał wśród ruin, gdzie za każdym rogiem można było dostać nożem pod żebra za paczkę papierosów albo kromkę chleba, uważa za luksus to, że oddycha niezagrzybionym powietrzem. A co dopiero taki stek wołowy, który przecieka mi teraz w torbie. Więc możliwość włożenia welurowej granatowej sukni i futra z lisów po to, by pójść na spotkanie z najbardziej luksusową ze sztuk, jest dla mnie ogromną przyjemnością.

Kiedy zamieszkałam w ruinach Weimaru, nie słyszałam innej muzyki niż buńczuczne marsze orkiestr dętych, które uświetniały przemowy naszych nowych liderów. Na przykład doktora Schumachera, który jako żywo przypominał mi Führera. Kiedy na przykład krzyczał z trybuny do zgromadzonych pod nią głodnych, zawszonych i chorych na gruźlicę ludzi o konieczności budowy demokracji socjalistycznej. Wtedy najbardziej.

Było minęło. Dla mnie to już dawno zamknięty rozdział. Ja też uważam, że nie ma co wracać do przeszłości. Poniesiona kara była niewspółmierna. Kat stał się ofiarą.

Idę sobie niespiesznie, bo po co się spieszyć w tak pięknym dniu. Mijają mnie sąsiedzi, kłaniają się, rozmowa o pogodzie trwa chwilę, bo szybkie, niespodziewane nadejście wiosny to dobry pretekst do krótkich sąsiedzkich rozmów. Nachyliłam się nad wózkiem, w którym siedzi mały Thomas, dwuletni syn sąsiadów: „A czy ty, chłopczyku, nie powinieneś już sam chodzić o własnych siłach?”. Kieruję swoje niebieskie spojrzenie na nieco zalęknione dziecko, które odwraca głowę.

Rodzice dziecka szybko się mitygują i biorą na siebie winę za lenistwo synka. „Lubimy długie spacerować, a jego bolą nóżki. Lepiej wozić, niż nosić”.

Kiwam ze zrozumieniem głową, uśmiecham się zdawkowo i odchodzę, zegnając sąsiadów.

Ja nie chcę narzekać na swoje życie. Po tym wszystkim, co przeżyłam. Moi współpracownicy odnoszą się do mnie z szacunkiem. Jestem ich przyjaciółką, jestem autorytetem, jestem ich wzorem do naśladowania.

Tak więc myślę czasem o Weimarze. Nie byłam tam od lat. Może powinnam się ruszyć, dopóki mi starcza sił, i zobaczyć to odrodzenie na własne oczy. A może nie, żeby mi serce nie pękło.

Ptaki, które latały nad miastem, widziały pustynię. Albo gigantyczne wysypisko śmieci. Albo powierzchnię Księżycy. Jak na Księżycu – tam nie powinno być żadnego życia. Żadnego! A jednak było. Trwało! Z zaszczurzonych piwnic wyglądały dziecięce twarze, na skrawkach ziemi ludzie sadzili kartofle i kapustę. Grzebali w ruinach w poszukiwaniu węgla. Trwali! Przetrwali! Ja też przetrwałam. Darowane mi było życie. Ludzie grzebali w ruinach, szukając najpierw pamiątek, papierów, kosztowności, a potem jedzenia. Czarne krzyże oznaczały miejsca, gdzie leżały jakieś biedne, nieszczęsne trupy do pochowania.

Dzieci bandyci napadały na wszystkich. Nie bały się nawet Anglików, skakały im na maski samochodów niczym stada wygłodniałych małp. Rzucone im ochłapy rozdrapywały, jak bezpańskie psy rozdrapują truchło gołębia. Odwracałam wzrok. Dla nich lepiej byłoby, gdyby się nigdy nie urodziły. Nicość jest lepsza. Nic, cisza i śnieg kryjący ziemię. I ciemność. Tak sobie wyobrażam życie wieczne. Wieczne nic.

Idę teraz ruchliwą i kolorową Berliner Strasse. Gütersloh. Moja enklawa. Takie miłe miasto. Wspinam się powoli na swoje pierwsze piętro. Nogi już nie te, czasem zakręci mi się w głowie, więc mocno trzymam się rzeźbionej poręczy. Kamienicę, w której mieszkam, ozdabia mur pruski. Zawsze wolałam te kamienice mieszczańskie, takie jak nasz dom w Weimarze, pełne wykuszy, płaskorzeźb, ukrytych w zakamarkach figurek, liści akantu pod fantazyjnymi gzymsami. Lubię architekturę zbyt kówną, luksusową. Lubię barokowe kościoły katolickie. Wylewające się z ołtarzy złoto i misternie rzeźbione konfesjonały. Matka prowadziła nas do kościoła Piotra i Pawła i kazała patrzeć na ołtarz Cranacha, na którym z boku ukrzyżowanego Chrystusa tryska krew i opada gdzieś w tle, jakby na głowę samego Cranacha, który się tam uwiecznił w rogu. Patrzyłam na te rany Chrystusowe z wielką pasją, ale bynajmniej nie religijną. Interesowało mnie raczej to, co się działo z tym dręczonym ciałem, ile bólu może znieść człowiek, gdzie są granice wytrzymałości i wreszcie – co czuje, gdy umiera? Ulgę? Złość? Strach?

Próbowałam przejrzeć tę tajemnicę, ale mimo stałego dostępu do śmierci niczego dowiedzieć się nie zdołałam. Może jednak byłam zbyt kiepskim naukowcem. Szansy raz danej nigdy więcej nie odzyskałam. Trudno.

Gdybym miała wyznać komuś swoje grzechy, chciałabym to zrobić tylko w takim miejscu jak kościół w Weimarze. Patrząc kątem oka na strugę krwi z Chrystusowego boku. Ale nie zamierzam. Grzech czy życiowa konieczność? Grzech czy powołanie? Komu o tym rozstrzygać?

Surowa forma pruskiego muru nigdy nie przypadła mi do gustu, ale jak się nie ma, co się lubi, i tak dalej. Kto mieszkał ze szczurami w piwnicy pełnej ludzi, ten nie wzgardzi niczym. Powtarzałam to zawsze moim studentom.

Kładę siatki na małym stoliku w korytarzu, wrzucam klucze do porcelanowej miski na etażerze. Wieszam płaszcz na wieszaku. Kot łąsi się do nóg, widać wyczuł mięso w siatce, bo zazwyczaj stroni od okazywania jakiegokolwiek czułości. I jestem mu za to wdzięczna. Każde z nas chodzi swoją własną ścieżką. Włosy pod kapeluszem nieco mi się przygniotły. Z lustra patrzy na mnie przystojna kobieta w jesieni życia. W kuchni przysiadam na chwilę przy stole, bo zmęczył mnie nieco ten wiosenny spacer. Kot kręci się nerwowo gdzieś w pobliżu i pomiaukuje.

Dam ci, dam zaraz jeść.

Tego dnia rozlega się dzwonek do drzwi. No niestety. Jednak przyszedł. Sama nie wiem czemu, ale myślałam, że nie przyjdzie. Długo mnie nie szukał. Prowadził śledztwo w całych Niemczech, szukając swoich rozmówców. Bo ja nie jestem pierwsza, o nie. Byli tacy, których odnaleźć łatwo nie mógł albo nie mógł się do nich dobić. Wystawał więc pod ich domami, zaczepiał bliskich, wypytywał współpracowników. Pytał o nas – dziś porządnych uczciwych mieszczan, Niemców budujących potęgę Republiki Federalnej. Jesteśmy dziś ludźmi ważnymi, adwokatami, profesorami, dyrektorami, jest nawet jeden poseł do Bundestagu, ludźmi, których broni autorytet instytucji, uniwersytetu, państwa. Nie było łatwo do nas dojść w tym celu, do którego on zmierzał. Każdy z nas na myśl o tym człowieku zaczynał się czuć jak osaczone przez myśliwego zwierzę. Nie godziliśmy się na konfrontację. W końcu każdy z nas był niewinny, takie zapadły wyroki, sąd przecież nie może się mylić, więc po co, na Boga, zbliżać się do niebezpiecznego urwiska. Nikt nie chce spać. On więc, nie mogąc przekroczyć łatwo progów naszych domów, opisywał te domy, marki samochodów, jakimi jeździliśmy, robił portrety żon, dzieci, braci i siostr. Radzili mu różni ludzie, by nigdy u nas nie jadł i nie pił niczego, jakbyśmy mieli w planach podanie mu cyjanku w herbacie albo luminalu w ciasteczkach.

Ale mimo wszystko jest. Stoi w drzwiach, nieco zasapany wspinaniem się po schodach. Młody, stanowczo za młody, żeby móc być poważnym człowiekiem, jakimś partnerem do rozmowy. Młodzi lubią od razu stawać się oskarżycielami. Wyobrażałam go sobie całkiem inaczej. Nie wiem, chyba lepiej. Jest mizernej budowy, mikrej wręcz, jego nadgarstki są chudsze niż moje. Ma rzadkie włosy, grube szkła okularów. Wita się ze mną uprzejmie, nawet rzekłabym, że z uśmiechem. Pyta, czy go wpuszczę, bo trzymam go przez chwilę w progu. Żarty, żarty, zawsze

żarty. Na przełamanie lodów. „Proszę” – odsuwam się, robiąc mu miejsce, by wszedł. Zdejmuje płaszcz, przewiesza przez ramię, patrzy na mnie pytająco. Odbieram mu płaszcz, wieszam na wieszaku i wskazuję gestem salon.

Rozgląda się. Mam wrażenie, że z aprobatą. Tak – widział to mieszkanie oczami wyobraźni. Jego wyobrażenia nie rozmiągają się z rzeczywistością.

Wskazuję mu miejsce na kanapie. Siada i wyciąga notatnik. Kładzie sobie na kolanach razem z długopisem. Proponuję mu kawę, herbatę. Odmawia, prosi o szklankę zimnej wody. Niosę z kuchni.

Siadamy. Patrzy w notatnik, przez chwilę kartkuje jego strony, robi dzióbek z ust, marszczy czoło, po czym podnosi wzrok na mnie i mówi:

– Pani profesor, co u pani słyhać?

Zaskakuje mnie. Nie wiem, jak odpowiedzieć na tak głupie pytanie. Co słyhać? Jakbyśmy zjedli beczkę soli. Nikt mnie nigdy nie pytał, co słyhać. Pytanie lekkie niczym pianka. Nie wiem, dlaczego je zadał. Uwiera mnie.

– Odmawiam odpowiedzi, niech pan zadaje pytania, które mają sens. Jest pan dziennikarzem, niech się pan wykaże. Każdy z nas ma swoje zadanie. Niech się pan z niego wywiąże. Z zadań należy się wywiązywać. Nie uczyli pana w szkole?

Poprawia rogowe okulary na nosie, mam wrażenie, że się uśmiecha kątem ust, znów zerka w notatki.

– Wie pani, usiłowałem rozmawiać o pani z wieloma osobami – mówi. – Ale nikt nie chciał wyjść poza komunały. Nawet pani sąsiedzi, których teraz zaczepiłem przy wejściu, powiedzieli, że starych ludzi powinno się już zostawić w spokoju. I że jest pani cudownym człowiekiem. A potem szybko wsiedli do samochodu i odjechali prawie z piskiem opon. Czego oni się tak boją, pani profesor?

Nie odzywam się słowem. Z milczenia postanawiam zrobić strategię tej rozmowy.

Pochyla się i wyciąga ze swojej skórzanej torby egzemplarz gazety. Podaje mi. To „Spiegel”, numer jedenasty, wiosna 1965. Stary. Na okładce zdjęcie, czarno-białe. Pluton egzekucyjny. „Recepta” – wielkimi literami głosi napis pod spodem.

– Nie rozumiem – mówię mu i oddaję gazetę.

Robi ruch ręką.

– Proszę sobie ją zatrzymać. Niech pani zajrzy do środka.

Przeoglądałam strony. Jest artykuł – zatrzymuję wzrok najpierw na tekście, a potem patrzę na człowieka siedzącego naprzeciw mnie.

Kiwa głową. Pobieżnie przebiegam wzrokiem tekst. Nie wiem, po co w ogóle czytać stare gazety. Wczorajsze gazety wyściełają dzisiejsze kosze na śmieci. Takie jest moje zdanie. Miejsce zdarzeń przeszłych jest na śmietniku historii.

Według badania Instytutu Wickerta w Tybindze, sześćdziesiąt trzy procent mężczyzn i siedemdziesiąt sześć procent kobiet opowiedziało się za zaprzestaniem prześladowań zbrodniarzy nazistowskich.

– Śmietnik historii – mówię, patrząc mu w oczy.

Wzruszam ramionami i odkładam gazetę na bok.

– Dokładnie tyle samo osób w naszym kraju życzyłoby sobie kary śmierci dla mordercy taksówkarza – mówi mężczyzna, ale ja nie podejmuję wątku.

Nie chcę mu niczego ułatwiać. Mnie to wszystko nie dotyczy. Ja już jestem poza.

– Proszę pana, jest pan młody i niedoświadczony, pragnę panu przypomnieć, że nasz kraj, w przeciwieństwie do wszystkich innych, przeszedł przez obrzęd zwany denazyfikacją, a zbrodniarze wojenni zostali skazani na karę śmierci. – Nie widzę sensu w ciągnięciu tego wątku, więc milknę.

– Pani brała udział w posiedzeniach Spruchkammer po wojnie? – Przygląda mi się. – Pytam, bo to podobno dla wielu była forma rozrywki. Jak pójdzie do teatru.

– Owszem, był to prawdziwy teatr – mruczę pod nosem. – Teatr groteski, proszę pana. Zbiorowa odpowiedzialność to farsa.

– Tak mówili wszyscy byli naziści – zauważa. – I najpewniej mieli rację. Bo cóż to za sąd, który sędzi tylko płotki, podczas gdy grube ryby nadal pływają pod powierzchnią? Pani stryj stanął przed Spruchkammer?

– Kto nie stał, drogi panie, kto nie stał. Swojego ojca pytał pan o to?

Ignoruje moją kąśliwość. Byłby z niego wybitny nazista.

– Mam tu dokumenty, wskazujące, że został oczyszczony z zarzutów, powołując się na świadków, którzy zeznali, że słuchał zagranicznego radia.

– Z tego, co wiem, miał też zeznania żydowskiego świadka, świadczące na jego korzyść.

– Kupione za pięćset marek na czarnym rynku, prawda? – Śmieje mi się w twarz. – Każdy miał wtedy swojego Żyda, niech pani nie żartuje.

Zaciskam wargi. Nie zamierzam się odnosić do tych insynuacji.

– Rozumiem – mówi on, przerywając ciszę. – Ten wątek pani nie dotyczy. Ale ja mam pani jeszcze wiele do pokazania.

Sięga znów do swojej skórzanej teczki i wyciąga jakieś zdjęcia. Pokazuje mi. Rozpoznaję, rzecz jasna, budynek na zdjęciu. Nie za duży, ceglany, piętro i kryte dachówką poddasze. Białe framugi okienne. Schludny, porządnny budynek.

Mężczyzna patrzy na mnie. Ja milczę.

– Kiedy była tam pani po raz ostatni?

Uśmiecham się, ach, więc nie da za wygraną, przyszedł pytać. Choć w swojej głowie już wszystko wie. Tak mu się wydaje.

– Drogi panie, jestem gotowa wybaczyć panu wszystkie impertynencje, które niewątpliwie zaraz zacznie pan kierować w moją stronę. Od razu widać, że jest pan za młody, by cokolwiek zrozumieć. Wy, młodzi ludzie, macie w sobie od jakiegoś czasu nieprawdopodobną butę, zauważył pan? Ferujecie wyroki, podkładacie bomby, kwestionujecie raz ustalony porządek, mówicie nam, co powinniśmy, a czego mamy się wstydzić. Nam? Wolne żarty. Bo na jakiej podstawie dajecie sobie takie prawo?

Znów przez chwilę jest cicho. Pochylił głowę i kręci nią z niedowierzaniem. Niby dyskretnie, ale tak, że widzę.

– Mimo wszystko będę nalegał. Może w końcu, po latach, zechce pani rozmawiać. Chciałbym bowiem, aby opowiedziała mi pani, jakie były kryteria selekcji, którymi pani osobiście się kierowała. – Pytanie pada jakby w próżnię. Nieprzyjemny głos tego człowieka rozchodzi się i mętnieje. – Bo przecież oficjalne zasady to jedno, a osobiste przeczucia i intuicja to drugie. Wybierała pani jakiś określony typ? Padaczka tak, zespół Downa nie? Niegrzeczne dzieci tak, oswiałe nie? A może odwrotnie? I nigdy się pani nie zawahała, składając podpis?

Wstaję, podchodzę do okna i uchylam je.

– Zapalę sobie. – Wyjmuję z szuflady komody paczkę cygaretek. – Chce pan?

Wyciągam w jego stronę otwartą paczkę, ale on kręci głową.

Cisza jest nieznośna. Słysząc tylko tykanie zegara i brzęczenie muchy uwięzionej między dwoma oknami. Zaciągam się głęboko. Z przyjemnością.

Robię to rzadko, ale cenię sobie te chwile.

– Profesor Luben – mówi do mnie znowu ten natręt w przebraniu dziennikarza – przyszedłem z panią rozmawiać. Nie musiała się pani zgadzać na tę rozmowę, a jednak mnie pani przyjęła. Niech więc powie mi pani: dlaczego?

Och, to doskonałe pytanie, wie pan. Doskonałe. Sama je sobie dziś rano zadałam, kiedy szłam przez miasto, wracając z zakupów do domu jak na szafot. Bo nie wątpię, że pan chciałby mnie tam zobaczyć. Śmierć przez powieszenie dla wszystkich urodzonych przed 1945 rokiem. Myślę, że moglibyście sobie to wypisać na sztandarach.

– Zgodziłam się z panem porozmawiać, bo gdybym się nie zgodziła, pan i tak napisałby, co pan chce. A może dlatego, że jestem stara i już mi wszystko jedno. Albo z tego powodu, że nie jestem niczemu winna.

Wskazuję na ścianę – wisi tam zdjęcie, na którym z grupą roześmianych ludzi stoję w otoczeniu starożytnych ruin. Zdjęcie jest kolorowe, nasycone światłem, a moja twarz na nim ukryta w cieniu kapelusza.

– Byłam trzy lata temu, proszę pana, w Grecji. Na Peloponezie. Piękne miejsce. Pojechałam z wycieczką lekarzy z naszego instytutu. To było bardzo przyjemne doświadczenie. Te spalone słońcem wzgórza schodzące prosto do morza, biały, jasny piasek, skały, o które rozbijają się fale. Wino, dobre jedzenie, wie pan, ja lubię proste przyjemności. Potrafię je docenić. Mieszkaliśmy w miejscowości o pięknie brzmiącej nazwie Kardamili. Dziura, ale urocza. Z okien mojego pokoju widziałam górskie pasmo. Pan wie, co to za góry? Pan wie, jakie to miejsce? – Patrzę na niego z wyczekiwaniem i zaciągam się dymem. – Skąd miałby pan wiedzieć. Jest pan tylko dziennikarzem.

Widzę, jak mężczyzna tężeje. Och, jak łatwo dziś ludzi dotknąć. Jak łatwo.

– To jest, proszę pana, Sparta i masyw gór Tajget. – Milknę na chwilę, by pozwolić mu cokolwiek dopowiedzieć, ale tak jak się spodziewałam, nie mówi ani słowa.

Wpatruje się we mnie i nic nie notuje. Nie wiem, po co mu ten notes.

Wstaję i podchodzę do biblioteki. Wodzę wzrokiem po książkach.

– Jest. – Wyciągam i pokazuję mu. – Zna pan to?

– Plutarch? Znam.

– Pozwoli pan, że mu coś przeczytam. „Gdy rodziło się dziecko, ojciec brał je i zanosił na miejsce spotkań, gdzie zasiadali najstarsi spośród członków tej samej fyli. Oni to badali noworodka. Jeśli miał prawidłową budowę i był silny, nakazywali go żywić. Jeśli niemowlę

miało wadliwą budowę, odsyłali je na miejsce zwane Apothetai, będące urwiskiem w górach Tajgetu. Sądziłem bowiem, że lepiej dla niego samego i dla polis, aby nie żyło to, co od samego początku nie miało zdrowia i siły”.

Zamykam książkę. Mężczyzna wierci się niecierpliwie. Widzę, że chce coś powiedzieć, ale go powstrzymuję.

– Niech pan chwilę zaczeka, nim zaczniesz snuć analogie. Bo nie warto. Plutarch był w błędzie. Nic takiego nie miało miejsca. Ot, kolejna legenda pasująca do układanki, do ogólnego obrazu. Niech pan to sobie dobrze przemyśli, proszę pana.

Dziennikarz uśmiecha się i kręci głową.

– Pani profesor – zaczyna – zostawmy na chwilę panią, chciałbym porozmawiać o innych.

– Ależ proszę. – Dociskam kciukiem peta w popielniczce. – Całe życie rozmawiam głównie o innych.

Dziennikarz wyciąga z teczki zdjęcia – pokazuje jedno z nich. Z fotografii spogląda na mnie niezbyt atrakcyjny mężczyzna w okularach, łysiejący, grubawy, z nalaną twarzą i małymi oczami.

– Zna go pani?

Teraz ja się uśmiecham.

– Czy go znam? Owszem. Heinrich to jeden z najważniejszych austriackich ekspertów psychopatologii.

Podaje mi kolejne zdjęcia – przyglądam się twarzom: Ernst Kretschmer, Werner Villinger, Friedrich Mauz, Friedrich Panse. Oczywiście, że ich znam. Każdy z nich był przez jakiś czas szefem Niemieckiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Wybitni specjaliści, wybitni psychiatrzy. Każdy z osobna.

– Elita niemieckiej nauki – mówię, oddając fotografie dziennikarzowi.

– Werner Villinger nie żyje od dawna. Popęłił samobójstwo. Wie pani dlaczego?

– Kretschmer też nie żyje, o niego pan mnie nie zapyta? – Wpatruję się w twarze kolegów na fotografiach. – Skąd mam wiedzieć, co skłoniło Wenera do tak radykalnego kroku. Jestem tylko zwykłym psychiatrą, a nie jasnowidzem. Nie prowadziłam jego leczenia, a rozmowy na konferencjach naukowych dalekie są, proszę pana, od intymnych zwierzeń. Ludzie popełniają samobójstwa z najróżniejszych przyczyn.

Chciałabym skończyć już to przesłuchanie, bo przecież nie można tego nazwać wywiadem. To jednak nie koniec oglądania zdjęć, widzę, że na kolanach mężczyzny widnieje ich spora kupka.

– A to? – Podstawia mi pod nos zdjęcie półek, na których stoją dziesiątki słoiki.

Przyglądam się uważnie.

– Zapewne jakieś preparaty? Robi pan w ramach hobby zdjęcia na akademiach medycznych? – Mój głos brzmi nieprzyjemnie, wiem o tym.

On jednak zdaje się ignorować ten wrogi ton.

– Niech się pani przyjrzy dokładniej, o, może tu lepiej widać. – Podsuwa mi kolejne zdjęcie.

Na fotografii, którą trzymam w ręce, słoje są w znacznym zbliżeniu. W środku, ułożone bokiem, tak żeby się lepiej zmieściły w formalinie, dziecięce głowy. Mają zamknięte oczy, przecięte czaszki, wypreparowane mózgi.

– Tak, to robi wrażenie na wielu, na panu pewnie również. Ale już na studentach medycyny pierwszego roku niekoniecznie. Nie można mieć stosunku emocjonalnego do preparatów. – Wzruszam ramionami. – Dlaczego pan mi to pokazuje?

– Pani profesor, skąd bierze się mózgi do badań?

– Och, drogi panie, niech się pan wybierze jeszcze raz na akademię i porozmawia z pracownikami patomorfologii, nie zamierzam odrabiać za pana zadań domowych.

Dziennikarz podsuwa mi pod nos portret Heinricha Grossa.

– A skąd on brał? Skąd ta jego kolekcja?

– Z tym pytaniem proszę pojechać do Wiednia. – Zaczynam się irytować.

Nie wiem, do czego on zmierza. Albo wiem.

– A Ernst Rüdin? Znała go pani?

– Znałam go z jego prac naukowych. Proszę pana, wiem, że znów stara się pan insynuować. Przecież dobrze pan wie, że profesor Rüdin został oczyszczony w Norymberdze. Naprawdę myśli pan, że w tym trybunale zasiadali ludzie, którzy nie posiadli stosownej wiedzy? My byliśmy tylko naukowcami, naszą rolą było i jest przekraczanie granic tego, co nieznanne, dla dobra ludzkości. Naukowiec zawsze musi iść krok naprzód.

Dziennikarz notuje moje słowa z miną świadczącą o głębokiej pogardzie. Nie obchodzi mnie to.

– Zapewne słyszała pani o samochodach-komorach gazowych? Ładowało się wariatów do samochodu, wiozło na wycieczkę, a po dojechaniu na miejsce wyrzucało ich otrute gazem

zwłoki prosto do przygotowanych wcześniej dołów. Wspaniały wynalazek – mówi z przekąsem.

– Taki właśnie, jak to pani ujęła, krok naprzód!

– Nie mam nic wspólnego z tym, o czym pan mówi. Obraża mnie pan, przywołując mnie w kontekście tych straszliwych zbrodni, za które winni zostali ukarani. Przykładnie.

– Naprawdę? – Przekrzywia głowę – Naprawdę pani tak uważa? Czy pani czegoś w życiu żałuje, pani profesor? – Zmienia kierunek rozmowy tak szybko, że przez chwilę tkwię w zdumieniu, z otwartymi ustami.

– Czy żałuję? A pana zdaniem powinnam?

Nic nie mówi, tylko na mnie patrzy intensywnie niebieskimi oczami.

Pochylam głowę i przyglądam się swoim rękoma, całym w plamach wątrobowych. Żałuję, że jestem stara. Tego głównie. Żałuję, że jadłam mięso ze zdechłych zwierząt, że nie zginęłam na czas, żałuję, że wszyscy umarli. Takie tam. Żale. Gorzkie.

– O co panu właściwie chodzi? – atakuję. – Przyszedł pan tu z jakąś tezą do udowodnienia? Proszę przejść do rzeczy, bo od godziny kluczymy jakimiś opłótkami, a ja nie mam czasu. Chce mi pan coś zarzucić, to śmiało. Sąd mnie z wszystkiego uniewinnił. Sprawiedliwości stało się zadość. Nie jestem nazistką, nie byłam nazistką i są na to dowody. Pan nie daje im wiary, trudno, ale niezawisły sąd dał. Niezawisły, rozumie pan sens tego słowa?

– To ja pani odpowiem ciekawą anegdotą – mówi, patrząc na mnie hardo. – Niech pani sobie wyobrazi taki paradoks. Oto pielęgniarka, która wstrzykiwała więźniom w obozie koncentracyjnym śmiertelne dawki trucizny, podczas swojego procesu została zapytana, czy skoro poważyla się na taki czyn, byłaby również skłonna dokonać, dajmy na to, kradzieży albo rozboju. I niech sobie pani wyobrazi, że nie napadłaby na bank, bo „się tego nie robi”, bo już jako dziecko nauczyła się, że nie wolno kraść, a w dodatku kradzież nie wchodziła w zakres jej obowiązków. A podawanie leków, także tych, które nie leczą, ale zabijają, traktowała jako swoje obligatoryjne zadanie służbowe, które należało wypełnić, jak każde inne. – Zamilkł i teraz na mnie spogląda.

Nie mówię ani słowa. Mam już dość tego przesłuchania. Niestety to nie koniec.

– Postanowiłem odświeżyć pani pamięć, pani doktor. O szpitalu w Kocborowie pani słyszała? To taka, rzekłbym, siostrzana placówka. Bo wszędzie indziej truli gazem, ale u was i w Kocborowie było inaczej. Luminal – wyjął z kieszeni blister leku i podstawił mi go pod nos – do kupienia w każdej dobrze zaopatrzonej aptece, na receptę. Ot choćby dla uskarżających się na

chorobliwą bezsenność. Pani, rzecz jasna, sypia spokojnie? – Nie czeka na odpowiedź, lecz kontynuuje: – Pięćset upośledzonych dzieci, to jest dopiero wynik! W sumie pani szpital z tą marną dwusetką wypada blado – szydzi i chowa tabletki z powrotem do kieszeni. – Oni naprawdę mieli wynik dwa tysiące osiemset czterdzieści dwie osoby łącznie. Przyzna pani, że można panią podejrzewać o dobre serce, gdy się porównuje te liczby. Martwi ciągle stali jak kamienne posągi, było tam za mało miejsca, by mogli się pochylić lub upaść, tak mówił Kurt Gerstein, członek Waffen SS.

Kręcę głową z politowaniem – mały gnojek, naprawdę, mały gnojek.

– Bo tak się zastanawiałem, co jest bardziej litościwą śmiercią: trucie luminałem czy może strzał w plecy. Te dzieci ze Świecia, które pielęgniarki zabrali na wycieczkę, niewątpliwie bardzo się cieszyły. Dzieci cieszą się z takich rzeczy jak wspólna wyprawa. No ale myślę, że gdy rozstawili sto dwadzieścioro dzieci w rzędzie, by je po kolei rozstrzelać, cała radość od razu zniknęła. Niby strzał załatwia sprawę szybciej, ale z kolei śmierć w malignie eliminuje ten moment przerażenia, gdy widzisz, że obok ciebie upada kolega z rozplataną czaszką, i słysząc już dźwięk przeładowywanej broni. Tak, ja bym chyba wolał konać w pani rękach, na szpitalnym łóżku niż nad własnoręcznie wykopanym grobem.

Ciekawe, ale nagle robi mi się niedobrze. Żółć i treść żołądkowa napłynęły mi do gardła. Muszę pospiesznie opuścić pokój i udać się do łazienki. Mimo iż bardzo się staram załatwić sprawę dyskretnie, wiem, że on słyszy, jak wymiotuję do muszli klozetowej. I ma pewnie satysfakcję. Kiedy kończę, a torsje nie targają już moim ciałem, płuczę usta wodą i przemywam twarz. W lustrze widzę zmęczoną starą kobietę.

– Skoro pani niczego nie żałuje, to może się pani chociaż czegoś boi? – pyta mnie, gdy już z powrotem siedzę naprzeciwko niego.

Pan mnie pyta o strach? Naszego pokolenia lepiej o strach nie pytać. Kto doświadczył tak potężnego jak my lęku przed śmiercią, ten boi się zawsze, a zarazem nie boi się już wcale. Ale ja nie ukrywam – boję się. Najbardziej się boję tego, że mnie ktoś odnajdzie. Że się zjawi na progu mojego mieszkania i powie: – *Guten Tag, Doktor Luben*. A ja go nie poznam, bo jak miałabym poznać kogokolwiek, kto wtedy był dzieckiem, a dziś jest ojcem, dziadkiem, matką, babką. Boję się nie dlatego, że czuję się winna, lecz dlatego, że nie znajduję w sobie żadnej winy. Zostałam uniewinniona. Nie znaleziono dowodów.

Nic nie mówię, znów milczę. Dziennikarz coś notuje. Notuj sobie, notuj, człowieku, nigdy nie poznasz prawdy. Spekulacje, domysły, naciski. Próbujcie. Śmiało, proszę.

– Pani profesor, przyjechałem do pani właśnie dlatego, że została pani niewinniona. Żeby pani przypomnieć o tym wszystkim. Bo i pani wie, i ja dobrze wiem, że ciąży na pani ogrom zbrodni. Czy zatem wobec nadchodzącego bezlitośnie kresu nie odczuwa pani czasem lęku przed sprawiedliwością? A może pani w nią nie wierzy?

Słucham go, przybierając zupełnie bezbarwny wyraz twarzy. On chyba na to nie zwraca uwagi. Najwyraźniej przyszedł, by mówić, a nie pytać.

– Słyszałem od pani współpracowników, że ma pani wyjątkowo dobre relacje z pacjentami. To jest fascynujące, prawda?

– Wykonuję swoją pracę najlepiej, jak umiem. Niosę ludziom pomoc. Więc są mi wdzięczni. Jestem cenionym naukowcem, pan dobrze wie, jakim się cieszę autorytetem. To, co pan usiłuje zrobić, konstruując całkowicie fałszywe tezy na mój temat, to skandal. – Unoszę się nieco bardziej, niżbym pragnęła. – Zarówno ja, jak i moi znakomici koledzy zasiadamy w międzynarodowych gremiach, jesteśmy cenieni w kraju i za granicą. Chyba pan nie myśli, że Amerykanie albo ludzie ze Światowej Federacji Zdrowia Psychicznego nie wiedzą, kim się otaczają.

Patrzy na mnie przenikliwie, jakby chciał mnie przejrzeć na wylot. Po czym znów uśmiecha się kącikiem ust, tak bym odczuła całą jego pogardę dla mnie, i mówi:

– Nim się pożegnam, chciałbym, żeby się pani jeszcze tylko ustosunkowała do pewnego mojego wrażenia.

– Niechętnie – odpowiadam, a on wzrusza ramionami.

– Nie wątpię – mówi.

Pakuje do torby swoje notatki, zdjęcia, szpargały. To trwa dłuższą chwilę. W końcu odzywa się:

– Otóż mam wrażenie, że nasze społeczeństwo stanowi siatkę, sieć powiązań. Ta siatka ma ogromnie duże oka, przez które na wolność wypadają takie jednostki jak pani.

Słucham go naprawdę znudzona. Te jego popisy oratorskie nużą mnie i męczą.

– Jak to możliwe, że tacy ludzie jak wy wiele lat po wojnie piastują ważne stanowiska, leczą ludzi, wydają wyroki, zasiadają w ciałach doradczych, budują potęgę Republiki, wspierają kanclerzy, wpływają na opinię publiczną? Dlaczego powiada się „ciszej nad tymi trumnami”, gdy umieracie spokojnie ze starości? Wie pani dlaczego? Ja pani to wyjaśnię: to wszystko dzięki

sieci! Dekonspiracja jednego z was boleśnie uderza we wszystkich. Wie pani, co powiedział Heinrich Gross, gdy zapytałem go, czy jest coś, czego żałuje? Otóż żałował, że dał się złapać. Uwierzy pani? I tylko tego. Nie było mu żal trzystu główek w formalinie ani jego wojennych pacjentów, jak jeden z nich, Friedrich Zawrel, który przeżył eksperymenty i przyszedł, by go oskarżyć, a on siłą swego autorytetu z powrotem wsadził go do wariatkowa, jako element społeczny i groźny.

Podchodzę do niego blisko i wyciągam dłoń, by się pożegnać.

– Opowiada pan kosmiczne bzdury. Nie wiem, kto panu nawkładał do głowy takie rzeczy. Przeszliśmy swoje. I my, i kraj. A teraz pozwoli pan, że się rozstaniemy. Jestem już bardzo zmęczona. Dokończmy tę rozmowę innym razem. Lub nie kończmy jej wcale, bo nie widzę sensu.

Posłusznie wstaje i przechodzi do przedpokoju, żegnając się zdawkowo w progu.

– Do widzenia, profesor Luben.

– Oby nie.

Wychodzi. Z ulgą zamykam za nim drzwi. Opieram się plecami o ścianę.

Dobrze, że dziś czwartek. Mam na dziś bilet do filharmonii. Postanawiam się nieco odświeżyć przed wieczorem. Po tej rozmowie jestem spocona, czuję, jak mój pot cuchnie strachem. Znam dobrze ten zapach, strach pachnie bardzo brzydko. Kiedy nachylasz się nad dzieckiem, które umiera i nie wie, co się z nim dzieje, czujesz go bardzo wyraźnie. I teraz ja też tak pachnę. Wchodzę więc do wanny i długo oblewam się wodą. Wycieram się do sucha sztywnym ręcznikiem, mocno, aż cała skóra staje się zaczerwieniona.

Przed osiemnastą przyjeżdżają po mnie doktor Wernke z żoną. Widzę ich samochód przez okno, macham do nich i narzucając na siebie płaszcz, wychodzę.

Koncert jest nieudany. Orkiestra z włoskiej La Scali, poprawna do granic wytrzymałości. I co się z tymi ludźmi dzieje, że tak im klaszczą? To, że równo zagraли, nie jest jeszcze wielkim osiągnięciem. Ten wstaje, tamten wstaje, poszaleli chyba. Siedzę wbita w swój fotel na pierwszym balkonie i tylko z poczucia obowiązku zmuszam się do klaskania. A skłonna byłabym ziewać jedynie. Oboje Wernke zadowoleni, ale ich gust pozostawia często wiele do życzenia. To ludzie uroczy, lecz o dość płytkim światopoglądzie. Gładki, mdły koncert, który wszystkie emocje zarzyna poprawnością. Być może to po prostu nie jest najlepsza orkiestra, ci mediolańscy muzycy. Albo ja mam dziś gorszy dzień. Wernke i jego żona są miłymi ludźmi.

Mają już wnuki, opowiadają o nich zabawne anegdotki. Dzięki tej rodzinie nie czuję się samotna choćby w Boże Narodzenie, bo zawsze mnie do siebie zapraszają. To miłe, chociaż ich świat wypełniają całkowicie obce mi sprawy. Wracamy do domu w deszczu. Wernke odprowadza mnie pod same drzwi wejściowe. Macham na pożegnanie.

Zdejmuję perły, chowam je do szkatułki, rozczesuję sklezione lakierem włosy, zmywam szminkę. Suknię z weluru odwieszam do szafy. Biorę kąpiel w wannie, jak zawsze z pewnym trudem wchodząc do niej. Kładę się spać, to był długi i męczący dzień. Śpię bez snów. Od lat nic nie śnię. I bardzo mnie to cieszy. Wielka nicość. Mała śmierć.

Zefka

– Ciocia, a czamuście z ujkiem nigdy dziecka niy mieli? Dyć łon wóm tak przo! – Kładę ręce na pomarszczonych dłoniach starej kobiety.

Jak pytać, to tylko teraz, za chwilę być może całkiem jej się już w głowie pomiesza. A przecież zawsze chciałam o to zapytać, tylko coś mnie powstrzymywało. Ale to już pora. Teraz albo nigdy.

Jeszcze niedawno bujna, radosna, głośna, z tymi swoimi wielkimi piersiami, stojącymi na baczność w sztywnym biustonoszu z targu, mimo ósmego krzyżyka na karku, piersiami, którymi nigdy nikogo nie karmiła. Jeszcze niedawno co tydzień jadąca do nas autobusem na tradycyjny niedzielny obiad, z paczką ciastek, z czekoladą, z siatką pełną pomarańczy, zawsze rozdająca pieniądze – mosz tu na loda, mosz tu na kino – teraz jest zasuszona jak wiórek, łysa po chemioterapii, z przekrzywioną tanią peruką refundowaną przez NFZ.

– No ja. – Wzdycha ciężko, milczy dłuższą chwilę, by w końcu powiedzieć: – Bo my niy mogli.

– No tela to jo wiym, jakbyście mogli, tobyście mieli. Jo się pytóm czamu?

Patrzy na mnie, a w jej oczach widzę pomieszanie niechęci z litością.

– Ty byś się dziolacha lepiej tak ło wszystko niy pytała. Ty tego nie chcesz znać.

Ciotka patrzy na mój ciężowy brzuch. Za trzy miesiące urodzę córkę. Jestem wciąż zaskoczona tą jej obecnością, wyczuwam ją pod postacią coraz mocniejszych ruchów. Nie spodziewałam się tej ciąży. Zaskoczyła mnie na autostradzie, kiedy wracając nocą do domu, poczułam ogromną senność. Tak wielką, że się rozplakałam, zjeżdżając na przydrożny parking pełen tirowców śpiących w kabinach swoich ciężarówek. Wiedziałam, że muszę przespać się chwilę, inaczej nie dojadę, zasnę za kierownicą i zginę w wypadku, a żal napłynął mi do oczu, bo tak bardzo chciałam już być w domu. To było dziwne – jestem przecież doskonałym nocnym kierowcą i zawsze jadę tak długo, aż dojadę. Tym razem moja córka, na razie pod postacią zlepku komórek, kazała mi się zatrzymać na obleśnym parkingu śmierdzącym szczynami i spać przez czterdzieści minut. Zrozumiałam, że taki sygnał nie może płynąć ode mnie, że to sprawka metafizycznego wydarzenia. Sprawdziłam to następnego dnia rano w toalecie i odczytując wynik z obsikanej pałeczki testu ciążowego, zrozumiałam, że jest nas dwie. Bo od razu wydało mi się, że to dziewczynka. Małgorzata Janina.

Pływa teraz w odmętach moich wód, kręcąc się jeszcze, póki ma czas, by się kręcić, za chwilę stanie na głowie, wetknie ją w kanał rodny i tak już zostanie aż do dnia zero, gdy oślepiemy ją jasnymi lampami sali porodowej i zszokujemy feerią zapachów. Ale na razie pływa we mnie, od czasu do czasu wkładając swoją małą rączkę w któryś z moich narządów. Stękam wtedy i syczę.

Nie wiem, czy ciotka zdąży ją zobaczyć. Operacja mastektomii i dwie chemioterapie w niczym jej nie pomogły. Rak rozpełzł się po organizmie. W moim ciele dziecko, w jej ciele rak. Rozciągnął swe macki na płuca i wątrobę, i Bóg sam jeden raczy wiedzieć na co jeszcze. „W tym wieku to szkoda się do nas fatygować, pani kochana” – mówi w końcu szczerzy lekarz z centrum onkologii, po szeregu wykańczających ciotkę batalii. Młody, o twarzy okrągłej jak patelnia, łysiejący od namiaru stresów. „Dejcie ji dychnąć przed śmiercióm” – decyduje i kieruje ją do hospicjum.

W parterowym budynku schowanym w parku rządzą siostry miłosierdzia.

Dla mnie są faktycznie bardzo miłosierne, spoglądają na mnie ciepło, może to przez ten brzuch? Kobiety, które wybrały habit i to, by nigdy nie mieć dzieci, są łaskawe dla tych, które dzieci mieć chcą. A może po prostu są uprzejmie, bo wiedzą, że nie przyjadę tu już zbyt wiele razy?

Odwiedzam ciotkę, tym razem jadąc od razu z dworca, po służbowej podróży, prosto z pociągu, śmierdząca wielogodzinnym przebywaniem w brudzie PKP. Marzę, by znaleźć się już w domu, w łazience, pod prysznicem, mam spuchnięte kostki i cisną mnie pierścionki na palcach. Dziecko w brzuchu jest niespokojne, czuję, jak porusza kończynami, oboje jesteśmy bardzo głodni. Idę korytarzem, na którego ścianach wiszą święte obrazy. Jest cicho, przeraźliwie cicho, aż dźwięczy mi w uszach ten brak dźwięków. Pukam nieśmiało do drzwi pokoju numer cztery. Wzdycham i wchodzę do środka.

W trzyosobowym pokoju, zajmowanym teraz przez dwie osoby, na łóżku po lewej stronie siedzi ciotka, na łóżku po prawej umiera powoli jakaś staruszka, która waży pewnie tyle co ten płód we mnie. W jej chude ręce wbite są rurki wenflonów, jakieś magiczne eliksiry sączą się powoli w ten organizm, podtrzymując fikcję zwaną dobrą śmiercią. Staruszka całkowicie zapadła się w sobie, jakby ją coś ciągnęło od środka. Czarna materia zasysa jej ziemską powłokę. Ma zapadłe policzki i wargi w ciup, nikt nie włożył jej w usta sztucznej szczęki. Oddycha ciężko i spogląda przed siebie niewidzącym wzrokiem. W pokoju unosi się nieprzyjemny zapach starego człowieka, pomieszany z aromatem środków czystości i fetorem jątrzącej się rany, która

mężczy moją ciotkę. Wyciągam zydela i siadam pomiędzy łózkami. Tym razem to ja przywiozłam ciastka i siatkę pomarańczy.

– Dej mu dobrze na imię – mówi nagle ciotka, która ma teraz długie chwile zawieszenia.

Wygląda wtedy, jakby była już całkiem gdzie indziej. Boję się wówczas patrzeć w jej oczy.

Uśmiecham się.

– Dobrze, czyli jak?

– Ino nie po rusku.

Stoi w wejściu, trzymając walizki. Na piecu bulgocą kartofle. Matka się krząta. Ma włosy posiwiałe, spięte ciasno w kok z zaplecionego cieniutkiego warkocza. Spódnice wystają czterema warstwami, przykrytymi kwiecistą zapaską. Ręce ma zniszczone, a palce sękate. Nie zauważa jej w ferworze prac domowych. Cała kuchnia aż paruje. Zapach intensywnego potu matki miesza się z aromatem kartofli i parą wodną.

– Jest żech – mówi w końcu Zefka i stawia walizki na deskach podłogi.

Matka podnosi głowę znad garnków powoli, jakby nie dowierzała własnym uszom. Patrzy na Zefkę badawczo, sprawdza, czy wychudła, czy może urosła, wzrokiem rzeźnika oceniającego półtuszę. W ciszy słychać trzaskanie ognia w piecu i bulgotanie wody w garnku pod pokrywką.

– I na co żeś wracała? Żodyn cie sam niy wołol nazod – mówi w końcu, a jej twarz jest całkiem bez wyrazu.

Zefka czuje, jak wszystko w niej opada. Jakby mięśnie nagle przestały trzymać jej szkielet, a ciało przybrało postać rozciągniętego wałka plasteliny.

Oczy zaczynają jej się szklić, ale jest harda, nie chce dać po sobie poznać, że jej przykro, więc odwraca się bez słowa i kieruje się do izby, gdzie siada ciężko na łóżku.

Nie tak sobie wyobrażała swój powrót. Bo przecież mimo wszystko tęskniła za nimi, będąc tam. Za matką, która, gdy ją urodziła, skrzywiła się i powiedziała: „Chciała żech mieć synka”. I która, nawet gdy już w końcu urodziła owego synka, a potem jeszcze dwie córki, nigdy nie odzyskała raptownie utraconych w połogu uczuć macierzyńskich dla Zefy, co jako najstarsza była nie jak córka, ale jak pomoc domowa, niańka, praczka i pomywaczka. Aż czasem ojciec mówił do matki: „Dej tyj dziolsze dychnóńć, niech sie idzie polotać na plac, dyć to jest dziecko jeszcze”.

Zefka się kładzie na łóżku. Patrzy dookoła, jak niewiele się tutaj zmieniło. Bieda jak była, tak jest. Co tu kraść mieli zresztą? Jezusy i Maryjki wiszą, jak wisiały, makatki haftowane różnymi mądrościami – „czym chata bogata, tym rada” – ścięciem krzyżykowym, może trochę poźółkły,

ale wciąż na tych samych miejscach, porcelanowe laleczki oplecione różańcem na półeczce, czerwone korale na obramowaniu lustra, biel byfyja, za którego szybkami jakieś pocztówki, może nawet te od niej, jakieś święte łobrozki, jakieś papiórki, sztrykowane gardiny w oknie.

Zefka leży na łóżku i przygląda się domowi. „Pokój temu domowi” – mówi ksiądz, który chodzi zimą po kołędzie. Kropi wodą święconą sowicie po wszystkich kątach – od ognia, od głodu, od wojny ten dom uchronić racz, Panie. Nie raczy. Wojna przychodzi pod sam próg, łomocze do drzwi – Alfons, chudy jak szczapa i na dziecko, a nie na mężczyznę wyglądający, wciąga na grzbiet mundur niemiecki, choć śpiki pod nosem błyszczą w słońcu. „Dyć to jeszcze dziecko, łostowcie go, deście mu pokój, kaj ión na jako wojna bydzie jechoł, jak on się galot sam łoblyc nie poradzi” – wołają sąsiadki, a małe siostry, których nie obejmie ani służba wojskowa, ani prace przymusowe, czepiają się nóg niemieckich żołnierzy, którzy przyszedli po Alfonsa. Matka przywołuje je do porządku, choć widać, jak jej łza spływa po policzku. „Aniela, Magda, do dóm, a już, furt mi stónd. Życie wóm zmiyrzło, gupie frelki?”

Alfons woła z okna wagonu, który ruszy zaraz na Zachód (jak to dobrze, że nie na Wschód, ale o tym jeszcze nikt wtedy nie wie): „Mamulka, poratujcie mnie, jo nie chca nikaj jechać, mamulka!”

„Bydzie, co mo być” – brzmi mu w uszach jak zakłęcie zdanie, którym żegna go matka, chcąc go chyba uspokoić. Zarazić stoicyzmem, zgodą na nadchodzące i pisane nam przeznaczenie. Bydzie, co mo być, a co bydzie?

Matka wchodzi do izby – Zefka normalnie zerwałaby się z łóżka, ale teraz czuje, że to jej ostatni bastion niezależności, który wniosła razem z walizką. I że jak wstanie, to wszystko znów się zmieni, obróci przeciw niej. Wróciła. Choć tak bardzo chciała zostać.

Gdyby wtedy – dwa lata temu – wiedziała, co dalej nastąpi, nie płakałaby wcale. Wciąż ma przed oczami widok siebie na stacji kolejowej, tuż po tym, jak w Arbeitsamcie zdecydowali, że pojedzie w góry Harzu na roboty. Stała z niewielką walizką w ręce, struchlała, patrząc na matkę wzrokiem zwierzęcia błagającego o litość. Matka, ciągnąc ją mocno za rękę, przyprowadziła ją na dworzec i upewniwszy się, że jest dla niej miejsce w wagonie, powiedziała: „Chow sie tam i nóm gańby nie narób”. Jej sroga twarz była zacięta, jak zwykle nie wyrażała żadnych uczuć wobec córki. Jakby zanosila na dworzec paczkę, którą ma odebrać ktoś tam w głębi Rzeszy.

Po czym, szeleszcząc warstwami spódnicy, odwróciła się i odeszła. Zefka została sama wśród tłumu, mała, chuda, czternastoletnia, i poczuła, jak jej serce pęka z żalu. Płakała aż do samego

Opola, wciśnięta w kąt wagonu. Nikt zupełnie nie zwracał na jej łzy uwagi, ludzie nie mieli ochoty dźwigać cudzych ciężarów, starczały im własne.

Gdyby wtedy wiedziała, co dalej nastąpi, nie płakałaby na pewno. Bo kiedy siadywała na brzegu obitego pluszem fotela Emmy i kładła jej głowę na piersiach, czuła, jak oblewa ją fala niespotykanego nigdy wcześniej ciepła. Miękka dłoń kobiety gładziła jej jasne bujne włosy opadające na czoło, a Zefka zapadała w letarg, w miłosne odrętwienie, w poczucie szczęścia, jakiego nigdy przedtem ani nigdy potem nie miała zaznać. Kiedy wymawiała imię „Emma”, miała wrażenie, że trzyma w ustach słodkie groszki albo bezy z cukierni w Magdeburgu, na które chodziły zawsze, będąc w mieście po sprawunki.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła Emmę, ta stała na dworcu kolejowym, ściskając w dłoniach obleczonych w koronkowe rękawiczki tabliczkę z jej nazwiskiem. Zalękniona dziewczynka podeszła i wyjąkała swoje imię, a Emma, nie bacząc na nic, chwyciła ją za ramiona, spojrzała jej w oczy i pocałowała ją w policzek. „Czekałam na ciebie!”.

Zefka, sztywna jak kłoda drewna, skostniała po długiej podróży w nieogrzewanym wagonie, cuchnąca potem i brudem kolei, zupełnie nie wiedziała, jak się ma zachować i czy to aby nie jest podstęp, za który zaraz zostanie ukarana. Widziała przecież dookoła pełno szwargocących esesmanów, gestapowców, ludzi pod bronią, takich samych jak ci, którzy robili łapanki w Katowicach albo Bytomiu. A jednak ostatecznie poddała się stanowczości Emmy i trzymając ją za rękę, z każdą chwilą coraz bardziej ufnie szła przy niej.

Droga, którą jechały małym staroświeckim powozem, gdzie na koźle siedział mały człowieczek w kapeluszu z piórką (Zefka była pewna, że gdzieś go już widziała!), prowadziła najpierw wśród kamienic pięknego miasta, wysokich na siedem pięter, tak wspaniałych, że Zefce głowa obracała się z prawa na lewo. Emma siedziała oparta o drewnianą poręcz i uśmiechała się tylko, nie mówiąc ani słowa. Z miasta wyjechali szybko, a potem Zefa chyba przysnęła, bo gdy otwarła oczy, miasto zostało już daleko w tyle. Rośliny przydrożne urosły przez ten czas jakoś niemożliwie i gdy Zefa wyciągnęła rękę, mogła dotknąć wiszących tuż nad jej głową ogromnych fioletowych dzwoneczków, a każdy kwiat miał rozmiar jej dłoni. Strzelające w niebo paprocie zacieśniały drogę, a niektóre kładły się nisko, gdy przejeżdżali, kłaniając się Emmie, która rozbawiona machała im dłonią w rękawiczce. Wokół nich latały wielkie różnobarwne motyle, łopocząc ciężkimi od kolorów skrzydłami, a na dywanie z paproci siedziały biedronki, spokojnie

skubiąc sobie nabite na długie patyczki szaszłyki z mszyc. Zefa przypatrywała się temu światu, który był taki inny i nowy. Emma delikatnie gładziła ją po dłoni, a tętent koni niósł się dookoła. Przed pięknym domem z wielkimi oknami mały człowieczek zatrzymał powóz i podał dłoń Zefce, by mogła zeskoczyć na ziemię. Gdy stanęła już obok powozu, a Emma objęła ją ramieniem, ujrzała, jak odjeżdżającemu furmanowi wiatr podnosi połę czarnego fraka, spod którego wygląda żabie ciało, zielone i pokryte brodawkami.

Kobieta otworzyła wielkie białe drzwi i oczom Zefy ukazał się mały chłopiec w wełnianym ubranku w marynarskie paski. Na ich widok schował się szybko za nogą fortepianu, który stał w hallu.

– *Karlchen, komm zu Emma, bitte* – przywołała go Emma, po czym złożyła na jego jasnych jak len włosach pocałunek pełen czułości.

Mały chłopiec podniósł wzrok i popatrzył na zagubioną wśród wspaniałości domu Zefkę. Wziął ją za rękę, ściskając swoją małą łapką jej zimną dłoń, i poprowadził po schodach na górę. Małe ptaszki w klatce wiszącej u sufitu zaczęły śpiewać piękną melodię, a róże, zaglądające do wnętrza przez otwarte okna, rozchyliły swoje płatki tak, że ich aromat wypełnił każdą cząsteczkę powietrza. Zefce zakręciło się w głowie. W pokoju, do którego weszli, z tapety na ścianie przypatrywały się Zefce kolorowe papugi. Jedna z nich zatrzepotała na powitanie skrzydłami i nagle całe ich stado, jak latające pojemniki z farbą, przemieściło się z jednego kąta w drugi, skrzeczając cicho i wesoło.

– Hej, wracajcie na swoje miejsca – rozkazała im Emma, która stanęła nad dziećmi, niosąc ze sobą zapach róż z dołu.

Ptaki posłusznie powędrowały tam, gdzie powinny, a Emma wskazała Zefce łóżko zrobione z łupinki od orzecha. Za kołdrę służyć miał płatek białej róży, poduszka zaś zrobiona została z miękkich jak kocie futerko bazi.

– Odpoczywaj, mała dziewczynko. – Emma położyła miękką i ciepłą dłoń na głowie Zefki, po czym wzięła Karlchena na ręce i wyszli, zostawiając ją samą w pokoju, z którego ścian uśmiechały się kolorowe ptaki.

Zamknęła oczy, myśląc: jaka szkoda, że ten piękny sen zaraz się skończy. Po czym zapadła w białą miękkość. Czowała się śliczna, kochana i mądra. Czowała wszechogarniającą miłość. Cały świat, jaki знаła, zniknął gdzieś daleko. Zefka usiłowała przypomnieć sobie twarze bliskich, ale poblewały, a najbardziej zatarła się sroga i zacięta twarz matki, która we wspomnieniu

przypominała tę zamazaną, poruszoną buzię dziecka na fotografii zrobionej w zakładzie Putzky'ego w Bytomiu – mały szkrab nie mógł usiedzieć spokojnie i na kliszy zamiast rysów twarzy miał jakby ślad po pędzlu, który niedokładnie kładł farbę na płótno. Matka malowała i nikięła gdzieś w odmętach niepamięci, stojąc w cieniu coraz większej i coraz bliższej Emmy w białych rękawiczkach z koronki.

Obudził ją lizaniem po twarzy wielki pies, a na jego grzbiecie siedział wygodnie mały Karlchen, wymachując kolorową wstążką, która na końcu zamieniała się w tęczę i przechodziła przez ścianę na zewnątrz domu. Ach, czyli nic się nie zmieniło! Małe serce Zefki zabiło mocniej.

Emma wołała z dołu: *Kinder, Kinder!* Pies szturchał mokrym nosem policzek Zefy, a ta śmiała się w głos. Zerwała się z łóżka i gnając za rozbawionym Karolkiem, z całej siły wczepionym w długą i gęstą sierść psa, pobiegła na dół do jadalni. Emma w różowej sukni w błękitne róże stała przy stole i zachęcała ich gestem do tego, by usiedli nad parującymi półmiskami pełnymi mięs, warzyw i ryb, ustawionymi ciasno jeden obok drugiego, w otoczeniu pater uginających się od ciast i czekoladek.

Karolek chwycił Zefkę za rękę, ciągnąc ją do stołu. Zefka uwolniła dłoń z jego uścisku i podbiegła do kobiety. Popatrzyła na nią i z całej siły wtuliła się w jej pachnące różą ciało. Stały tak długo, aż na stole kurczaki z rusztu przestały parować. Tuląc się do ciała tej obcej kobiety, która jednak od pierwszych chwil stała się jej bliższa niż ktokolwiek inny na świecie, Zefka czuła, że jest w środku miękka i czysta, nie żywi urazy, nie ma w sobie bólu tęsknoty ani smutku. Jest tylko miłość.

Emma pocałowała ją w końcu we włosy i delikatnie skierowała do stołu, po czym odsunęła sobie krzesło po drugiej stronie, usiadła i patrząc na opychające się frykasami dzieci, powiedziała: „I teraz nareszcie jesteśmy w komplecie”. Wskazała głową na mężczyznę, który jak duch wyłonił się bezszelestnie zza drzwi i stał teraz, zabawnie poruszając krzaczastymi brwiami. „Jesteś szczęśliwa, Emmo?” – zapytał, obrzucając ją czułym spojrzeniem. „Na razie jestem. Mam teraz córeczkę, na razie” – odrzekła, przyglądając się dzieciom, które chichotały i podszcypywały się pod stołem.

Wiatr, który nagle przeleciał przez pokój, uderzył okiennicą w półotwarte okno i wzbił się wysoko ponad krainę Emmy. Tuż za jej granicą wielkie paprocie malały do zwykłych rozmiarów, a gadające króliki i żaby powożące końmi zmieniały się w zwyczajne zwierzęta,

płochliwe albo oślizgłe. Ale najbardziej za tą granicą zmieniali się ludzie. Zmieniali się w głodne psy łowcze.

– Seblyc te szaty i pódź sam – głos matki brzmi jak papier ścierny – bier szróber – podaje jej ryżową szczotę do szorowania podłogi – a gibko.

W kuchni stoi wiadro z gorącą wodą. Zefka bez słowa pada na kolana i wylewa jej trochę na deski. A potem w milczeniu zaczyna szorować podłogę.

Matka wychodzi, wieszając fartuch na drzwiach.

Zefa szoruje podłogę zapamiętane, choć jest straszliwie zmęczona podróżą do domu. „I na co żeś wracała?” – dźwięczy jej w uszach. – „Żodyn cie niy wołoł nazod”. Ma ręce zmacerowane od wody i zdarte do krwi od szorowania. Zbiera się jej na płacz i tym razem, gdy nikogo nie ma w izbie, nie kontroluje swoich emocji. Łzy spadają na mokrą podłogę. Szoruje nimi deski z taką zajadłością, jakby chciała, by cały jej smutek, żal i strach weszły w drewno i nigdy już nie opuściły tego domu. Niech na zawsze wnikną w pory desek, niech ich słony smak zostanie między nimi a klepiskiem. Niech żyją tu z jej nieszczęściem.

Wraca matka i dwie małe siostry. Obie urosły przez ten czas i spoważniały. Rzucają się Zefce na szyję, a ona cieszy się ich bliskością.

Matka rozgania towarzystwo gromkim spojrzeniem. Zefka nie rozumie, czemu jest tak źle, kiedy miało być tak dobrze. Przecież Emma jej mówiła, że lepiej wrócić do matki. „Tylko serce matki, Zefko, *nur das Herz einer Mutter!*”.

Wszystkie zasiadają przy stole. Matka wrzuca im do misek pokruszony chleb, zalewa wodą z czosnkiem. Jedzą gorącą wodzionkę, parzy im języki.

Wieczorem nadchodzi ojciec.

– Zefka! – woła od progu, widząc córkę. – Je żeś! My tak czekali!

Tuli córkę z całych sił, a ona patrzy na matkę, która puszcza słowa ojca całkiem mimo uszu.

– Dziolszka, my sie tak boli, że ty do nos już nie wrócisz. – Ojciec głaszcze dziewczynę po głowie. – Po jakiyemu łone cie puściły, te bauery?

– Rusów się boli, kozali do dóm jechać, bo z frontu im pisali, że bydzie łodwrót. W Reichu terazki wszystkie sie fest bojóm – mówi Zefka.

– Ja ino, że Rusy nojpiyrwij do nos zajdóm – odzywa się nagle matka.

Stoi pod oknem, tak że grudniowe słońce oświetla jej mocną sylwetkę. Twarzy nie widać.

Jest cicho, słycać tylko drapanie łyżek o dna misek.

– Wodzióńka, ino to nóń terozki łostało. – Matka wzdycha, patrząc z wyrzutem na nową gębę do wyżywienia. – A dyc my sie tu wcale źle niy mieli – zwraca się do ojca, który tylko macha ręką.

Po pochyłościach piąć się ku szczytowi
przez skały, z których spada woda,
u stóp czar dolin – któż wysłowi!
Dzika, wspaniała gór przyroda.
Brzoza już liśćmi się zieleni,
przebujne życie kipi w sośnie;
pławi się w wiośnie las radośnie –
my jedni mamyż być znużeni?^[3]

Emma szła przodem, dziarsko podciągając spódnicę, gdy trzeba było przekroczyć rozlewiska, kałuże albo rozłożoną wygodnie wielką ropuchę. Od czasu do czasu zatrzymywała się na kilka chwil, by roześmiani Karolek i Zefka mogli ją dogonić. Dzień był piękny, słońce prześwietlało jasne listki na drzewach, zza konarów błyskało niebieskie niebo. Wspinali się od samego ranka, co rusz zatrzymując się a to przy kamieniu, a to by zajrzeć pod kapelusze grzybów, spod których machały do nich małe leśne stworzenia, a to by zamoczyć palec w lodowatej wodzie strumyka, z którego wyskakiwały sprężyste i lśniące srebrem wielkie pstrągi. Na wycieczkę wysłał ich ojciec Karolka, pan o krzaczastych brwiach, gdy tylko otrzymał niepokojący telegram wręczony mu przez królika, który sam wyjął się za uszy z kapelusza stojącego na progu. Do krainy Emmy nadjeżdżał postrach okolicy – brzydki, podobny do jaszczurki wuj Klaus. Jego czarny mundur na wąskim gibkim ciele widziały z daleka jaskółki, które szybko przekazały tę wiadomość dalej. Krzaczaste brwi poruszyły się niespokojnie, Emma zakryła twarz wachlarzem i tak, by nie straszyć dzieci, powiedziała: „*Meine liebe*, oczywiście, że pojedziemy dziś w góry”.

w nieobjęty kraj – w przestrzenie!
Drzewa, drzewa i drzew cienie
pędzą, lecą, czas mijają
rzeszą gwarną i pątniczą,
góry grają, lasy grają,
chrapią, wrzeszczą, trąbią, krzyczą.
A strumienie cienko smyczą

na skrzypicach kamienistych;
słyszysz szumy – słyszysz pieśni –
pól i krzów, i łąk rosistych?
czy to podziomkowie leśni?
czy to piosenka zagubiona
tej przeszłości, co już kona?
wraca echem baśń wygrana,
zapomniana – przypominana!^{4]}

Wspinali się mozolnie, w upale i w cieniu. Droga na szczyt prowadziła najpierw przez mokradła i torfowiska. Od czasu do czasu wyłaniały się z nich kłapiące paszcze i mlaszcząc błotniście, pozdrowiały wędrowców spieszących w górę. Emma machała do nich przyjaźnie, a Karolek rzucał im okruszki chleba, który podjadał. Szli na szczyt Brockenu, gdzie w noc Walpurgii zbierały się wszystkie niemieckie czarownice. Emma, mimo zapału, co rusz gubiła drogę, ale Zefka myślała, że nic w tym dziwnego – jeśli zazwyczaj trafiała tu z góry, ufając mądrości swej latającej miotły. Emma śpiewała po drodze swoim czystym jasnym głosem. O tym, że kocha *wszystko co zielone, bo jej narzeczony myśliwym jest. Darum lieb ich alles was so grün ist, weil mein Schatz ein Jäger ist!* – powtarzali po niej Zefka i Karolek.

Zatrzymali się w końcu na chwilę na małej polance nad brzegiem wartko płynącego strumyczka. Emma zdjęła buty i weszła do zimnej wody. Przywołała do siebie dzieci, a one dość nieśmiało, ale z zaciekawieniem spoglądały na małe srebrzyste rybki, które natychmiast opłynęły wielką ławicą nogi Emmy. Słońce błyskało i odbijało światło od łusek. Usłyszeli nagle stukot – Emma przytknęła palec do ust, dając im znać, by byli cicho. – Na górę wjeżdżał pociąg, wioząc do stacji meteorologicznej turystów z całej Rzeszy. Wszyscy jechali poczuć siłę pradawnych mocy, wbić się stopami mocno w ziemię i zaczerpnąć siły z samego jej środka. Ławica rybek zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Emma wyszła z potoku i wytarła stopy o brzegi spódnicy. Ruszyli dalej.

Dzieci, wabione przez leśne stworzenia, ociągały się w marszu. Zatrzymywały się, by brać z wyciągniętych do nich elfich i skrzacich dłoni słodkie poziomki i leśne jagody, by głaskać miękkie futerka myszy i wiewiórek, by słuchać treli przelatujących ptaków.

Emma stała w oddali, patrząc w ich stronę. Gdy Zefka podeszła bliżej, zobaczyła, że po twarzy kobiety płyną łzy. Serce i żołądek ścisnęły jej się ze strachu.

Emma patrzyła na dzieci, które choć nie były jej własne, kochała całym sercem, wiedząc już teraz na pewno, że szczęście nigdy nie trwa długo. Bo kiedy spoglądała w dół, wypatrując Zefki i Karolka, ujrzała swój własny cień we mgle, która powoli spływała z góry w dolinę. Cień był ogromny, a wokół głowy widniała tęczowa aureola. Kto zobaczy tę glorię wokół swojej głowy, ten niechybnie zginie w górach.

I wtedy przez mgłę zaczęła się przedzierać Zefka, młóćąc ramionami jak wiatrak, rozganiając widmo i wrzeszcząc jak opętana. Aureola zgasła i rozplynęła się w powietrzu. Jakby ktoś nagle zgasił światło.

Kolejka po bilety jest długa. Tłum ludzi stoi pod wejściem, tłocząc się przy drzwiach. Wsypują się do środka, zajmując szybko co lepsze miejsca przed ekranem. Matka też siada wygodnie, gasną światła i nieco ucisza się gwar rozmów. O swoich wyprawach do kina matka nie mówi w domu nigdy, stary by fest larmował, że na duperele cołki geld wydowo. A jej się też coś od życia należy. Jak się nadarza okazja, by jechać do samych Katowic, zawsze idzie do kina. Wchodzi do sali, która za każdym razem wypełniona jest po brzegi, po to, by zapomnieć o tym, że ciągle czeka na list z frontu. I że nie może spać, bo myśli o tym dziecku w mundurze. Jak on strzyło terozki do ludzi, dyć łón niy umioł ani żaby napłómpać, co sie z niego we familoku wszyscy lachali, że łón tako lala.

Słyszy pierwsze dźwięki muzyki. Podniosła, smutna melodia grana przez orkiestrę wypełnia salę. Na ekranie ukazuje się napis „TOBIS Film”, umieszczony na tle rydwanu z Bramy Brandenburskiej, a potem tytuł filmu *Ich klage an* – „Oskarżam” – tłumaczy sobie matka pod nosem.

Oto listonosz przyniósł frau Heyt list do jej męża profesora. Drżącą dłonią rozkleja kopertę ze swastyką. – „Tak, Tomasz! Masz tę pracę! Zostałeś szefem Instytutu! Jedziemy do Monachium!”.

Szkoda tylko, że piękna i młoda frau Heyt tak cierpi! Ach, paskudna nieznana choroba, która objęła paralizem to niewinne kształtne ciało. Całe kino współczuje – jakie to okrutne, że los boleśnie doświadcza taką dobrą, czułą i piękną kobietę, przed którą przecież jeszcze mogło być całe życie. W laboratorium profesora strzelista i wyniosła asystentka lituje się właśnie nad sparaliżowaną myszą i chce ulżyć jej cierpieniu, kładąc umęczone ciało na posłaniu z waty zalanej eterem. Tymczasem publiczność widzi, jak straszliwe spastyczne bóle wyginają ciało młodej profesorowej. Jej przyjaciel lekarz, ten, za którego nie wyszła, choć on kocha ją bez

pamięci, odmierza krople leku. „Jedna więcej, jedna mniej, jakie to ma znaczenie?” – pyta retorycznie frau Heyt słabym głosem. Prosi go, by wychodząc zostawił butelkę. „Oszalałaś – odpowiada jej wściekły. – Jestem lekarzem, a lekarza powinnością jest ratowanie życia za wszelką cenę”. „Lekarz nie musi więc zapobiegać bólowi nie do zniesienia?”. „Nie”.

Kobiety w kinie ocierają łzy ukradkiem. Taka smutna historia. Mąż profesor w laboratorium szuka leku na tę straszną przypadłość. Jakże jednak medycyna bywa bezradna wobec potęgi nadciągającej niechybnie śmierci.

Piękna Hanna na łożu boleści prosi męża o litość, o dobrą śmierć. O łaskę.

„Hanna nie żyje” – mówi w końcu profesor do lekarza.

„Jak mogłeś! Zabrałeś jej to, co miała najcenniejszego: życie! – krzyczy lekarz. – Mnie też o to prosiła, ale ponieważ ją kocham, nigdy się nie zgodziłem!”.

„Ponieważ kocham ją bardziej od ciebie, ja jej to dałem. Dałem jej ulgę. I wolność. Jej cierpienie było nieludzkie, a człowiek powinien być ponad śmierć”.

Lekarza zaraz spotyka słuszna kara za brak odpowiedniego podejścia – oto dziecko, które leczył uparcie, miast dać mu umrzeć w spokoju, zostaje skazane na niemożliwe wręcz cierpienia po kres swych marnych dni. Widzowie z bólem przyglądają się scenie, w której doktor zastaje rodziców biednego dzieciątka w rozpacz, że zamiast pozwolić dziecku odejść, zmusili je do tej pełnej niewypowiedzianego bólu egzystencji. Och tak – dobra śmierć jest znacznie lepsza od niedobrego życia. Matka nie jest jednak przekonana. Wychodzi z kina pełna niepokoju. I w końcu myśli o Zefce, która wróciła do domu. Jakie musiało być tamto jej życie? Nie chce nic o nim mówić, tylko płacze, gdy nachodzą ją wspomnienia. Czy to możliwe, że człowiek rodzi się nie tam, gdzie powinien, i że anioły niosące matkom dzieci myślą czasem szlaki?

Kiedy Zefka pewnego wieczora stanęła na werandzie, by tak jak co dzień o tej porze rzucać motylom i ważkom cukrową watę na dobry sen, zobaczyła, jak Emma wraca z lasu i wyciera oczy białą muslinową chusteczką. Nad jej głową wirowało stado muszek jednodniówek. Zefka pomyślała, że to może przez te muszki Emmie jest przykro. W końcu to bardzo smutne – umierać tak szybko, nie mogąc zobaczyć nic więcej ponad jeden wschód i jeden zachód słońca. Emma, spostrzegłszy Zefę na werandzie, zatrzymała się w pół kroku, po czym szybko odbiła w bok, kierując się w stronę obory i stajni zamiast do domu. Zefka już miała pobiec za nią, ale jej uwagę przykuło coś dziwnego. Nad lasem, z którego wyszła przed chwilą Emma, na waniliowym niebie pojawiła się czarna rysa, jakby pęknięcie w tafli szkła. Wiatr poruszył

powietrzem i czarna rysa rozszerzyła się niczym rana, z której trzeba wyjąć kulę. Z ciemności, zasysającej już wieczorne światło zachodu, wyłoniło się nagle wielkie oko o przekrwionym białku i żółtawej źrenicy. Zefka poczuła, jak drży, chciała się schować za filarem domu, ale oko, rozejrzawszy się bacznie po okolicy, utkwilo swoje spojrzenie w dziewczynce, która trzymała topiący się w ciepłe jej dłoni cukier. Nie mogła się poruszyć, stojąc jak zahipnotyzowana.

Ta chwila trwała całą wieczność. Na werandę wbiegła nagle Emma i szybkim, stanowczym ruchem zgarnęła Zefę do środka domu. Oko zwęziło źrenicę, po czym z głośnym mlaśnięciem zamknęło się i znikło. Niebo w tym miejscu znów było złote od słonecznych promieni.

Tego dnia Emma po kolacji przyszła do Zefki jak co wieczór, by czytać jej fragmenty *Hermana i Dorothy* z pięknego tomu oprawionego w skórę. Nie rozmawiały o tym, co się zdarzyło, ale Zefa wyraźnie wyczuwała jej wielki smutek.

Emma siedziała przy niej i głaskała ją po dłoni. Nic nie mówiły do siebie, słuchając, jak bzyczą komary pod sufitem.

W końcu Emma przerwała tę ciszę.

– Zefko, musisz wracać do domu. Do swojej matki.

Zefka poczuła, jak oblewa ją zimny pot.

– Ale ja nie chcę. Ja chcę tu zostać.

– Zefko, tu nie czeka nic oprócz śmierci – powiedziała Emma, całując ją w głowę. Wstała i poszła do drzwi. – Ty rozwiałeś moje widmo na Brocken, ale ja tego nie potrafię – dodała, zatrzymując się na chwilę w progu.

Łzy przesłoniły dziewczynce ostrość widzenia. Papugi zleciały się tuż przy jej łóżku, pochylając się nad nią z troską. Odgoniła je gestem pełnym rozpacz.

Gdy obudziła się rano, na ścianach nie było już żadnych ptaków, spokojne kwiatowe motywy ozdabiały skromny pokoik z niewyszukanymi meblami.

Wyjrzała za okno i zobaczyła, że dookoła domu nie ma już lasu z paproci i fiołków, a na koźle powozu, który najpewniej na nią czekał, zamiast ropuchy we fraku siedzi chudy zgarbiony mężczyzna w przetartej na łokciach kapocie.

Pociąg na Śląsk odjechał o czasie. Emma stała w oknie swego domu i trzymała rękę w kieszeni.

Pod palcami wyczuwała trzy fiołki. Bawiła się nimi, płacząc.

Stara Czardybonka kładzie poduszkę na parapet okna i patrzy na plac.

– Chowiejcie kajś te wasze dziołchy. Jak Rusy przijdóm, to wóm nie łodpuszczóm – mówi do matki. – Godóm wóm, to som diobły czyrwóno, co nos nienawidzóm. Mie, staryj baby, już żodyn sie niy chyci, ale te wasze dziołchy to bych kajś pod ziemia zakopała.

Matka wzrusza ramionami i nic nie mówi.

Idzie front, idzie front – wszyscy podają sobie tę wiadomość z ust do ust, jak świętą komunię. Żegnają się przy tym i ściągają czapki z głów. Wszyscy Niemcy z okolicy zaczynają wyjeżdżać, w pośpiechu pakując dobytek na fury, w pośpiechu. Miejscowi patrzą na to z narastającym strachem. Puste domy, opuszczone sklepy, coraz mniej ludzi na ulicy.

I nagle ze wszystkich kominów zaczyna iść dym. Płoną najpierw papiery niemieckie, wszystkie kenkarty, wszystkie książeczki wojskowe, wszystkie volkslisty. Płoną zdjęcia legitymacyjne w niemieckich mundurach, płoną zdjęcia przysyłane przez dawno zabitych synków z frontu, jedyne pamiątki po dzieciach, które zginęły w nie swojej sprawie. Płoną niemieckie książeczki do nabożeństwa i zeszyty szkolne dzieci. Płoną makatki wyszywane krzyżykiem, na których pisano *Grüss Gott!*^[5] i *Arm oder Reich der Tod macht alle gleich!*^[6] Płoną portrety Adolfa Hitlera, rozdawane przy każdej okazji przez propagandę, i czerwone flagi z hakenkrojcami, płoną niemieckie gazety i książki.

Matka też rozpala ogień w piecu. Wrzuca kolejne kartki albumu ze zdjęciami Drezna, który jej Zefka wysłała z robót. Wrzuca papiery, wrzuca pocztówki, wreszcie sięga po zdjęcie Alfonsa w mundurze Wehrmachtu.

Ogień zaczyna lizać brzegi fotografii, na której biedny, wystraszony, chudy chłopiec w za dużej czapce stara się przybrać dzielną minę.

Ojciec doskakuje do pieca i wyciąga zdjęcie. Płoną mu włosy na rękach.

– Ogupiała żeś, babo? – krzyczy do matki i dmucha, gasi żarzące się brzegi. – Jedyne, co mi po tym synku łostało, wyciepujesz?

Bierze z byfyju słoik, wkłada do niego fotografię, dokładnie zakręca i trzymając go, wychodzi z domu.

– Kaj to niesiesz? – wrzeszczy matka. – Kaj to niesiesz?!

Ojciec rusza w stronę lasu. Pod białą brzozą odgarnia śnieg i z wielkim trudem kopie w zamrzniętej ziemi dziurę. Chowa tam swoje dziecko patrzące na niego z fotografii.

Matka chowa pierścionki i korale – zrywa fragment drewnianej podłogi, tak pięknie wyszorowanej przez Zefę, i wrzuca tam woreczki z kosztownościami, po czym przybija z powrotem deski.

– A po jakiemu my tukej łostowómy? – Magda i Aniela zadają wciąż to samo pytanie, patrząc, jak kolumny ludzi, taszczących swój dobytek na furach, wózkach i własnych plecach, w pośpiechu uciekają na Zachód.

– A kaj my mómy iść? My sóm stónd! I my nie sóm Niymce, ino Ślónzoki, do pieróna jasnego, skóńczcie już, dziolchy, sie mie ło to durch pytać, bo nie strzimia – powiada ojciec i wychodzi z domu na plac patrzeć, co się dzieje.

Ludzie rozmontowują rowery na części, które rozrzucają to tu, to tam, jak jakieś bezwartościowe klamoty, co to nikogo nie kuszą.

Dzieci, które od maleńkości uczyły się *Ich bin klein, mein Herz is rein!*², pilnie powtarzają „Aniele Boży, stróžu mój, ty zawsze przy mnie stój”, przypominają sobie liczenie do stu i polską deklinację. Naucz dziecko języka w trzy dni, no naucz. Szkoda, że tu nie można niczego spalić, wypalić z gardła tego szwargotliwego języka raz na zawsze.

– Nojpiyrw za godanie po polsku biyli, terozki bydóm nos bić za niymiecki – płacze jakiś bajtel na placu.

– Niy płakej – uspokaja go Zefka. – Bydzie, co mo być – mówi i strasznie się boi.

Kto patrzy na wschód, czuje strach. Mówią ludzie, że jeszcze zatęskni ta ziemia za gestapo i SS, jak przyjdzie ruski kacap. Polaków nie oszczędzają, swoich nie żałują, to co zrobią, jak na Śląsk przyjdą? No co?

Od Krakowa idą. Podobno jeszcze tydzień, jeszcze dwa.

A może to już?

Ulice pustoszeją, transport kolejowy już nie działa, teraz tylko na piechotę, jak ktoś ma chęć pójść na tę pielgrzymkę do Trzeciej Rzeszy, niczym pielgrzym do Santiago de Compostela, prosząc nie tyle o łaskę, ile o azyl.

Cisza przed burzą.

Zefka w piwnicy z siostrami i matką malują się po twarzy i po całym ciele węglem. Bandażują piersi, wkładają na siebie najgorsze łachmany. Siedzą cicho jak dzikie zwierzęta chowające się w krzakach przed nagonką myśliwych.

Bomby spadają na domy, słysząc krzyki i strzały. Idzie, idzie nowe. Władza ludowa, cała w ręce rad!

Zefka z siostrami siedzą i modlą się do świętej Rity, a w małym Wildenhagen biegnie przez wieś Ida Valentin i woła głosem, który tnie ciszę na krwawe strzępy: „Idą! *Russen kommen!*”.

W piwnicach wszystkich domów rozlegają się krzyki, wycie potępionych dusz. A więc stało się, stało się i przyszli, przyszedł sam diabeł, wyszedł spod ziemi, by teraz nalać nam do wnętrza siarki i lawy i zaszyć nam brzuchy, w których lęgnąć się będą diabelskie pomioty. Ach, kto żyw, kto nie uciekł, ten głupi i potępiony. Sam szatan odwiedza dziś Wildenhagen, dlategośmy nie uciekli, nie pochowali się.

Powiesz nas teraz na krzyżach, przebiją nas bagnetami, a głowy naszych dzieci będą im służyć do gry w piłkę. Będą się spuszczać w nasze łona, aż pogruchoczą nam kręgosłupy, aż przebiją się na drugą stronę. Nasze martwe ciała wyjmą z grobów i będą je deptać, i pluć na nie, i bezcześcić. Wszystko to już widzieliśmy w kinie, o tym wszystkim już nam powiedziano, napisano w gazetach, o kobietach przybitych do krzyży i gwałconych zwłokach.

Córko, żono, matko, jest dla nas tylko jedno wyjście – samym zadać sobie śmierć. Ze swojej łagodnej ręki. Nim przyjdzie nam patrzeć na to, jak piekło nas wszystkich pochłania.

Oto jest sznur, córko, sznur, cośmy na nim wieszały pranie w letnie dni, by suszył je ciepły wiatr. Wisiały na nim twoje białe sukienki i moje czarne suknie. Wisiała na nim pościel z łóżek twoich sióstr i pachnące mydłem koszule twojego ojca.

Ja teraz zaciskam go na swej szyi, spójrz, słuchaj, jak matka do ciebie mówi, patrz, bo to jednorazowa instrukcja, widzisz? Gdy kucniesz, ten sznur się zaciśnie i usłyszysz tylko suchy trzask. To właśnie będzie ta szybka śmierć, co się o nią modlimy przed snem i po obudzeniu. Ta łagodna dłoń, która cię obejmie i przeniesie w świat, gdzie nie będzie już nic oprócz miłości. Ja cię zabić nie umiem, nie potrafię cię udusić, nie mam w sobie tyle sił, by jednego dnia zabijać więcej niż jedną osobę. Wybieram zabicie siebie, wydaje mi się, że siebie mniej kocham, a może to właśnie znaczy, że siebie kocham bardziej niż ciebie, bo ta śmierć zadana komuś to przecież jest najwyższa forma poświęcenia i gdybym cię bardziej kochała, tobym ci pomogła, a nie zostawiała cię tu, dziesięcioletnią i samą, na tym świecie, w którym psy bardziej są człowiecze od nas. Więc może ja nie kocham cię już, dziecko, bo w tym świecie nie można już kochać – jak kochać, gdy matki zakrywają usta niemowlętom kwilącym w piwnicach, by ich jęki nie wydały

kryjówek oprawcom. I zapada cisza wieczna, gdy aniołki fruną do nieba. Ja zaś tak bardzo się boję siebie, że zaciskam pętlę na swojej szyi. Twoją pozostawiam tobie.

Frau komm – rozlega się głos w pokoju, gdy wpadają do środka żołnierze o twarzach płaskich jak księżyc i oczach skośnych i dziwnych. Ale żadna frau nie pójdzie z nimi ani z nikim. Wszystkie frau wiszą na sznurach, leżą z podciętymi żyłami, pływają jak dmuchane zabawki pod lodem na jeziorze. Jak one tam weszły pod ten lód? A ta dziewczynka nie zdążyła, nie potrafiła, źle matki słuchała i nie wisi, tylko płacze i woła: *Mutti mutti*. Ruski się ulitował: „Oj biedna, szkoda cię”. Nie zabił. Zostawił.

W domu obok wykrwawione leżą matka, dwie córki i babka. Jedno dziecko żyje, pić prosi, ale śmierć już mu nad głową aureolę ustawia. Ruscy dają wody, a potem litościwie w brzuch strzelają.

Elza za długo chyba wisiała, pianę toczy z ust jak wściekły pies. Leży na łóżku, bo ją odcięli, ta to pecha miała, zabić się nie potrafiła, głupia, to się potem doczekała pięciu dorodnych chujów kałmuckich, tadżyckich, jakich tam sobie chcesz, co się w ten półzywy twór ludzki spuszczały na wiwat, że choć jedna żeńszczyzna przeżyła.

Samobójstwo też trzeba umieć popępniać.

Zefka i siostry, z czarnymi jak węgiel twarzami, patrzą nagle w twarz ruskiego komendanta, który pierwsze swe kroki skierował do piwnicy. *Frau komm* – proponuje.

– My nie Niemce, my Ślązoki – mówi ojciec, stając na baczność.

Ruski obrzuca go spojrzeniem.

– Zdies budiet nasza kwartira – powiada i przenosi wzrok na kupę łachmanów o poczerniałych twarzach.

Znika w ciemności.

– Mamulko, jo zech sie zesikała w galoty – mówi Magda.

Matka zamyka oczy.

Gdy trzech rośli żołnierzy wyciąga z piwnicy Zefkę i matkę, ojciec rzuca się im na ratunek. Szybka seria z karabinu maszynowego, oddana na oślep, na jakiś czas załatwia sprawę.

Józef Stalin pyka z fajki i powiada: i cóż jest odrażającego w tym, że po takich okropnościach człowiek zabawi się z kobietą? Trzeba zrozumieć, że Armia Czerwona nie jest idealna. Ważne, że bije się z Niemcami – i bije się dobrze, a reszta nic nie znaczy.

Zefka idzie na pierwszy ogień, głupia myślała, że jak się poczerni na twarzy i zgarbi, to jej ktoś tu odpuści? Przecież oto leży pod płótnem udręczone ciało starej Czardybonki, takiej pewnej swego, że nikt się jej już nie chyci, bo tako staro, tako staro.

A teraz leży nieprzytomna, może już nawet nieżywa, może ją zajebali na śmierć, a może umarła od mrozu, w końcu jest styczeń i mróz trzyma jak trzeba, że się potem nie da tak łatwo grobów kopać.

Ziemia stawia opór, jakby zaciskała zęby. „Nie! Nie, kurwa! – zdaje się mówić ludziom wbijającym w nią łopaty. – Nie przyjmę już ani jednego trupa więcej! Proszę natychmiast stąd odejść! Wypierdalajcie, ludzie!”.

Ale i ten opór człowiek gotów jest złamać. Z płytkich grobów wystają więc nogi i głowy, jak z piasku na sopockiej plaży podczas zabaw. Człowiek patrzy na to i czeka – zaraz wstaną, otrzepią się z gliny i pójną dalej.

Zefkę ciągnie za ręce młody chłopak, może ma tych szesnaście lat. Dwóch innych zaśmiewa się do łez, słysząc jej wrzaski. W końcu jeden ucisza ją uderzeniem w twarz. Czuje, jak krew płynie jej po policzku i wypływa z ust razem z zębem. Teraz już tylko jęczy cicho. Jak mały kot, który zgubił drogę do matki.

Matka zaś wyje, patrząc na to, co się dzieje, więc natychmiast dopada ją trzech, przewracają ją na ziemię, zadzierają spódnice, jeden wkłada jej fiuta w usta i ucisza bardzo skutecznie.

Zefka czuje wszystko tylko do pewnego czasu. Nie liczy, trzech, pięciu, ośmiu, jest jednym wielkim płynnym żelazem, ogromną jamą przyjmującą razy, wypełnioną bólem tak wielkim, że pozbawiającym w końcu świadomości. O łasko utraty przytomności, o święta Rito, o Antoni z Padwy, dziękuję wam za tę anestezję.

Komórka jajowa, już dojrzała i gotowa na przyjęcie słynnego daru życia, jest oszołomiona ilością materiału genetycznego z odległego wschodu. Na co się tu zdecydować – zabójca kobiet w ciąży, gwałciciel dzieci, masowy morderca, a może po prostu ten zwykły żołnierz z Ukrainy, gnany zemstą za dziecko zabite przez Einsatzgruppen? Taki wybór, tyle możliwości!

Gdy dochodzi do zapłodnienia, karuzela z genami kręci się jak zwariowana. Nie można chyba ocenić, który został właśnie tatą. Może gdy dziecko podrośnie, gdy okaże się, czy ma oczy bardziej skośne, czy mniej, czy jest wysokie, czy niskie, czy tępe, czy elokwentne – może wtedy okaże się wszystko.

Zefka leży na podwórku swego domu, naga, w dwudziestostopniowym mrozie, na schodach domu leży jej matka, która nie chciała jej powrotu. W piwnicy leży postrzelony ojciec, który będzie bardzo chciał wylizać się z ran, lecz nikt nie wie, jak bardzo skutecznie. Przy nim kuca zsikana ze strachu Magda i trzęsąca się w ataku jakimś Aniela.

– Mocie richtig szczynście – powie im później ujek Ewald spod Opoła, któremu udało się uciec. Jak już było ciepło, to w Łambinowicach wzięli kobiety do kopania w ziemi – tam gdzie Niemcy pochowali ruskich żołnierzy zmarłych w obozach. Kazali im je wyciągać, te trupy. Kopały bez rękawic, bez butów żadnych, słońce świeciło na te trupy, które się rozkładały.

Jak je wykopały, kazali im się położyć na tych trupach, twarzami w dół, kolbami karabinów trzymali im twarze w zgniłej ludzkiej masie. Sześćdziesiąt cztery umarły od tego trupiego jadu.

– Mocie szczynście – powtarza, a Zefka wybiega z izby i wymiotuje.

Brzuch ma już wielki, a ciągle rzyga jak kot.

Dziecko w jej brzuchu jest niespokojne. Nocami czuje, jak się w niej miota, nie wie, czy to jest normalne, nikt z nią o tym nie rozmawia. Może miota się tak dlatego, że nie chce się urodzić? Bo czuje, że ona chciała ten płód spędzić? Bo w jakimś metafizycznym połączeniu, w którym tkwią ze sobą, ono ją przejrzało?

Bo kiedy Zefka nie krwawi o czasie, matka bierze sprawy w swoje ręce. Idzie szukać kogoś chętnego do załatwienia sprawy, gdy ta jeszcze nadaje się do załatwienia.

– Niy ma żodnych dochtorów, niy ma żodnyj hebamy. W szpitalu u gupieloków nikogo, puste budynki, porzucone wszystko. Żodnego ni ma – mówi matka po powrocie do domu.

Takich jak Zefka jest teraz wszędzie pełno, w ich brzuchach urosną zaraz niekochane dzieci, których nikt nie chce na tym świecie.

Zefka ma problemy z sikaniem i stolcem, kłopoty z kręgosłupem, zbiorowy gwałt przyniósł liczne owoce. Rosnący płód jest coraz większym obciążeniem dla udręczonego organizmu.

Matka dowiaduje się, że w Katowicach można się ubiegać o legalną aborcję. Trzeba tylko w papierach napisać, że to ciąża wskutek gwałtu w związku z okolicznościami wojennymi oraz że ojciec to osobnik nieznanany. Niemający nic wspólnego z bohaterko wyzwalającą nasze piastowskie ziemie Armią Czerwoną.

W noc przed wyjazdem do Katowic Zefka leży na łóżku i dotyka brzucha. To dopiero dwa miesiące minęły od Wyzwolenia, dziecko objawia się wyłącznie poprzez mdłości i wstręt do jedzenia. Na szczęście tego jedzenia i tak nie ma, więc jeden problem z głowy.

Zefka czuje nagle obecność. Że jest ich dwoje. Ona i ktoś jeszcze. I postanawia, że urodzi.

Teraz, kiedy jest już w ósmym miesiącu, wybiera dla dziecka imię. Jak będzie syn, to da mu na imię Alfons, po bracie, który się odnalazł w końcu i który od razu zniknął, bo przyszli z NKWD i zabrali go prosto do obozu. Chwilowo słuch po nim znowu zaginął, choć i matka, i ojciec ze skóry wychodzą, by go z powrotem do domu sprowadzić. A jak się urodzi córka, to będzie Klara, bo to takie ładne imię. Już nawet się widzi, jak tuli dziecko do piersi i zakłada mu białe ubranko do chrztu. Postanawia, że po prostu dziecko jest tylko jej. A ona jego. I już na zawsze tak zostanie.

Kiedy mija trzydziesty tydzień ciąży, nocą Zefę budzi potężny ból.

– Zaczyno sie – woła, skręcając się z bólu.

Dom cały zrywa się na równe nogi, ktoś gotuje wodę, ktoś szuka czystych szmat, żeby było czym krew zbierać.

– Za wcześnie, za wcześnie – mamrocze pod nosem matka, uwijając się jak w ukropie.

Siostry lecą po hebamę, Zefka na łóżku wyje jak zranione zwierzę. Coś jest nie tak, coś jest zupełnie nie tak, jak być powinno.

Pielęgniarka, która przyjechała pracować w nowo uruchomionym szpitalu psychiatrycznym, obudzona w środku nocy, załamuje ręce.

– Dziecko jest obrócone pośladkami, to będzie długa noc.

Po wielu godzinach straszliwych cierpień położna kładzie Zefie na piersi jeszcze ciepłe, ale stygnące z każdą chwilą małe zawiniątko.

Na szyi ma owiniętą pępowinę. Udusiło się, wychodząc przedwcześnie na ten świat.

Zefka, sama na granicy życia i śmierci, opada na poduszki.

– Dziołszka? – pyta cicho.

– Ja, dziołszka.

Wielka łza płynie Zefie po policzku. Matka nachyla się nad nią i wyciera jej twarz. Po chwili zabierają jej dziecko z piersi i gdzieś niosą. Jest poranek. Słońce zagląda do izby, ptaki śpiewają na drzewach.

Zefa zasypia ciężkim snem. Najgorsza jednak mara nie może być gorsza od tego, co przeżywa na jawie. Już żaden koszmar nie zdoła jej przerazić, nic jej nigdy nie złamie, nic nie wystraszy.

Nie może być nic gorszego niż to, kiedy na twojej piersi stygnie ciało twojego dziecka, mokrego jeszcze od twojej krwi.

Matka też tak myśli, kiedy do drzwi ledwo słyszalnie puka cień ludzki. Alfons, wypuszczony z obozu po dziesięciu miesiącach. Jemu nikt nie powie: „I po co żeś wrócił”. Na niego się rzucą wszyscy i zaczną ratować to życie, co siłą rozpędu doszło piechotą do domu, by w ręce matki i ojca oddawać ducha swego.

Czuwają przy nim na zmianę. Siedzą po kolei wszyscy i żadne z nich nawet na pięć minut nie przymknie oczu – wszyscy w napięciu wpatrują się w wychudzoną twarz chłopaka, który kiedyś tak bardzo lubił się śmiać.

Matka myśli nocą, wycierając mokrą szmatką pot spływający mu z czoła, że to jest wszystko jej wina. Cierpienie jej dzieci. Gdyby wtedy gdzieś go ukryła, gdyby mu sfalszowała papiery, gdyby nie posłała Zefy na roboty, gdyby stąd uciekli jak wielu innych – nie byłoby tego nieszczęścia. Nie byłiby volksdeutschami z czwartej listy.

Alfons leży w pierzynach matczynych i cicho jęczy. Gorączka rozpala go do granic wytrzymałości ludzkiego organizmu. Widzi przed sobą mężczyznę o szerokich ramionach i czarnych, przystrzyżonych krótko włosach, który mówi: „Nazywam się Salomon Morel i jestem komendantem tego obozu. Moi rodzice i rodzeństwo zostali przez was, Niemców, zagazowani w Oświęcimiu, a ja nie dam wam wcześniej spokoju, aż wszyscy Niemcy zostaną ukarani”.

Matka i ojciec słyszą nagle, jak Alfons zaczyna śpiewać: *Die Fahne hoch! Die Reihen fest geschlossen! SA marschert mit ruhig festem Schritt, Kam'raden, die Rotfront und Reaktion erschossen.*

– Jerónie, synek, co ty śpiywoisz. – Matka załamuje ręce.

A Alfons ma w głowie pierwszą noc w obozie, kiedy pobity za to, że nie umiał śpiewać tej pieśni, uczył się na pamięć wszystkich zwrotek i nigdy, przenigdy nie zapomni jej słów sławiących Horsta Wessela z SA.

W malignie widzi siebie samego, jak leży w głębi ludzkiej piramidy, bo wśród wrzasków i bicia kolbami karabinów więźniowie kładli się jeden na drugim, tak póki tym, co na dole, przygniecionym piętnastoma innymi, nie wylewały się flaki na ziemię i nie pękały kręgosłupy. Widzi, jak ludzie rzucają się na druty kolczaste, by uciekać, i jak giną pokopani prądem, bo te druty to pamiątka po Niemcach, którzy co jak co, ale obozy to przygotować umieli solidnie.

Pamięta matki z dziećmi małymi przy piersi, które usiłowały karmić, ale czym tu karmić – z wody i trawy mleka wyprodukować nie potrafiły.

A potem rozpętuje się epidemia tyfusu. Kiedy leżąc na swojej pryczy, zamyka oczy, by zasnąć ciężkim snem pod brudną szmatą, która aż się rusza, tyle na niej wszy i pluskiew, odpływa na kilka godzin. Po obudzeniu się widzi, że na sali z kilkudziesięciu osób zostało się jedynie kilka, cała reszta już w masowym, bezimiennych grobie spoczęła, razem ze swoją hodowlą wszy.

Matka sprowadza księdza, żeby dał dziecku ostatnie namaszczenie. Nie wierzy w to, że Bóg raczy oddać jej syna, widzi, że musi go uwolnić. Ale dusza Alfonsa nie chce iść do nieba, pazurami trzyma się ciała. Po tygodniu Alfons siada na łóżku. Przy nim siedzi wychudła Zefka, która zrywa się natychmiast z krzesła i woła rodzinę.

– Dziołcha, co łóni ci zrobili. – Alfons patrzy w oczy siostry, a ona z przerażeniem notuje w głowie, że wzrok brata jest pusty, jakby prócz chęci zemsty nie było w nim już nic.

– Alfons, dej pokój. – Zefa głaszcze go po głowie. – Dej pokój, legnij się i łodpoczywej.

Matka szepcze do Zefy:

– Ja, bydzie żyć.

– Bydzie, co mo być – mówi jej Zefa i wychodzi z domu.

Ciotka umiera tej nocy po mojej wizycie. Jak w tanim filmie, „zdążyła się pożegnać, czekała na ciebie” – mówi potem cała rodzina, której na pogrzebie opowiadam o mojej wizycie prosto z pociągu.

Umiera więc kilka godzin po tym, jak siedziałyśmy razem, patrząc a to na siatkę pełną pomarańczy, a to na rurki kroplówek podtrzymujących przy życiu babulinę z łóżka obok. Niewiele mówimy, bo co tu mówić. Ciotka trzyma mnie za brzuch. Normalnie nie znoszę, gdy ktoś z łapami pcha się w poblize mego brzucha. Czy ja dotykam brzuchów innych ludzi? Teraz jednak jest zupełnie inaczej. Moje tętno, tętno dziewczynki w moim brzuchu i tętno ciotki splatają się w jeden rytm. Trwamy tak dłuższą chwilę, słuchając tego wewnętrznego bicia. Wychodzę w końcu, żegnając się z pewną ulgą, bo ta przeciwstawność – rosnące w brzuchu dziecko i dwie umierające kobiety – jest na dłuższą metę ogromnie męcząca. Ciotka nie zatrzymuje mnie. Kiedy wychodzę, wzrok ma całkiem nieobecny, jakby patrząc na mnie, widziała już coś znacznie większego, lepszego, nowego. Kładę to wówczas na karb jej i swojego zmęczenia. A nie powinnam. Bo ona zamiast mnie, a może nie zamiast, tylko obok albo nade mną, albo za mną, widziała czekającą śmierć. Łagodną wybawicielkę.

Po dwudziestej drugiej dzwoni telefon. Taki telefon nocą nigdy nie oznacza niczego dobrego, więc podnosząc słuchawkę, spodziewam się tej najgorszej wieści.

Dziecko w brzuchu reaguje na mój smutek miękkimi ruchami, jakby chciało mnie pogłaskać od środka i przekazać mi coś na pocieszenie. Trzymam się za brzuch i patrzę na swoje odbicie w lustrze szafy w przedpokoju.

Na pogrzebie podchodzi do mnie starszy mężczyzna. Ma siwe kręcone włosy i okrągłe okulary w złotych oprawkach. Wśród tłumu żałobników z familoków, ubranych w tanie garnitury i sukienki z odzieży używanej, wyróżnia się wyglądem.

– *Guten Tag, ich bin Karlchen* – mówi i podaje mi dłoń. – Przyjechałem się z nią pożegnać. Szkoda wielka, że nie udało mi się wcześniej. Napisała mi, że umiera, ale myślałem, że to potrwa dłużej.

Karlchen trzyma w ręce woreczek z płótna. Widzi mój pytający wzrok.

– No właśnie nie wiem, jak mam to zrobić. – Jest wyraźnie skrępowany. – Bo ja tu mam ziemię z naszego ogrodu.

Zaczynam rozumieć cel jego wizyty. Biorę go pod rękę i razem idziemy w stronę świeżo zasypanego grobu.

– Niech pan sypie – mówię mu.

Sąsiedzi i dalsza rodzina patrzą zaskoczeni, jak ów dziwny obcy człowiek rozsypuje worek i wysypuje z niego ziemię prosto na grób.

Karlchen pochyla głowę i mówi:

– Chciała być pochowana w naszej ziemi. Tyle mogłem dla niej zrobić.

Podchodzi do nas mój mąż, który załatwiał sprawy techniczne związane ze stypą. Przedstawiam mu Karla, ściskają sobie dłonie.

Powoli ruszamy w stronę wyjścia z cmentarza, rosół na gazie w restauracji zaczyna pyrkać. Zaraz siądziemy wszyscy w dużej sali na wprost wejścia. Nałożymy sobie makaronu do talerzy, zalejemy rosółem, sypniemy garść koperku, poczekamy na rolady, kluski i modro kapusta. Ktoś powie „Szkoda tyj dziolchy, mogła se jeszcze fajnie pożyć, miała tako fajno emerytura”. Ktoś dorzuci: „Ja, ale już sie niy mynczy w tych szpitalach”. I tak stopniowo pamięć o bezdziejnej Zefie zacznie znikać z naszych głów. I wreszcie zniknie na zawsze. Wolnym krokiem idziemy z Karlchenem cmentarną aleją. Nad naszymi głowami zamyka się zielony tunel drzew.

^[3]J.W. Goethe, *Faust*, przeł. Emil Zegadłowicz.

^{4]} J.W. Goethe, *op. cit.*

^{5]} Szczęść Boże.

^{6]} Bogaci czy biedni, przed Bogiem wszyscy są równi.

^{7]} Jestem mały, moje serce jest czyste.

Ryszard

Wyobraź sobie korytarz. Długi i ciemny. Nie widzisz jego końca, bo ten koniec chowa się w mroku. Idziesz niepewnie, stawiając krok za krokiem, jakbyś szedł po lodzie. Chciałbyś zawrócić, ale widziałeś, że ciężkie drzwi już dawno się za tobą zatrzasnęły, i na pewno nie poradzisz sobie z nimi, bo jesteś tylko małym chłopcem.

Matka od pewnego momentu stała się jakaś inna, pamiętasz? Do wylewnych i czułych nigdy nie należała, może za dużo was w dóma było, może to wina tego, że była gupióm frelkóm, jak cie rodziła, a może po prostu była okropna. Terozki nie dojdiesz prowdy. Kiedy z frontu przyszła wiadomość, że ojca ci zabili, matka wpadła w rozpacz, że was nie wyżywi i że to koniec. Postanowiła, że was rozda po rodzinie – Maryś pojechała na wieś do Ewaldów, bo zgłosili takie zapotrzebowanie. Ty i Edek mieliście czekać na zgodę rodziny pod Hajdukami, w dóma miał sie łośtać yno mały Zefel. Ale tymczasem matka zaczęła być jakaś inna. Wesoła, chichocząca. Dziwiłeś się temu bardzo, bo takiej jej nie znałeś.

I właśnie wtedy zaczął u was bywać pan Francke. Przynosił wódkę, kielbasę, chleb.

Miał mundur z pumpiastymi spodniami, pamiętasz? I świecące na glanc oficerki z czarnej skóry, opięte tak, że wciąż się zastanawiałeś, jak on je wkłada i zdejmuje. Miał też na mundurze dwie czarne błyskawice, więc jako niegłupi chłopak od razu pojąłeś, że matka migdali się z esesmanem. Pan Francke nie zwracał na was najmniejszej uwagi, pamiętasz? Jakbyście byli przedmiotami domowego użytku albo kotem czy psem.

Pewnego dnia matka przyszła i powiedziała: „Będzie ślub”. I tak oto pan Francke został waszym nowym tatusiem. Nie cieszyliście się z tego, oj nie.

„Jo ci godóm, lón nos pozabijo” – przepowiadał Edek, kiedy leżeliście nocami pod jedną pierzyną, słuchając odgłosów dochodzących z pokoju, w którym pan Francke dawał się ujeżdżać waszej matce.

Bo od kiedy został waszym nowym tatusiem, zaczął na was zwracać bardzo baczną uwagę. Wyliczał każdy kęs chleba, który wkładaliście w usta, podliczał wydatki na wasze ubrania, złościł się, że jesteście za mali, żeby was posłać na roboty. Matka tylko wzruszała ramionami i mówiła: „Poczekiej, Alojz, może tam w Hajdukach ich weznóm”.

Ale pan Francke nie chciał czekać.

Rysiu, pamiętasz ten wieczór, jak się pobiliście z Frycem? Ach, ten Fryc, wasz szkolny aktywista. Ojciec w NSDAP, a Frycek w HJ. Zdolny i obrotny pimpf. Napluł w twarz Janoszce, pamiętasz? A za co? Kto to dziś wie. Za byle co. I ty mu dałeś za to w pysk. I pobiliście się tak, że musieli was rozdzielać. Choć Fryc był od ciebie parę lat starszy, dałeś mu wycisk. Wpadłeś w jakiś szal i tłukłeś go po głowie, gryzłeś i ciągnąłeś za włosy.

Wtedy pan Francke najpierw cię fest spruł, a potem zatarł ręce z radości. Bo miał pomysł.

Od czego jest medycyna, prawda?

Zabrał cię prosto do gabinetu lekarskiego. Pan Francke tak miał, że działał. A myślał mało. Od myślenia miał przełożonych.

Kazał ci się ubrać i wziął do lekarza. Było ciepło, więc założyłeś krótkie galotki na szelkach i podkolanówki. Na głowę matka wsadziła ci czapkę i pogłaskała cię po policzku. To cię dość mocno zdziwiło, bo takiej czułości nie zaznałeś od niej, odkąd sięgałeś swą kilkuletnią pamięcią. A więc ucieszyłeś się nawet i pomyślałeś, że może coś się zmieni i nie będzie tak źle. I że to jest miło, że choć cię spruł, to teraz bierze cię do lekarza. Lekarz przyjmował w willi na parterze. Nazywał się Brandt i przypominał ci starego psa, miał opadające ciężkie powieki, świszczący oddech i nieporządek na głowie. Pamiętasz jego dłonie, którymi cię badał, bo zdziwiło cię, ile grubych siwych i czarnych włosów rosło mu na palcach! Jak małpie!

Gabinet był duży i pełen sprzętów, jakich nigdy wcześniej nie widziałeś. Gapiłeś się więc jak sroka w kość, marząc o tym, by móc się pobawić kiedyś w takim miejscu. Och, jak opowiesz Edkowi, to ci pozazdrości – myślałeś.

Rozmawiali po niemiecku, czego nie mogłeś dobrze zrozumieć, bo szkolileś tę mowę od niedawna dopiero, w hitlerowskiej szkole, ze swojego podręcznika do niemieckiego. A oni używali fraz nieco bardziej złożonych niż te w twojej czytance.

Zostałeś zmierzony i zważony. Za pomocą specjalnych instrumentów sprawdzono twój obwód głowy, proporcje zalecane w podręcznikach antropologii. Lekarz kreślił zamaszyste litery skrzypiącym piórem, nie patrząc ci przy tym ani razu w oczy, co cię zdziwiło o tyle, że kiedyś był już u ciebie lekarz, gdy jako bardzo mały chłopiec dostałeś zapalenia płuc. I była to wizyta raczej z gatunku dobrze wspominanych. Tak ci się, Rysiu, wtedy wydawało. Nie bałeś się potem lekarzy. W końcu przywracali do zdrowia nawet takie przypadki jak tamten twój, co już jedną nogą byłeś na tamtym świecie. Tak w każdym razie mawiała czasem matka. A ty się

zastanawiałeś, czy ona to mówi z troski, czy też pobrzmiewa w jej głowie odrobina żalu, żeś na tamten świat wtedy nie poleciał.

Do domu już nie wróciliście. Zorientowałeś się szybko, że zmierzacie w całkiem innym kierunku. I że nie powiesz na razie Edkowi o niczym, bo Edka teraz na pewno nie spotkasz. Pan Francke wsadził cię do przyczepy motoru i nie mówiąc ani słowa, ruszył. Silnik zaryczał tak głośno, że wydawało ci się, że zaraz ogłuchniesz. Ale kiedy nabraliście prędkości i wiatr zaczął zatykać ci nos i usta, tak że ledwo mogłeś nabrać tchu, poczułeś, że to wielka przygoda! Pan Francke wiezie cię motorem w nieznane – owszem, może to trochę straszne, ale jednocześnie, na Boga, pędzisz motorem! Przed oczami tylko migają ci drzewa i domy, i ludzie, którzy widząc was, szybko uskakiwali na bok. Chyba nawet poczułeś cień sympatii do pana Franckego za tę wyprawę, tak ci się wydawało, Rysiu, że nawet może go trochę polubisz za to. Jechaliście, a słońce świeciło ci w oczy.

Już nigdy nie zobaczyłeś swego brata Edka ani maleńkiego Zeflika, ani siostry Marii, która kopała kartofle na robotach w Prusach Wschodnich. Wszyscy zginęli prędzej czy później, pod bombą, od kuli, od ciosu albo pod gruzami. Jak to dzieci. Matki też już nie zobaczyłeś, choć wiesz, że ona akurat żyje i dziś mieszka w Legnicy, w jakimś alteshajmie, i może mógłbyś jej wybaczyć, ale nie chcesz. I nikt ci się nie dziwi. Może tylko Jezus Chrystus, bo on wybaczał wszystkim, ale ty w niego przecież i tak nie wierzysz.

Zatrzymaliście się w końcu. Miałeś roześmianą twarz, byleś o krok od tego, by rzucić się panu Franckemu na szyję i powiedzieć: *Danke schön!*

Lecz on szybko zmierzył cię swoim zimnym jak lód wzrokiem i wskazał głową kierunek, w którym miałeś iść. Nie wiedziałeś, co się dzieje, a gdy chciałeś zapytać, pan Francke strzelił cię w pysk, mówiąc: *Maul halten!* – i pociągnął cię z całej siły za rękę, aż straciłeś równowagę i wyrznąłeś nosem i czołem o bruk. Francke szarpnął cię znowu, stawiając z powrotem na nogi, mimo twoich protestów. Krew ciekła ci z rozbitego nosa i z rany na łuku brwiowym. Miałeś ubrudzone swoje ładne ubranko i bardzo piekły cię zdarte kolana. Płakałeś. Wołałeś: „Mamo!”. Pan Francke nie zwracał na to najmniejszej uwagi i ciągnął cię za rękę, tak że zamiast iść, biegłeś, zanosząc się szlochem.

Minęliście bramę, przez którą pan Francke przeszedł niezatrzymywany przez nikogo. Widać mundur SS wystarczał w tym miejscu za przepustkę.

Znaleźliście się wśród zieleni. To cię nawet zaintrygowało, troszeczkę przestałeś płakać, Rysiu, bo w parku byłeś kiedyś za życia taty i bardzo ci się podobało. Może to nawet był ten sam park? Tu i ówdzie stały niebrzydkie budynki, z czerwonej cegły, mocno zdobione. Wytarłeś wierzchem dłoni krwawe gluty, postanowiłeś być dzielny.

Pan Francke szedł sprężystym krokiem, widziałeś, jak błyszczą napięta skóra jego oficerek, słyszałeś, jak szeleszczą jego spodnie w kroku, gdy uda ocierały się o siebie. Bił od niego mocny zapach potu.

Weszliście po schodach. Zobaczyłeś przed sobą ogromne drewniane drzwi. Pan Francke nacisnął mosiężną klamkę i z wielkim trudem je pchnął. Otworzyły się, skrzypiąc. Weszliście w mrok. A potem drzwi się zamknęły.

Stanąłeś w ciemnym korytarzu. Pan Francke puścił w końcu twoją małą spoconą rączkę. Tu nie miałeś dokąd uciec i czuł, że nie musi cię już trzymać, byś się nie wyrwał. Choć przecież tobie w ogóle to nie było w głowie. Nie byłeś, Rysiu, z tych, co by uciekli. Skoro mamusia wyszła za pana Franckego, to choćby był najbardziej złamanym chujem, czułeś, że jest dla ciebie jakimś gwarantem bezpieczeństwa. Dziecko ma w sobie tyle ufności, prawda, Rysiu? Więc wcale nie zamierzałeś uciekać i tym bardziej nie rozumiałeś, dlaczego on cię tak ściska, że masz już zbieleć koniuszki palców, że ci krew nie dopływa do opuszków, że zaraz zgniecie ci dłoń i pogruchoce kosteczki tym żelaznym uściskiem. W końcu puścił. A ty zamiast ulgi poczułeś, jakby odpłynęła od ciebie ostatnia cuma, która łączyła cię ze światem Edka, Zefelka i Marysi. I nawet mamy. To się nazywa, Rysiu, ironia losu, że kiedy ze swych łap uwolnił cię esesman, poczułeś, że oto ostatnia nić Ariadny, prowadząca stąd do domu, została zerwana. Drzwi się za wami zamknęły. Nim oko dopasowało się do ciemności, jakie panowały wewnątrz, minęła dłuższa chwila. W ciszy słyszałeś sapiący oddech pana Franckego i swoje dudnienie krwi w tętnicach. Waliło ci serce, pamiętasz, jakie to uczucie? Jakby miało rozsadzić ci żebra. Pan Francke, mimo że był esesmanem, też nic nie widział w tym półmroku, więc staliście obok siebie przez jakiś czas. Duży i mały. Można by pomyśleć, że ojciec i syn w obliczu jakiejś nowej przygody. Tuż przed wyruszeniem na ryby albo na górską wycieczkę.

I w końcu on ruszył. A ty ufnie też poszedłeś – bo co miałeś robić – wpatrując się w jego łydki. Wysokie oficerki stukały po kamiennej posadzce, twoje miękkie sandały za to poruszały się prawie bezgłośnie. Gdybyś wiedział wtedy, Rysiu, dokąd prowadzi cię ta droga, to wykorzystałbyś ten moment, w którym pan Francke szedł jak koń na paradzie. Mógłbyś w swych

cichobiegach wycofać się, zaszyć w najmroczniejszym kącie budynku, a później uciec. Jak najdalej. No ale skąd, Rysiu, mogłeś wiedzieć, co będzie potem.

Nagle pan Francke przystanął, ty prawie wpadłeś na niego, tak gwałtownie się zatrzymał. Spojrzał na ledwo widoczny napis na drzwiach i z całej siły walnął w nie – ni to pukając, ni to się dobijając.

Ja? – usłyszałeś kobiecy głos, a pan Francke odwrócił się, spojrzał na ciebie i powiedział: „Zostań tu”. Po czym wszedł do środka, na chwilę zalewając korytarz światłem. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, opadłeś bez sił na ziemię. Bolała cię buzia, rwały kolana, byłeś brudny i zmęczony. I naprawdę miałeś już dość tej głupiej wycieczki. Przez chwilę nawet pomyślałeś, że może pan Francke szybko załatwi swoje sprawy i zabierze cię z powrotem do domu. Długo nie wychodził. Wstałeś więc i zajrzałeś przez dziurkę od klucza. Zobaczyłeś jego plecy, a także kawałek białego fartucha. Głosy, jakie dochodziły zza drzwi, były przytłumione, więc nie rozumiałeś rozmowy, mimo wyężania słuchu i przykładania ucha do drzwi.

Nagle drzwi się otwały z impetem. Znowu załało cię światło. Oni widzieli cię teraz bardzo dokładnie, a ty, oślepiiony, mogłeś zauważyć wyłącznie zarysy ich sylwetek, jakby byli papierowymi postaciami z teatru cieni.

Huknął głos pana Franckego: „Mały gnojek, podsłuchiwanie ma we krwi”.

Obleciał cię strach, bo wiedziałeś, że pan Francke gotowy jest cię zaraz przykładnie ukarać, ale o dziwo, zamiast poczuć palące uderzenie w twarz, którego się spodziewałeś, poczułeś chłód czyjejś dłoni na ramieniu. „Wejź, chłopcze” – powiedziała kobieta w białym fartuchu i pociągnęła cię lekko w swoją stronę.

Pan Francke minął cię tymczasem, nie spoglądając nawet w twoim kierunku, nie mówiąc już ani słowa prócz *Heil Hitler*, rzuconego na pożegnanie do kobiety.

Ona odpowiedziała mu tym samym, nie patrząc na niego, chyba nieco znudzona, po czym przymknęła za nim drzwi. Zostaliście sami.

Pamiętasz, Rysiu, zapach, jaki się tam roznosił? Ta charakterystyczna woń leków i środków dezynfekcyjnych – mieszanka jedyna w swoim rodzaju! Kobieta, w której rękach niespodziewanie się znalazłeś, była ładna. Pomyślałeś tak od razu: „O, ładna pani”.

Miała jasne włosy, bardzo jasne wręcz, może nawet odrobinę siwiejące, co jednak trudno było stwierdzić przy tym kolorze, pofalowane nad czołem, zgodnie z modą, z tyłu zaś zaplecione w węzeł. Była bardzo blada, wyraźnie przemęczona, o czym świadczyły ciemne cienie pod jej

błękitnymi oczami. Ale spodobała ci się. Nie była niemieckim mężczyzną w mundurze – a to już było naprawdę wiele.

Popatrzyła na ciebie, mówiąc: „Trzeba cię umyć, jesteś cały we krwi”.

Po czym zawołała pielęgniarkę, przekazując jej instrukcje, co ma zrobić. Zrozumiałeś z ich rozmowy, że zostajesz teraz w tym szpitalu i że się tobą zajmie siostra o nazwisku Cichy. Pielęgniarka spojrzała na ciebie i powiedziała: „Chodź, dziecko”. I wyszliście z gabinetu.

Pamiętasz, Rysiu, jak bardzo nie chciałeś dać się jej rozebrać? No bo jak to? Dlaczego masz się rozbierać i oddawać jedyną rzecz, jaka łączy cię z domem, czyli swoje ubranko? I cóż z tego, że jest całe w krwawych plamach, to przecież nie twoja wina, że pan Francke tak mocno cię szarpał. Buntowałeś się i broniełeś rękami i nogami. Nie z takimi miała siostra Cichy do czynienia, Rysiu. Zdjęła z ciebie ubranko, ciągnąc za rękawy, wsadziła cię pod wodę i zmyła brud i strupy. A potem mimo twoich protestów ubrała cię w szpitalną piżamę.

Szliście przez szpitalne korytarze, zimne i odpychające. Czułeś się malutki i coraz mniejszy w tym wrogim otoczeniu, gdzie ściany miały kolor brudu, a okna były nie po to, byś mógł wyglądać na świat, lecz po to, abyś nigdy się na ten świat nie wydostał – okratowane i brudne. Stąpałeś po zimnych kafkach podłogi w obuwiu zastępczym, danym ci przez siostrę, czułeś pod stopami najmniejsze nierówności podłogi. Mijaliście po drodze sale pełne łóżeczek dziecięcych i łóżek, z których nie dochodziły żadne dźwięki, tak jakby nikt tam nie leżał, a przecież widziałeś woskowe buzie dzieci pomiędzy białymi płachtami prześcieradeł. Słońce, które świeciło na zewnątrz, próbowało dostać się do środka przez zakratowane okna, ale zamiast dostarczać ciepło, rzucało tylko cienie krat na łóżeczka stojące bliżej okien. Z każdym krokiem, Rysiu, czułeś coraz większy strach. Półżywe trupki dzieci śledziły mętnym wzrokiem każdy twój ruch, gdy przemierzałeś korytarz, taki malutki, taki opuszczony. Bardzo się bałeś, bardzo. Tak że z tego strachu od razu się zmoczyłeś w świeżą piżamę. Czułeś, jak ciepły strumyczek spływa ci po nodze, ale bałeś się za bardzo, by o tym powiedzieć pielęgniarce.

Zabrała cię na badania, pamiętasz? Do niewielkiej sali, pełnej lekarskich utensyliów, kolb z dmuchanego szkła, fiolek z lekarstwami, które pewnie chciałbyś sobie dokładnie pooglądać, gdyby pozwolili ci na chwilę zostać tutaj samemu, bo przecież ciekawość jest naturalna dla dziecka, jest tym, co je pcha ku poznaniu świata, tym, co je pcha w ręce złych ludzi, tym, co je pcha pod koła samochodów albo w głąb studni, albo w morską toń. Za czymś biegniecie, coś

gonicie, motyl, którego chcecie koniecznie złapać, prowadzi was na manowce, bo tylko on się liczy i basta, i trzeba za nim biec, choćby w przepaść.

Przed tobą siedzieli za stołem kobieta i mężczyzna – ta piękna pani, którą już widziałeś, i gruby lekarz z monoklem w oku, wypisz, wymaluj pan Ropuch z bajeczki, co cię nawet nieco rozbawiło, ale tylko na chwilę, bo Ropuch odkasłał flegmę i skrzeczącym głosem rozpoczął pierwszy etap badań lekarskich. Waga, wzrost, odchylenia od normy fizycznej. I wywiad.

O co pytali? Ja wiem, wiem!

– Kiedy i gdzie urodził się Führer?

– W Braunau nad Innem, dwudziestego kwietnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku (to wiedziałeś, bo wszyscy to wiedzieć musieli!).

– Jaki kolor ma cytryna?

– Żółty – odrzekłeś bez wahania.

– Jaka jest różnica między drabiną a schodami?

Zastanawiałeś się chwilę – jakieś głupie to pytanie.

– Schody są z kamienia, a drabina jest z drewna – powiedziałeś, mając przed oczami swój własny dom.

– Zbuduj zdanie ze słów: żołnierz, wojna, ojczyzna.

Banalne.

– Żołnierz walczy na wojnie o ojczyznę.

– Co to jest zaufanie?

Wtedy, Rysiu, powiedziałeś zdanie którego najpewniej żałujesz.

– Do mamy mam zaufanie – rzekłeś, a lekarka coś sobie zanotowała.

– A co to jest wdzięczność?

– No jak coś dostanę, to jestem wdzięczny.

– Do której chodzisz klasy?

– Do trzeciej.

Gdybyś, Rysiu, mógł teraz pójść przejrzeć archiwa, tobyś zobaczył tam swoje życie, wiesz? Na przykład analizę twojej osobowości, zrobioną przez doktor Luben kilka dni po twoim przybyciu.

„Pacjent R.F. moczy się nocami. Potrafi artykułować zdania – mowa sprawna. Dziecko niezwykle żwawe, nieposłuszne i krnąbrne. Myśli tylko o wygłupach i psotach. W pracy pilny i wytrwały. Je samodzielnie i bardzo spieszenie. Dobrze dogaduje się z innymi dziećmi, chętnie

się bawi, rozweselając je swoimi wygłupami, i cieszy się, gdy się śmieją. Na lekcji próbnej uważny. Prawidłowo wskazuje nos, oczy, usta, serce etc. Potrafi rozróżniać kolory i nazywać kształty. Zna przedmioty ze swego otoczenia i ich zastosowanie. Rozróżnia kierunki. Potrafi dopasować i złożyć podarte figury z papieru. Dobrze czyta, ale pisze z błędami. Liczy do stu. Zna miesiące i pory roku. Zna nominały pieniężne i po długim zastanowieniu potrafi zliczyć pieniądze, nie umie jednak robić zakupów, bo nie wie, ile powinien dostać reszty. Większych sum nie potrafi dodać, ogranicza się tylko do dziesięciu reichsmarek. Zna godziny, potrafi podać dzisiejszą datę i zapamiętać kolejność do pięciu liczb. Nie potrafi opowiedzieć bajki. Jest pokojowo nastawiony do innych dzieci. Z tego, co mówi, wynika, że zdarzało mu się włóczyć i wydawać pieniądze na kino. Jest bardzo pobudzony i niespokojny. Niczego nie robi do końca. Typ aspołeczny – zaleca się pobyt w ośrodku opiekuńczym”.

Tak pisała o tobie doktor Luben. Nawet nie wiedziałeś, że gdy ty się bawisz z dziećmi i rozweselasz je do łez, bo masz taką wspaniałą osobowość, która daje radość innym, nawet w tym najgorszym z możliwych miejsc, doktor Luben uważnie cię obserwuje, tak by móc stworzyć, Rysiu, opinię. OPINIĘ.

Dzieci w szpitalu przybywało. Nie mogło być, Rysiu, inaczej, skoro prawo w tym praworządnym kraju było tak bardzo przestrzegane. Bo co jak co, ale prawo w Rzeszy przestrzegane być musiało. Dzieci przyjeżdżały z różnych stron. Na przykład mała Rozalka z Zabrze. Była całkowicie zdrowa na umyśle. Nie moczyła się nawet w nocy, a co dopiero mówić o atakach epilepsji, niedorozwoju czy na przykład jąkaniu się. Skąd! Ale przyszło jej – ukochanemu dziecku matki swej, Pelagii – urodzić się ze szpotawą stopą i wadą wzroku. Pelagia kochała swe jedyne dziecko z całych sił, Rysiu, bo była to wymodlona córka, o którą się z mężem długo starali. U samej Matki Boskiej w Częstochowie, leżąc krzyżem. Leczyła ją potem matka pokornie u okulisty w Gliwicach i u ortopedy w samym Wrocławiu. Wierzyła, że dzięki staraniom służby zdrowia zez minie, a noga się wyprostuje i Rozalka stanie w szranki o męża z innymi gryfnymi pannami z Zabrze. Tymczasem kiedy trzydziestego stycznia przyszła do domu poczta, Pelagia bez sił opadła na krzesło w kuchni. Bo właśnie tego dnia, Rysiu, otrzymali pismo urzędowe z Wydziału Zdrowia w Zabrzu, że mają dziecko bezzwłocznie (to podkreślono w liście) oddać do Szpitala dla Psychicznie i Nerwowo Chorych. Prosto w szczupłe ręce doktor Gertrudy Luben.

Protestowali z mężem. Inaczej niż twoi, Rysiu, rodzice. Odwoływali się i zgłaszali weto. No bo jak to, gdzie Rzym, gdzie Krym, co ma piernik do wiatraka, a szpotawa stopa do domu wariatów? A widzisz, Rysiu – coś tam na pewno ma, skoro koniec końców, po dwóch tygodniach walki z urzędami, rodzice Rozalki musieli ją odwiedzić tam, gdzie ty już też byłeś, i inne dzieci.

Już dwa miesiące po tym, jak zapłakana matka żegnała wyrywające się ku niej dziecko, oszalałe z rozpacz i przerażenia, a więc dwa miesiące po tym potwornym dla wszystkich wydarzeniu, na adres rodziców Rozalki przyszedł nowy urzędowy list.

Pani Pelagia nie chciała go otwierać, serce matki czuło, że lepiej nie wiedzieć.

I wiesz, Rysiu – miała rację. Bo gdy jej mąż drżącą ręką rozciął kopertę i wyjął świstek papieru, pobladł i doprawdy nie wiedział, jak powiedzieć swej żonie o tym, co przeczytał właśnie w piśmie urzędowym ze swastyką i orłem.

„Zawiadamiamy, że dziecko pp. zmarło dnia 2 maja. Poddane zostało sekcji”.

Pani Pelagia w tę jedną noc całkiem posiwiiała, Rysiu, wyobraź to sobie. Kładła się spać jeszcze jako szatynka, a rano obudziła się biała jak staruszka! Do szpitala pojechali następnego dnia rano. By dowiedzieć się, jak to możliwe, że dziecko, zdrowe i w pełni sił, żyje sześć lat, po czym nagle, po dwóch miesiącach w szpitalu, umiera. Jak to jest, pani doktor, możliwe?

A doktor Luben, zaplatając swe szczupłe palce, wyjaśniła rodzicom, że powinni się raczej cieszyć, że dziecko nie żyje. Bo się już nie męczy. Nie wystawiono zaświadczenia o śmierci dziecka, kazano za to dostarczyć trumnę, by dziewczynka mogła zostać pogrzebana na przyszpitalnym cmentarzu.

Bo to wszystko, Rysiu, było bardzo sprytnie pomyślane. Ale skąd ty mogłeś o tym wiedzieć, prawda? W swojej piżamce, na wąskim łóżku, po którym skakałeś, rozśmieszając smutne dzieci. Polubiłeś zwłaszcza Gustlika, co go przywieźli dziadkowie z Lipin. Może przypominał ci brata? Przychodziłeś do niego, gdy tylko mogłeś, żeby się pobawić, побыć trochę razem, poczuć się trochę lepiej. Gustlik do szpitala przyjechał może dzień przed tobą i jeszcze nie był w tak złej formie, więc wasza energia na tle całej tej dziecięcej umieralni była doprawdy uderzająca. Bawiliście się śmieciami znalezionymi gdzieś tam, gdzie nie wolno było wam chodzić. Leżeliście w jednej sali, nasłuchując w nocnej ciszy znaków i odgłosów. Stukały rury, szumiał wiatr za oknem, czasem deszcz zacinał i pływał po szybach. Na zewnątrz toczyło się jakieś inne życie, ktoś coś krzyknął, gdzieś czekał pies, słychać było koguta, jak piał rano, albo strzały

z karabinów. Leżeliście z Gustlikiem i razem się baliście. Trzymając się kurczowo za rączki, nie chcieliście dać się rozdzielić, gdy przychodziła wasza kolej na badania, gdy bezduszne pielęgniarki ścisnęły was za chude ramionka tak mocno, że całe mieliście je w wybroczynach, gdy wbijały wam grube igły w żyły, gdy zabierały was do mycia pod lodowatą wodą (dzięki tym zabiegom można było szybciej spodziewać się zapalenia płuc, tak pożądanego na oddziale przez dyrekcję placówki).

Ale różne były te pielęgniarki. Była taka, co ciągle płakała. Siadywała przy łózkach tych, co już byli w agonii, i po kryjomu trzymała ich za ręce, tak jakby ich chciała przeprowadzać na drugą stronę. Patrzyła na zapadłe twarzyczki, słuchała świszczącego oddechu i tkwiła bez ruchu na zydłu, szepcząc cicho jakieś modlitwy, a łzy płynęły jej po czerstwych policzkach. A gdy już się dokonało, przykrywała z czułością małe ciała, starannie zakrywając stopy, tak jakby mogły nagle zmarznąć. Stygli więc sobie, otuleni ciepło, zanosząc przed oblicze niemiłosiernego Boga mrużane modlitwy siostry z domu wariatów.

Doktor Luben zaś przyjmowała coraz to nowych pacjentów. Na przykład Petera. Och, ten nie nadawał się jej zdaniem już do niczego. Zbędny nieszczęsny byt. Ledwo mówił. Chudy, mały, poza skalą centylową. Po wstępnych oględzinach wysłała go na pneumoencefalografię, żeby zobaczyć ten pffff... mózg. To boli, Rysiu, prawda? Bardzo boli. Bo jak może nie być bolesny zabieg, w którym przy znieczuleniu miejscowym wkłuwają się igłę pod potylicę, by wyciągnąć stamtąd nieco płynu mózgowo-rdzeniowego i zastąpić go powietrzem, żeby można było zrobić porządne zdjęcie rentgenowskie? To naprawdę musi boleć.

No ale, Rysiu, jak inaczej zajrzeć do mózgu? Do twojego, Rysiu, też zaglądano i jakoś przeżyłeś, prawda? Choć nie wszyscy tak gładko przez te badania przechodzili. Mózg to delikatna materia, bywa kapryśny. Peterowi zajrzała do mózgu pod wieczór. I nie zobaczyła niczego, co by mogło zaniepokoić lekarza. To ją zaskoczyło, zapisała tę uwagę w notesie. Poddawała go obserwacji – chcąc znaleźć dobry powód dla jego nieistnienia. Dziecko jednak wciąż zachowywało się zwyczajnie, bez żadnych odchyłeń.

Ale doktor Luben była do niego uprzedzona. Jakoś nie przypadł jej do gustu. Taki zabiedzony, taki jakiś... „Krnąbrny, moczy łóżko, aspołeczny, sprawia liczne problemy wychowawcze”.

Tak, Peter był jednym z tych, którzy ekspresowo trafili na oddział B. A tam... Ach, Rysiu. Człowiek gorszy jest od dzikich zwierząt.

Oddział B – kto tam trafiał, rychło powiększał zastępy niebieskie.

Kiedy przeniesiono tam ciebie – bo wciąż napływały nowe dzieci i doprawdy coś z wami należało robić – była wiosna. Pamiętasz to dobrze, bo kwitnące drzewa to jedna z ostatnich rzeczy, jakie pamiętasz i jakich jesteś pewien. Reszta rozplywa się w jakiejś sztucznej mgle.

A gdybyś był przytomny, tobyś się dowiedział, że siostra o nazwisku Cichy wdała się na targu w mieście w rozmowę. Bo ludzie tacy durni nie byli, Rysiu, i widzieli, że coś jest nie tak z tym szpitalem dla dzieci, z którego żadne dziecko nie wychodzi zdrowe, tylko co rusz kopidół musi nowe trumienki zakopywać na przyszpitalnym cmentarzu. Ludzie gadają, bo chociaż się boją, to gadać chcą. I siostra Cichy wdała się w rozmowę. I na co jej to było? Z ludzkiego gadania może wyniknąć tylko samo złe. I tak było tym razem. Szu, szu, szu, a co to tam u was się wyrobio? Godajóm, co wy te dzieci kajś zabierocie, coś niymi robicie? Kaj łóne sóm? Szu, szu, szu, a co jo wóm byda godać, jo spać po nocach niy moga. Szu, szu, szu, a czamu to nie mogecie spać? Szu, szu, szu, bo jo sie Boga boja.

Głuchy telefon poszedł przez miasto, z ust do uszu, ruchem konika szachowego, wieść o tym, co się dzieje w szpitalu, krążyła wraz z nazwiskiem nadawczyni tej wieści, aż w końcu pewnego ranka po siostrę Cichy przyszło gestapo i powiedziało jej na przesłuchaniu, że jak nie zamknie swej polskiej mordy, to wyjdzie przez komin w niedalekim obozie, i czy się jej podoba ten pomysł?

Nie, nie podobał się jej.

Tymczasem, Rysiu, musisz wiedzieć, że jest pewien element prawdy w kłamliwych zapiskach lekarzy skrupulatnie odnotowujących wasze zgony, z niemiecką dokładnością, kaligraficznym pismem. Otóż gdy trzymasz w rękach ów podniszczony kajet oprawny w skórę (najlepiej ludzką, z wewnętrznej części kobiecych ud, szkoda, że tylko świńską), widzisz regularnie powtarzające się sformułowanie: zapalenie płuc. Jako przyczyna zgonu. Ale jest też i wada zastawkowa (u W.F. chorego na idiotyzm), jest napad epileptyczny (u R. v F., który cierpiał na niedorozwój – jak widać po nazwisku, i arystokracja nie uchylała się od obowiązku wobec ojczyzny), jest sepsa (u C.J. z niedorozwojem), jest gruźlica (u W.S.) i osłabienie serca (u H.D. – wysoki niedorozwój). Taki A.M. na przykład to dopiero ciekawy przypadek! Bo nie wiemy nie tylko, co go skazało na śmierć (brak danych), ale także co go ostatecznie, w wersji oficjalnej, pokonało (brak danych). Bardzo poważne niedopatrzenie – prawda, Rysiu?

Co do zapalenia płuc jednak sprawa jest prosta – wiele dzieci faktycznie odchodziło w malignie, umierając z powodu zapalenia płuc. Bo to, co wam podawano w dużych dawkach, ten lek

o pięknej przecież nazwie luminal, kojarzącej się ze spokojnym snem, z księżycem nad łąką i srebrną poświatą nad jeziorami, wśród swych skutków ubocznych ma właśnie uszkodzenie układu oddechowego.

Kiedy zaczynano wam, Rysiu, podawać luminal, początkowo wpadaliście w stan przedziwnej euforii połączonej z oszołomieniem. Pamiętasz, że mimo to próbowaliście się dalej bawić? Będąc na haju, snując się i pokładając, nadal walczyliście o prawo do bycia dziećmi. Wojna nie wojna – dzieckiem być trzeba.

Z bratem twoim Edkiem, kiedy jeszcze mieszkaliście w domu, lubiliście się brać za ręce i jak szaleni kręcić w kółko, dopóki nogi nie zaczęły się wam plątać. Potem staliście, usiłując utrzymać równowagę, co rusz na siebie wpadając, bo błędnie w waszych głowach szalał i plątał figle, więc grawitacja pokonywała was bez problemu. Śmiechom nie było końca, zwłaszcza gdy na przykład zderzyliście się nogą, głową albo ręką. Padaliście potem na ziemię i leżeliście, a sufit albo niebo nad głową wirowały.

I wiesz, Rysiu, że ten świat wirował ci tam w szpitalu podobnie? I nawet pomyślałeś o Edku i o tym, co on teraz robi. Może się kręci za ręce z kimś innym? Może Maryś wróciła do domu i siedzą na schodach przed domem i wypatrują, kiedy do nich wrócisz? Czy im pan Francke powiedział, gdzie jesteś? Czy mama wie, gdzie on cię zostawił? Bo może jej nic nie powiedział, tylko wymyślił potem, że uciekłeś? Tak, to byłoby do niego podobne, Szwaba jednego. Przecież mamusia na pewno cię szuka, na pewno odchodzi od zmysłów, gdzie jej dziecko. I skąd niby ma wiedzieć, że jesteś tu, w tym zamkniętym miejscu? Bo gdyby wiedziała, dawno by już do ciebie przyszła. Bo to dziwne, że ciebie tu nikt nie odwiedza, a normalnie przecież do szpitala przychodzi się w odwiedziny. Jak ujek Karlik leżał po tąpnięciu w kopalni, bo mu nogę zgmiotło, to wszyscy dorośli jeździli go odwiedzać. A tu do nikogo nikt nigdy nie przychodzi. Dzieci najpierw dużo płaczą, ale potem powoli zapominają, wchodzą w tryby szpitalnego reżimu i jakoś to trwa. Póki się nie skończy.

Nie wiesz, Rysiu, co widziały dzieci, kiedy zamykały oczy, oglupione, oszołomione lekami? Czy widziały spod przymkniętych powiek twarze swoich ukochanych mam? A może wracały w myślach pod kuchenny stół, tam gdzie się lubiły bawić na przykład odważnikami kuchennymi, jak w dóma piekło się kołocz na niedziela? A może widziały ogródki swoich domów, chlewiki na podwórku i hałdę kopalnianą parującą jak wulkaniczne góry?

W waszych wizjach pojawiały się obrazy jak ze snów – dzikie zwierzęta wychodzą zza wielkich liści paproci, jakby czas się cofnął i to, co jest teraz pod ziemią, rosło jeszcze na ziemi. Dżungla wielka, a w niej kolorowe stwory wijące się wokół grubych pni widłaków i skrzypów, które zanim zejda pod ziemię i staną się antracytem, węglem błyszczącym diamentową poświatą w słońcu, na razie są zielone, bujne i mocne jak ramiona twojego taty, który też wychodzi spod ziemi i macha do ciebie, siedząc na zwałonym grubym pniu. Jest w galowym mundurze i ma zielony pióropusz na swoim czaku. Zza jego głowy wylaniają się wielkie smoki, niedźwiedzie z Saturna i jaszczurki o ludzkich twarzach. Wszyscy są kolorowi i wyraźni tak bardzo, że chcesz wyciągnąć do nich rękę i przejść przez dzielącą was cienką granicę pomiędzy jawą a snem. Stawiasz krok w stronę jurajskich potworów, ale czujesz, jak nogi uginają się pod tobą i ciągnie cię wewnątrz ziemi. Och, trzeba było się tyle nie kręcić z tym Edkiem, głowa wariuje od tych obrotów. A może to nie Edka wina, tylko samej ziemi, która nagle przyspiesza swój bieg, słońce wschodzi i zachodzi tysiąc razy szybciej, czas przyspiesza i twoje życie biegnie jak szalone, widzisz, jak rosną ci ręce i nogi, jak podbrzusze pokrywa się włosami, jak nabierasz masy i tężyzny, jak potem równie szybko na twojej nagle brudnej od węgla twarzy żłobią się bruzdy i zmarszczki, jak nad skroniami robią ci się zakola, a te włosy, co pozostały, w mgnieniu oka z czarnych stają się szare, a potem coraz bielsze, widzisz, jak prężne i dumne ciało nagle pochyla się i kurczy, a na twoich dłoniach pojawiają się brązowe plamy. Ziemia wiruje, czas ucieka i nagle jesteś już starcem, który na powrót przestaje mówić, którego ogarnia, otula i usypia wielka nieświadomość, ciepłe niebieskie morze, z czerwoną łuną na horyzoncie. Płyniesz, niesiony lekką falą w stronę niewiadomego końca tej podróży. Jesteś coraz mniejszy, coraz lżejszy, rozpadasz się na małe kawałki, aż w końcu stajesz się pojedynczym atomem.

„Rysiu, wracaj do nas, Rysiu!” – nagle powiedziała do ciebie cichutko dziewczynka, której głowę ogolono na łyso, nim tu dotarła. Tyfus miał dopiero zacząć zbierać swoje największe żniwo w obozach koncentracyjnych, ale tu i ówdzie były jego pierwsze ogniska. Ona najwyraźniej wyszła z takiego. Poglaskała cię po policzku i wtedy wybudziłeś się z narkotykowego snu, a obraz potworów, paproci i mórz koralowych roztrzaskał się jak lustro Królowej Śniegu – na tysiące kawałków.

„Rysiu!”. Dziewczynka siedziała obok ciebie na zimnej posadzce, której chłód raptem poczułeś przez cienką tkaninę piżamki, pamiętasz? Bódźce z zewnętrznego świata zaczęły do ciebie na powrót docierać. Mała dziewczynka właśnie zapadała w ten lepki i nieprzyjemny sen, położyła

łysą głowę tuż pod ścianą, a strużka śliny pociekła jej z półotwartych ust. Wokół was leżało pokotem jeszcze kilkoro takich dzieci, jak lalki rozrzucone przez sprzedawcę na zapleczu sklepu. Zbyt słabe, by podnieść głowę z lodowatej podłogi, zbyt oszołomione, by poczuć, jak przenikliwie zimno dostaje się im do wnętrza, żeby czynić swoje szkody.

A widzisz, Rysiu, ty zostałeś wybrany do przeżycia. Tak założył boży plan, jeśli w ogóle w tym miejscu można było mówić o jakimś bogu. Jedna z pielęgniarek uznała, że cię zna, Rysiu. Dasz wiarę? Żeś jest synem jej dalekiej kuzynki. Wypatrzyła cię w tłumie dzieci, sprawdziła w papierach i zrozumiała, że oto los daje jej szansę, by zrobić coś dobrego w tym epicentrum zła. Leżąc w swoim łóżku czwartego dnia po twoim przybyciu, spowiadała się sama przed sobą ze strachu i bezsilności, jakie ją ogarniają. Szeptala w gorączce: „Przysięgam i wzywam Apollona lekarza i Asklepiosa, i Higieję, i Panaceję, i wszystkich bogów i boginie na świadków, że tę przysięgę i tę umowę będę wypełniać według mych zdolności i mego rozumu. Mistrza mego w tej sztuce będę szanował na równi z rodzicami, będę się dzielił z nim mieniem i na żądanie zaspokajał jego potrzeby, synów jego będę uważał za jego braci i będę uczył ich swej sztuki, gdyby zapragnęli się w niej kształcić, bez wynagrodzenia i żadnego zobowiązania z ich strony. Prawideł wykładów i całej nauki będę udzielał swym synom, synom swego mistrza oraz uczniom, wpisanym i związanym prawem lekarskim, poza tym nikomu innemu. Będę podejmować decyzje lekarskie dla pożytku chorego zgodnie z moimi zdolnościami i moim osądem, strzec się jednak będę przed tym, by ich użyć na szkodę i w nieprawny sposób. Także nikomu nie podam śmiertelnego środka, także nawet gdy będę o to proszony, i nikomu nie będę tego doradzał, również nie podam żadnej kobiecie środka do spędzenia płodu. W czystości i pobożności będę zachowywać moje życie i moją sztukę. Nie będę kroił nawet cierpiącego na kamień, lecz pozostawię to mężom, którzy rzemiosło to wykonują. Do wszystkich domów, do których wejdę, wejdę dla pożytku chorego, wolny od wszelkiej nieprawości i wszelkiego występku. To, co w czasie leczenia lub poza moją praktyką w obcowaniu z ludźmi usłyszę i zobaczę, i co nie wolno powtarzać – przemilczę i będę strzec jak tajemnicy. Jeśli wypełnię tę przysięgę i jej nie złamię, niech będzie mi dane, w moim życiu i mojej sztuce, zająć daleko i zyskać poważanie u ludzi na wsze czasy. Jeśli ją jednak przekroczę i złamię – niech spotka mnie los przeciwny”.

Tak szeptala sobie, Rysiu, ta siostra, której imienia i nazwiska dziś nie pamiętasz, a szkoda, bo może byś ją gdzieś zgłosił, do jakiego medalu albo Instytutu Pamięci Narodowej. Zobaczyła

w tobie szansę na swoje odkupienie, szansę na to, żeby znów móc patrzeć sobie w oczy, kiedy się ten koszmar skończy. O przypadku siostry Cichy wszyscy tutaj dobrze pamiętali. Podobno ją przenieśli do Rybnika, ale kto to na pewno wie? Może ją przenieśli na tamten świat. Jak się nie bać? Jak się sprzeciwiać? Jak nie giąć karku i nie słuchać przełożonych? Jest rozkaz. Trzeba go wykonać. Dokąd by ten świat doszedł, gdyby nagle ludzie przestali wykonywać rozkazy, no dokąd? Wysoki Sądzie, odpowiedzialność niech nie spada na tych maluczkich, na te trybiki machinerii wojny, co my winne, panie, każdy chciał jakoś żyć. To Hitler winien, to on i tylko on. Celem eutanazji było, Wysoki Sądzie, rozwiązanie starego problemu medycznego. Podstawowym celem było wyeliminowanie bezużytecznych zjadaczy chleba. Lekarzy zaangażowanych w proces eutanazji, Wysoki Sądzie, ostrzegano, że czeka ich kara, jeśli będą sabotować swoją pracę. W czasie wojny ludzie zdrowi poświęcali życie, podczas gdy poważnie chorzy ciągle żyli i mogliby nadal żyć, gdyby nie zostali objęci programem eutanazji. Czy Wysoki Sąd nie wyrzuca zepsutych sprzętów na śmietnik? Czy nie usypia chorych zwierząt? Po co się mają męczyć? Myśmy się bali, myśmy inaczej nie mogli.

Doktor Luben jednak nie bała się, bo i czego miała się bać. Ona, Rysiu, pracowała naukowo. Wszystko, co robiła, robiła w imieniu nauki, dla wyższych celów i ku poprawie losu ludzkości. Zobacz tu – o, w tej właśnie pracowni ciała wasze małe ciała stężone pośmiertnie. Sekcje zwłok, by sprawdzić, co was zabiło, nie miały sensu, bo zabiła was cudza nienawiść, ale doktor Luben z waszych małych głów wyciągała wasze cenne mózgi, by potem, zanurzone w formalinie, w wielkich słojach, słać je do samego Wrocławia, do profesora Weizsäckera, kolekcjonera, łowcy głów z Instytutu Neurologii. Wasze padaczki, niedorozwoje, aspołeczne zachowania, wszelkie odchylenia od normy, uzdolnienia artystyczne – wszystko to profesor wyciągał na światło dzienne nauki za pomocą mikroskopów, szalek Petriego, tablic i wykresów. Czym byłaby medycyna psychosomatyczna bez waszego wkładu? Gdzie, Rysiu, byłby świat, gdyby nie poświęcenie wszystkich ofiar tych licznych eksperymentów? Tylko pięć lat wojny, a postęp, jakby epoka cała minęła. Iluż to niemieckich studentów medycyny, na przykład w Instytucie Maxa Plancka, uczyło się budowy ciała ludzkiego dzięki świetnie przygotowanym do takich celów członkom ludzkim zdobytym w obozach, szpitalach i Bóg wie gdzie. Szczątki ofiar służyły nauce wiele lat po wojnie, w Tybindze, w Heidelbergu, w Wiedniu, gdzie dopiero niedawno przyznano, że w Instytucie Neurobiologii składowanych jest nadal czterysta mózgow ofiar Holocaustu. A jeśli twoją matkę z raka wyleczy lekarz, który swoją wiedzę zdobył na tych

preparatach? Myślałeś o tym, Rysiu? No i co zrobisz? A jeśli twój syn zachoruje na chorobę Hallervordena-Spatza, nazwaną tak niegdyś na cześć dwójki lekarzy nazistów, którzy potem pracowali na mózgach twoich kolegów z akcji T4, to co? Czy do preparatów na szklanych płytkach stosuje się zasada „i w proch się obrócisz”, czy nie?

Przecież mówili zacni mężczyźni – ojcowie założyciele tego całopalenia: „Nie poczuwam się do winy. W moim poczuciu i głębokim przeświadczeniu to, co zrobiłem w związku z tą akcją, mogę usprawiedliwić. W moim przekonaniu było to postępowanie zupełnie ludzkie. Dążyłem do tego, by skrócić tym biednym istotom życie pełne męki”.

I wiesz, Rysiu, dzięki tym działaniom, pełnym litości i troski wobec waszego bezsensownego losu, Rzesza zaoszczędziła. Potrafisz sobie wyobrazić niebagatelną kwotę dziewięćdziesięciu milionów marek? No potrafisz?

Ach, Rysiu, gdyby nie ta wojna, gdzie dziś byłyby IBM, Bauer i Volkswagen, gdzie IG Farben, gdzie byłyby Audi, Krupp i Deutsche Bahn? (Kiedy cię, Rysiu, jeszcze nie było w planach, a matka twoja niedawno powiła najstarszą z was, Maryś, Willy Heidinger, szef niemieckiej filii IBM, wygłosił na otwarciu fabryki koncernu wspaniałe przemówienie, w którym z niebywałym, zaraźliwym wręcz entuzjazmem opowiadał o znakomitych perspektywach, jakie technologia IBM roztacza przed biologiczną przyszłością narodu niemieckiego – statystyki ludnościowe to niezawodny sposób na wyeliminowanie ze społeczeństwa niemieckiego niezdrowych, gorszych elementów!).

Gdyby zaś nie pielęgniarka, której imienia nie pamiętasz, nie zostałeś ładowaczem w kopalni w Katowicach i nie założyłeś rodziny, i nie miałbyś gołębi na wystawach. Górnik to jest porządny zawód, a po wojnie zwłaszcza. Miałeś galowy mundur i zielone pióra w czaku, miałeś kolegów z pijalni piwa i wesołe przyśpiewki na Barbórkę. I sklepy dla górników, pralkę Frania, telewizor Rubin i wczasy pod gruszą. Szwaro dziółcha żeś znalazł, Tereska jej było. Syna i córkę ci dała. A teraz wnuczkę masz, małą rudą i śliczną Małgorzatkę. Żona dobra była. Do roboty poszła, w mięsny robiła, toście się mieli jak te pączki w maśle. Nigdy na życie, Rysiu, nie narzekałeś. Wszyscy ci zazdrościli i godali – ja, tymu to się powodzi, niy idzie pedzieć!

Dzieciom i żonie nigdy nic nie powiedziałaś, co im bydziesz łozprawioł ło takich rzeczach, było, minyło. Niy ma co godać gupot, wczorej to jest wczorej, dziś jest dziś i fertig. Czasem tylko się dziwisz sam sobie, że nie jesteś z powrotem w jakimś szpitalu dlo gupieloków, bo nieraz ci się przypomni to wszystko, obrazy napłyną, i wtedy coś cię ściska w dołku i czujesz, jak pęka ci

głowa. Wbijasz wtedy palce w blat stołu albo w oparcie krzesła i trzymasz się, jakbyś się bał, że jeśli się puścisz, to spadniesz z powrotem do tej studni bez dna, z której tyłu nie wyszło nigdy. Ale ty wyszedłeś. Ty i jeszcze paru. Jak im się udało – nie wiesz, nigdy więcej ich nie spotkałeś, nie mogłeś zapytać. Ale wiesz, że są, bo ci prokurator powiedział, że nie tylko ty jeden uratowałeś życie. Pamiętasz, Rysiu, jak to było? Szedł już front, pamiętasz? A wyście jeszcze tam ciągle siedzieli. Fabryka śmierci ciągle działała. Żyłeś wciąż, bo siostra pilnowała, żebyś nie łykał trucizny. Jak ona to robiła? Skoro wszystkim na ręce patrzyła zawsze doktor Luben? Może miała w kieszeniach jakieś inne tabletki albo kostki cukru, które podawała ci do ust? Może sama wkładała luminal pod język, modląc się, by odprawa się szybko skończyła i by móc go pospiesznie wypluć do zlewu? Nie pamiętasz, nie jesteś pewien.

Patrzyłeś, jak znikają twoi koledzy, dla których nikt się nie poświęcał. Wiedziałeś od razu, patrząc na nich, że koniec blisko, bo zauważałeś w ich oczach ten mętny, szary kolor. To oznaczało, że już po nich idzie śmierć z kosą. Jeszcze mówili, jeszcze siedzieli, ale już byli jedną nogą tam. Bo niedługo potem zapadali się w sobie, charczeli krwawą pianą z ust, leżeli na zimnej podłodze, bo nie mieli sił, by dojść do łazienki, zasikani, zasrani, oddający w Jego ręce ducha swego. Na początku to nawet płakałeś, ale potem przywykłeś. W końcu to była twoja codzienność, Rysiu.

A potem było tak, pamiętasz – szedł front i spędzono was do schronu w piwnicy. Wszystkich, także tych, co ledwo trzymali się na nogach. Porozkładali was po kątach, wyście się już nawet tych bomb za bardzo nie bali.

Siostra, która do tej pory sumiennie ratowała ci życie, narażając każdego dnia własne, podczas tego nalotu pilnowała drzwi.

Powiedziałeś nagle, podciągając piżamkę: „Siostro, jo musza się wyszczać, nie strzimóm już i w galoty narobia”.

A ona spojrzała na ciebie i powiedziała: „Leć, synek, yno dowej pozór, coby w ciebio nic nie trefiło”.

Popatrzyłeś na nią, a ona na ciebie – po raz ostatni w życiu, bo nigdy więcej jej nie spotkałeś – i zrozumieliście się bez słów.

Otworzyła ci drzwi i przymknęła oczy. Wziąłeś głęboki wdech, jakbyś miał za chwilę wskoczyć na główkę do wody w stawie, i spokojnym krokiem wyszedłeś z piwnicy na schody. Jakby nigdy nic. A wtedy siostra zamknęła za tobą drzwi. Gdybyś mógł zobaczyć, co zrobiła potem, to

wiedziałbyś, że opadła ciężko na ziemię, zastanawiając się, kiedy ktoś odkryje, co się stało. I czy ci się uda. Oddychała ciężko i czuła, jak boli ją brzuch. To ze strachu. Posrać się w gacie ze strachu – to nie jest tylko zwykła metafora, to jak najbardziej realna sytuacja, gdy lęk wypełnia cię bez reszty i napiera na wszystkie twoje otwory, zwieracze nie chcą się trzymać razem. Siostra się bała na granicy zesrania się w gacie. Mielila w ustach słowa nowenny do Matki Bożej, z każdym słowem czując niemal, jak zwiększa się dystans między wami i jak rośnie szansa na to, że wyjdiesz cało z tego siódmego kręgu piekła. Za to ty nagle jakbyś dostał przyspieszenia. Na pierwsze trzy schody wszedłeś powoli, pozorując uczciwe udawanie się na stronę, by się wysikać, ale gdy zobaczyłeś, że nikt cię nie goni, pomyślałeś, że to jest ta szansa jedna na milion, i zacząłeś biec ile sił w nogach. Pęcherz, jeszcze przed chwilą tak bolesny i na granicy eksplozji, nagle przestał ci dokuczać. Wybiegłeś na zewnątrz – gdzie nie było żywej duszy, bo wszyscy chowali się po piwnicach i schronach. Na niebie huczały bombowce, ale patrzyłeś nie na niebo, tylko pod nogi i gnałeś boso przed siebie po zmarzniętej ziemi. Miałeś wrażenie, że lodowate powietrze, które na wskroś przewiewało twoją cienką piżamkę, jest jak miękka wata, w której możesz się schronić, jak tarcza, która zatrzyma wszystkie wystrzelone w twoją stronę kule, jak ciepłe podbrzusze matki, która powinna teraz tulić cię do siebie i trzymać z całych sił w ramionach, całując twoją ogoloną głowę.

Biegłeś po życie. Choć nikt na ciebie czekał.

Adik

Wychodzą z pokoju hotelowego. Tu następuje nieco ekwilibrystyki, bo wsadzenie wózka spacerowego do mikroskopijnej windy wymaga znacznego ściśnięcia się w jej wnętrzu. Napierają więc ciałami na siebie nawzajem, czując na ramionach i policzkach swoje pachnące jeszcze pastą do zębów oddechy. „Skoro tu jesteśmy, to już chodźmy zobaczyć” – upiera się kilka godzin wcześniej Karolina. Wycieczka do Niemiec na zaproszenie rodziny Karlchena okazuje się przeżyciem nader przyjemnym. Śmieją się, że nigdy im przez myśl nie przeszło nawet, że ten kraj jest tak zróżnicowany, tak bogaty, tak piękny wreszcie! Teoretycznie mieli zwiedzać jedynie okolice Frankfurtu, dokąd przeniosła się rodzina Karlchena, ale po drodze – jak opisuje zakupiony w internecie przewodnik – tyle jest wspaniałości! Na przykład taka Norymberga. No po prostu urocze miejsce! Te kamieniczki o gotyckich sklepieniach, te sklepiki z lokalnymi produktami, te restauracje pełne zadowolonych ludzi! Po cichu żałują, że przyjechali z dzieckiem, bo kapryśne usposobienie córki nieco daje się we znaki, a przecież gdyby byli sami, mogliby skorzystać z tutejszych atrakcji znacznie bardziej niż teraz, gdy wszędzie muszą ciągnąć ze sobą płacziwą dwulatkę. Ale i tak jest wspaniale móc zwiedzać, wyrwać się na chwilę z kieratu domowych obowiązków i żyć innym życiem. W innej walucie.

Karolina w przewodniku czyta o norymberskim muzeum zabawek.

– Chodźmy z dzieckiem!

Norymberga to miasto zabawek! Cały świat o tym wiedział, póki nie zapomniał. Średniowieczni rzemieślnicy w swych pracowniach pod gotyckimi sklepieniami lepią z gliny słynne na cały świat maleńkie figurki, z mokrej materii wydobywają oczy, nosy, policzki, końskie chrapy, ostrza mieczy. Wycierają swoje spracowane dłonie w brudne fartuchy, glina pod paznokcie wżera im się na stałe. Toczą zabaweczki z drewna, piękne, niepowtarzalne *Docken*, słynną norymberską galanterię drewnianą. *Made in Germany*. A po robocie rzemieślnicy idą sobie śpiewać razem w cechu, wszak to są wszystko śpiewacy norymberscy! Tak, tak: to w Norymberdze, w tym mieście tak bardzo aryjskim, tak ogromnie germańskim – tu właśnie właściciel fabryczki zabawek Georg Hieronimus Bestelmeier wymyśla w końcu, że można by przecie słać ludziom zabawki pocztą, więc rychtuje katalog wysyłkowy, co rewolucjonizuje przemysł zabawkarski, tak jak maszyna parowa podróże. Och, Norymberga naprawdę zasługuje na to miano. Światowej stolicy dobrej zabawy!

Idą więc teraz uliczkami pełnymi ludźmi, niespiesznie zdążających do swych biur i do kawiarni, podziwiają uroki architektury, cieszą się słońcem i tym, że Małgorzatka przysnęła na chwilę i nie jęczy, nie domaga się uciążliwie czyjejs uwagi.

Budynek muzeum, ukryty nieco w bocznej uliczce, wita gości. Karolina i Sebastian ekscytują się ogromnie i sami zachowując się jak dzieci, delikatnie wybudzają dziecko, przecież to dla niej tu przyjechali, muzeum zabawek dla ślicznej panienki.

Małgorzatka otwiera oczy z wściekłością, jak każdy, kogo nagle wyrywa się ze snu. Gdy zakupiwszy bilety, wjeżdżają do pierwszej sali, w której za szybami w gablotach umieszczono najstarsze zabawki w kolekcji – neolityczne figurki ptaszków i przedstawienia ludzi oraz kamienną piłeczkę – Małgosia podnosi przeraźliwy wrzask. Nie bacząc więc na powagę miejsca, natychmiast wręczają jej kupiony na jednym ze straganów po drodze słodki rogal, który dziecko zaczyna ciamkać ze smakiem, zapominając na chwilę o swej idącej z trzewi, pierwotnej, dziecięcej, bezinteresownej wściekłości.

Na Karolinę i Sebastiana patrzą z gablot laleczki porcelanowe o łysych głowach i straszliwym wyrazie twarzy, odziane w piękne atlasowe sukienki, spoglądające pustymi oczodołami, przerażające niczym postacie z najbardziej kiczowatych horrorów. Sztynne jak zwłoki figury pań i panów domu, usadzone na fotelach w gigantycznych makietach mieszcząskich domów, jakie niegdyś każda porządna zamożna rodzina wystawiała w salonie, by na owym modelu ukazać gościom swą zasobność, przywodzą im na myśl zastygniętych w lawie mieszkańców Pompei. Zabawkowa mamusia odpoczywająca na otomanie, zabawkowy tatuś z wąsem, kierujący swe sztywne kroki w stronę stolika z atrapą alkoholi w kryształowych naporsteczkach, zabawkowe dzieci posadzone na drewnianych konikach bujanych i ułożone w miniaturowych kołyskach. Cynowe garnki i patelnie wiszące na ścianach w zabawkowych kuchniach, gdzie kucharka z porcelany i pakuł szykuje dla całej rodziny norymberskich patrycjusza obiad z trzystu sześćdziesięciu pięciu dań, w tym zabawkowe ryby w galarecie, podane na srebrnych półmiskach wielkości paznokcia. Spojrzenia naturalnej wielkości bobasów o złowrogim wyrazie twarzy peszą Sebastiana i Karolinę. W pustym o tej wczesnej porze muzeum oczy martwych potworków sprzed stu pięćdziesięciu lat zdają się śledzić każdy ich ruch. Te stare lalki nigdy się nie uśmiechają, mają twarze zastygłe w grymasie albo całkiem pozbawione wyrazu, jak zabawkowa legumina z kauczuku. Małgosia zupełnie nie wykazuje zainteresowania tym, co widzi. Przesuwa wzrokiem po brzydkich buziach, po nadgryzionych zębem czasu konikach

bujanych i makietach torów kolejowych wielkości boiska do piłki nożnej i skupia się na dokładnym przeżuwaniu kolejnego kęsa słodkiej bułki.

Sebastian, który pcha przed sobą wózek, przyspiesza kroku, postanawia wyjść z dzieckiem na powietrze, choć nie ukrywa, że kolekcja zabawek z okresu drugiej wojny przykuwa na dłużej jego uwagę. Mała mównica z maleńką swastyką, na niej miniaturowy führer, a dookoła poplecznicy w mundurach (*Göring, Hitler, Goebbels und Lutze. Hausser-Elastolin. Neustadt/Coburg. 1934–1940*) stojący tuż obok gry planszowej *Der Luftschutz. (Ein Spiel für Aufklärung und Belehrung, 1940)*. Tak, to całkiem ciekawa odmiana po makietach torów kolejowych i mieszczańskich wnętrz. Dziecko zaczyna się niecierpliwić w wózku. Sebastian macha Karolinie i mówi, że poczekają na nią na dworze, po czym znika w windzie. Karolina zostaje więc sama i w głębi serca jest mu wdzięczna za ten moment wytchnienia od dziecka. Nawet kwadrans samotności dobrze robi. Nieustające jęczenie małej, która nie potrafi nijak inaczej wyrażać swych emocji, napina Karolinie nerwy jak postronki. Niekiedy myśli, że bicie dzieci – choć straszne, to jednak jakoś rozumiała. Ona bić nie będzie, ale czasem o tym zamarzy. Wtedy będzie jej przed samą sobą bardzo wstyd. Teraz jednak stoi przed gablotą, w której umieszczono trójwymiarowe teatrzyki z wycinanek. Na pierwszym planie wyraźne tańczące postacie, na drugim i na trzecim ludziki, coraz mniejsze, kulisy teatru papierowych ludzi. Karolina nachyla się, zagląda do środka tego delikatnego świata, uśmiecha się, zachwycona maestrią wykonania, i odchodzi dalej, by przyjrzeć się uważnie modelowi narciarza czekającego na wagonik kolejki górskiej.

Gdyby zaś postać chwilę dłużej, gdyby spojrzała baczniej, zobaczyłaby, że gdzieś w najgłębszej głębi wycinanki, na szóstym tle, już poza nawiasem teatralnych kulis, przez słoneczną ulicę idzie człowiek o dumnej, wyprostowanej posturze, odziany w mundur ze złotymi guzikami, które błyszczą w słońcu. W wypastowanych na glanc butach odbijają się miękkie jak bawełna chmury na niebieskim niebie. Sumiaste wąsy i krzaczaste bokobrody mężczyzny doprawdy rozbawiłyby Karolinę, gdyby była gotowa postać chwilę dłużej przed teatrzykiem. Idzie sprężystym krokiem, raz, dwa, lewa, lewa! Raz, dwa, lewa, lewa! Takim ludziom jak on schodzi się z drogi, by nie zostać z niej zepchniętym. Jego krok nie pasuje do malowniczych uliczek Pasawy. Powinien maszerować w Wiedniu albo w Berlinie, ale nie tu, w idyllicznym krajobrazie, pomiędzy Innem a Dunajem, wśród widoków jakby wprost przeniesionych z barokowych obrazów w katedrze Świętego Stefana.

Wyższy poborca celny to stanowisko zacne. Zwłaszcza dla człowieka, który ma jedynie podstawowy stopień edukacji. Alois więc nie narzeka, choć rzecz jasna ambicje miałby większe. Zarabia teraz dwa tysiące sześćset koron rocznie, tyle co dyrektor szkoły, mogłoby być więcej, ale i to dobre! Idzie więc Alois po robocie ulicami miasta, w którym zamieszkał nie tak dawno, bo zaraz po awansie przed dwoma laty, i im bliżej jest domu, tym większe ogarnia go zniechęcenie. Ten rozwrzeszczany tłum! Nie – nie ma na to Alois siły. Te dzieci pętające się pod nogami, te gderające kobiety o obwisłych piersiach i bladych twarzach, ten wszechobecny zapach gówna, mleka, obiadu, prania, tej obmierzłej zwyczajności, tego kieratu, tego męczącego obowiązku, jakim jest rodzina. Aloisowi przecież marzy się życie inne, owszem, też pełne kobiet, ale na Boga, nie tych Hausfrauen z uwieszonymi u cyców bachorami, które wysysają z nich całą energię, całą kobiecość, o szerokich jak Brama Brandenburska waginach, rozciągniętych licznymi ciążami, nietrzymających moczu, nieobciskających już od lat tak jak powinny. O nie, nie u boku takich kobiet Alois chciałby trawić czas. Już on tam sobie wypatrzy zawsze jakąś młodą, giętką i jędrną, taką, co to najlepiej jeszcze nic przez swoje kanały rodne nie przepychała. A w domu tylko smród, wrzask i nerwowość...

Tuż przed Kapuzinerstrasse numer pięć skręca więc szybko w bok i zamiast kierować swe kroki do domu, tak jak pierwotnie planował, rusza nieco na północ. Jedyne dzieci bowiem, których los jest mu nieobojętny, to dzieci królowej. Dostrzega je już z daleka, jak wielkim rojem krążą wokół kwitnącej lipy w oddali, dając złudzenie, jakby drzewo drżało i brzęczało samo z siebie. Mądre pszczoły, użyteczne, piękne stworzenia. Gotowe zawsze do pracy, z jasno określonymi rolami, przynoszące nic tylko pożytek. W przeciwieństwie do dzieci Alois-a, które drażnią go i odstręczają. Stanowczo woli pochylać się, w specjalnym kapeluszu z siatką, nad losem pszczół robotnic, niż nad głowami własnych synów i córek, *verfluchte Kinder!*

Alois spędza przy pszczołach dużo czasu. Postawił im już kiedyś poidło, dokonał przeglądu uli, ocenił siłę rodzin i stan matek. Teraz je nawet trochę podkarmia ciepłym syropem cukrowym. Tak – dla Aloisa prawdziwa rodzina to zdecydowanie ta z pasieki, a nie z Kapuzinerstrasse. Ociągając się, rusza do domu, jednak ostatecznie, zamiast spojrzeć w oczy pokornej Klary, której łagodność męczy go i nuży, wstępuje do szynku.

Nie wylewa za kołnierz, to prawda. Bawarczycy i Austriacy mają we krwi chmiel i basta. Grubo ciosane kufle, co rusz wznoszone w górę, trzaskają o siebie, aż piwo wylewa się i cieknie po ściankach. Podłoga w gospodzie klei się od chmielu i słodu, potężne porcje tłustych golonek

i kielbasy wjeżdżają na stoły i zaczyna się prawdziwe świętowanie dobrze przeżytego dnia. Aloisowi wśród tych atrakcji doprawdy niespieszno do domu. Nie jemu jednemu najwyraźniej. Około północy wytaczają się z gospody ciężkie, opite cielska, w których zachodzą liczne procesy fermentacji, alkohol i czosnek przenikają do potu, gazy wzbierają w jelitach, mężczyźni cuchnący i półprzytomni, ale za to głośni, tłuką się w swoich domach, otwierając drzwiczki kredensu w poszukiwaniu szklanek, by ugasić nadciągające już ogromne pragnienie. A potem zwalają się do łóżek swoim pokornym żonom, takim jak cicha Klara, która w chwili, gdy słyszy pierwsze łupnięcie do drzwi, uspokaja się. Jest, wrócił, tym razem wrócił.

W domu na Aloisa czeka więc w owych czasach właśnie ta miła spokojna Klara – tak dziwnie się składa, że to zarazem Aloisa żona i kuzynka (ale wyszedł z założenia, że nie ma takiej dyspensy, której nie dałoby się załatwić) – jej dwoje pasierbów, Alois junior i Angela (które Alois senior wniósł z dobrodziejstwem inwentarza ze swojego poprzedniego małżeństwa), oraz Adolf, a wkrótce również pojawią się Edmund i Paula. A jeszcze przecież jest służąca Rosalia i ta przygłupia inwalidka, siostra Klary, Johanna. Aloisowi słabo się robi na myśl o tej rodzinie. Tyle gąb do wykarmienia, taki harmider, taki bałagan.

Gdy pada na łożo małżeńskie obok Klary, zasypia natychmiast, aż ściany drżą od potężnego chrapania, jakie wydobywa się z głębi jego przepalonego do cna i przepitego gardła.

Klara nie może zasnąć, leży w tym hałasie i w smrodzie gazów, jakie co rusz wydobywają się z tyłka jej męża, i myśli o tym, co przyniesie nowy dzień. Aloisowi trzeba nowe buty wkrótce sprawić, to okropne, jak szybko im rosną nogi! Klara czuje przepływ myśli przez głowę, to, tamto, siamto, owamto. Zatrzymuje się dopiero na Adiku, jak go czule zwie. Los doświadczy biedną Klarę niemal ponad jej siły. Która kobieta łatwo zniesie śmierć czwórki dzieci? Ocaleli przy życiu Adik oraz Paula (która dopiero się urodzi, po jednej z tych nocy, w których Alois gwałtownie sięga po swoje należne wynikające z obowiązku małżeńskiego). Klara otacza troską i ciepłem zarówno własne dzieci, jak i pasierbów – Aloisa juniora i Angelę. Ale tak naprawdę sedno swojego życia widzi w błękitnych hipnotyzujących oczach Adika. Sama też ma takie spojrzenie, błękitne, jasne, przejrzyste – oczy syn odziedziczył po niej. Gdy Klara zaczesuje gładko do tyłu długie brązowe włosy i ukazuje światu swą pociągłą twarz o regularnych rysach, wszyscy od razu zwracają uwagę na oczy. Jest w nich coś, co przyciąga wzrok. Kiedy Adik podnosi na nią spojrzenie pełne całkowicie odwzajemnianej miłości, ona widzi siebie. Klara chroni dzieci przed gniewem ojca, jest czuła i kochająca, skupiona na swych obowiązkach dobrej

gospodyni, ale zawsze znajduje czas na to, by okazać dzieciom nieco uczucia. Zimno, które przynosi ze sobą Alois, Klara neutralizuje za pomocą swych ciepłych dłoni.

Dom, w którym mieszka cała ta gromada, to budynek wielowiekowy, jak wiele podobnych budowli w centrum starej pięknej Pasawy. Klara myśli czasem o tym, kto mieszkał tu przez ostatnich pięćset lat, i wyobraża sobie tych, którzy przed nią dotykali tych murów, kładli się spać w tych pokojach, smażyli placki i piekli pierniki w kuchni, umierali i się rodziło. Czasami wydaje się jej, że słyszy odgłosy tych cieni z przeszłości, ale najpewniej to tylko hałas, jaki robią dwaj synowie sąsiadów z góry.

Johann i Richard Kuehbergerowie są nieodłącznymi towarzyszami zabaw jej dzieci. Gdy tylko Alois junior wraca ze swojej szkoły mieszczącej się po drugiej stronie Innu (wystarczy, że przejdzie most łączący oba brzegi, i już jest w szkole), dzieci szaleją razem pomiędzy domami starówki albo gonią jak oszalałe nad brzegiem Innu, który dosłownie kilkaset metrów dalej łączy się z toczącym powoli swe wody Dunajem, a Niemcy gwałtownie się kończą i zaczyna się Austria.

Wszystkie dzieci czytają z wypiekami na twarzy powieści Karola Maya o Indianach – ostatni krzyk literackiej mody. Kto nie zna przygód Indianina Winnetou, ten trąba.

Adik i Alois junior oraz bracia Kuehbergerowie biegają więc, czy to deszcz, czy śnieg, nad brzegiem rzeki i imitują pogonie kowbojów i Indian na Dzikim Zachodzie. Może nawet robią sobie łuki z długich patyków obwiązanych na obu końcach sznurkiem, który wystarczy odpowiednio naciągnąć, by strzała popędziła do celu, na przykład prosto w głowę Angeli, która przeszkadza w zabawie i jęczy, żeby ją wziąć do bandy. Jednak dziewczęta na Dzikim Zachodzie nie mają prawa do zabawy, więc Angela z żalem i płaczem jak niepyszna wraca do domu i obrażona na cały świat siada na kamiennych zimnych schodach. Mały Adik mija ją, pędząc w dół, bo jemu akurat wolno będzie dołączyć do zabawy, a nawet gdyby ktoś protestował, to Klara zaraz zrobiłaby z takimś kimś porządek. Adikowi wszystko wolno. Nie ma dla Klary większego skarbu niż Adik i najpierw przyrodnie rodzeństwo, a potem rodzeni brat i siostra dobrze o tym wiedzą. On jest wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju, najbardziej ukochany, i trzeba o niego dbać, i nie sprzeciwiać się jego pomysłom i zarządzeniom. Zresztą gdy tylko ktoś mu się sprzeciwia, Adik wpada w szał – to nawet bywa śmieszne dla starszych chłopców, kiedy widzą, jak ten maluch toczy pianę z ust, z wściekłością miotając gromy na

starszych i silniejszych. Jest w Adiku silne przekonanie, zaszczerpione przez Klarę, że to on ma zawsze rację i jego należy bezwzględnie słuchać.

Gdy Alois wraca z urzędu i słyszy te dzikie wrzaski, natychmiast ogarnia go wściekłość i niewiele trzeba, by w ruch poszła ojcowska różga, mimo zaklinań stroskanej Klary: „Alois, zostaw, to są tylko dzieci”. Ciężka jest ręka ojcowskiej niesprawiedliwości.

Dzieci chętnie więc uciekają z domu nad rzekę. Szaleją całe dnie, tak że gdy wracają umorusane do domu, padają ze zmęczenia.

Tego dnia też odbywają się harce nad Innem. Mimo mrozu i śniegu – a może właśnie z ich powodu. Dla dzieci śnieg to sama radość. Trwa zabawa w berka. O wiele trudniejsza teraz, gdy bruk i zbocza rzeki pokryte są warstwą białego puchu i lodu, który tkwi pod nim, niż latem, gdy buty na skórzanych podeszwach się nie ślizgają. Ale jest zabawa i śmiech, i wesołe okrzyki. Dzieci biegają co sił w małych nogach. Biedny Adik – najmłodszy – jest trochę bez szans, ale zaciska zęby i biegnie, goniąc starszych z zawziętością i uporem godnym lepszej sprawy. Chłopaki zwodzą go ze śmiechem. Adik rozpędza się i nagle potyka o własne nogi. Traci równowagę, przewraca się i turla prosto do zamarznętej rzeki. Od uderzenia pęka cienki w tym miejscu lód i chłopczyk wpada do wody. Lodowaty, potwornie silny prąd Innu, płynącego tu prosto z gór, porywa wątłe ciało dziecka. Adik macha rękami w panice, czując, jak rzeka zagarnia go coraz bardziej. Nie potrafi pływać, woda jest przeraźliwie zimna, chłopiec chlapie, młóćąc rękami, i usiłuje się dostać w stronę bliskiego przeciw brzegu, ale woda zalewa mu głowę, wypełnia usta, i Adik krztusi się, opadając coraz głębiej i słabnąc. Wówczas dzielny mały Johann Kuehberger, mimo że to śmiertelnie niebezpieczne, spieszy na ratunek sąsiadowi z dołu, szybko zrzucając tylko buty, żeby go nie pociągnęły na dno. W ubraniu skacze do rzeki, z krzykiem, gdyż i jego poraża lodowata woda. Widzi wynurzającą się w pobliżu głowę dziecka, która pewnie już za chwilę przestanie się wynurzać, gdy silny prąd porwie ciało dalej. Nie daj Boże, by odpłynął tam, gdzie zielonkawe, wzburzone jak górski potok wody Innu łączą się z powolnym, żółtym od łu Dunajem. Tam, na styku dwóch rzek, w wirach i falach, nie czeka nic prócz śmierci. Johannowi pracuje każde włókno mięśniowe w udach i przedramionach, młóci wodę rękami jak wiosłem, nie czuje strachu, ma w sobie tylko determinację. Dopada małego Adika, który jest już prawie nieprzytomny, i ostatkiem sił chwyta go i płynie, pokonując nurt rzeki. Gdy wyciąga chłopca na ośnieżony brzeg, Adik leży bez życia. Jednak po chwili krztusi się i wyrzuca wodę, której się nałykał w trakcie tych paru mrożących krew w żyłach chwil.

Johann, zdyszany, też opada na ziemię i trzęsie się cały z zimna i przerażenia. Doskakują do nich pozostali, którzy z brzegu obserwowali całe zajście. Johann podnosi głowę i patrzy na zdradziecki nurt rzeki. Jeszcze chwila, a ten biedny mały chłopczyk zginąłby w zimnych odmętach. Johann jest z siebie dumny. Inni poklepują go po plecach i mówią: „Dobra robota, Johann, zasłużyłeś na medal!”.

Choć chłopcy nie zamierzają chwalić się tym wyczynem, by uniknąć kary za niebezpieczne i głupie zabawy nad rzeką, trudno jest zachować w tajemnicy bohaterski czyn Johanna. O jego akcie odwagi napisze dziennikarz z „Donauzeitung-Danube”. Mały Johann, mały, ale dzielny!

Johann wyrośnie na człowieka utalentowanego. Zostanie duchownym, w pasawskiej katedrze każe zbudować największe w owym czasie organy na świecie, będzie wirtuozem gry na tym instrumencie. Po latach opowie swemu następcy, organiście Maxowi, o wydarzeniu ze stycznia 1894 roku, kiedy to uratował życie tonącemu koledze.

– Przekłeta niech będzie na wieki twoja odwaga, Johannie, organisto z Pasawy – rzekł mu ów człowiek, odwracając wzrok.

Gdyby nie szlachetne wychowanie, jakiemu poddano małych Kuehbergerów, zimne wody rzeki Inn zabrałyby to dziecko, które potem, martwe już i sine, wyłowiliby ludzie gdzieś z przybrzeżnych szuwarów. Biedna Klara Hitler opłakałaby śmierć swego kolejnego, ukochanego najbardziej ze wszystkich dziecka, może i wpadłaby w głęboką depresję, może i sama pożegnała się z życiem, Alois pewnie wzruszyłby ramionami, nieco zasmucony, ale bez przesady, wody Innu i Dunaju płynęłyby jak zawsze, odsuwając w pamięci owo przykre i tragiczne wydarzenie coraz dalej i dalej, aż w końcu nie ostałoby się po nim nic prócz małego grobu na pasawskim cmentarzu. Nie byłoby więc *ein Reich, ein Führer* ani krematorium w Auszwicu, ani luminalu w szpitalu w Lublińcu, ani duchów na Muranowie. Chyba.

Gdy tylko za Karoliną zamykają się bezszelestnie drzwi windy, w norymberskim muzeum zabawek zapada cisza. Stare lalki, sparciałe misie, odrapane konie na biegunach, spowite nią jak miękkim tiulem, ozywają. Jak zawsze, gdy wychodzimy z pokoju – przecież każdy czekał w życiu choć raz na to, że je przyłapie. Mała mównica z czarnym hakenkreuzem też zaczyna się trząść od walenia w nią zabawkową pięścią. „*Ein Reich, ein Führer!* – wrzeszcza groteskowo cienkim głosem usta pod ciemnym wąsikiem. – Dziś zarządzam dwie ważne rzeczy – wykrzykuje do swych podwładnych, pochylonych w służalczych pozach, odzianych w przyciasne mundurki uszyte z resztek filcu. – Po pierwsze – woła piskliwie – zarządzam

obowiązkowe zajęcia z pływania i nurkowania dla wszystkich uczniów i studentów. Nie może być tak, żeby młody obywatel wiecznej Rzeszy Niemieckiej nie potrafił radzić sobie z tym żywiołem, jakim jest woda! Nie może być tak, że aryjscy chłopcy i dziewczęta w obliczu morskich fal, toni jeziora czy rwących prądów rzeki będą czuć strach. Że się wycofają, że nie wskoczą na główkę, że się nie rzucą ku chwale naszej ojczyzny i mojej. Od dziś, bo oto składam właśnie stosowny podpis na dokumentach, zajęcia pływackie będą obowiązkowe dla wszystkich!” – Zabawkowy wódz wali pięścią w mównicę i schodzi z niej sprężystym krokiem.

„A drugie zarządzenie, mein Führer?” – służalczo podsuwa zabawkowy Göring.

Wódz jednak nic nie odpowiada, spogląda tylko groźnie na swojego ministra, który kłania się nisko i odchodzi nieco na bok, w stronę makiety bombowca. Wódz, uratowawszy wydanym właśnie zarządzeniem setki, jeśli nie tysiące istnień ludzkich od śmierci w odmętach rzek, poprawia mundur i wsiada do zabawkowego daimler-benza. Po czym kieruje się na Wschód.

Makieta hotelu Grand w Zoppot musi być powodem do dumy dla jej twórcy. Misterna, koronkowa robota budzi zachwyt wrażliwego wszak na sztukę Wodza. Lubi on cieszyć oczy tym, co piękne – sztuka, kobiety, krajobrazy.

Hotel Grand, chroniony niczym twierdza przed atakami tych *verfluchte polnische Schweine*, pełen jest dziś nazistów. Doktor Karl Brandt, doktor Leonardo Conti i Philipp Bouhler – wszyscy stawili się na wezwanie. Dzień jest zimny, październikowy, ale w sercach nazistów ogień – wojna trwa i ma się coraz lepiej, już wkrótce przestrzeń życiowa dla rasy panów zostanie otwarta.

– Panowie, w tej sprawie właśnie się tu spotykamy – mówią usta pod czarnym wąsikiem, z typową dla siebie charyzmą i mocą, aż Morze Bałtyckie zaczyna ciszej szumieć pod stalowym niemieckim niebem, by dać lepiej wybrzmieć każdej doskonale wyartykułowanej sylabie. – Jak wam, panowie, wiadomo, osiemnastego sierpnia nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało okólnik, w którym zarządzono, aby akuszerka, która pomagała przy narodzinach dziecka, także w przypadku, gdy do porodu wezwano lekarza, składała meldunek we właściwym dla miejsca urodzenia dziecka urzędzie zdrowia, jeśli zachodzi podejrzenie, że dziecko jest dotknięte następującymi ciężkimi wrodzonymi wadami. – Tu Wódz sięgnął po notatkę podsunętą mu przez alabastrową figurkę sekretarki, za której idealnym ciałem wodzili oczami wszyscy zgromadzeni wokół Wodza panowie. Wódz odchrząknął i odczytał listę. – A zatem mamy tu idiotyzm oraz mongolizm, w szczególności przypadki związane ze ślepotą i głuchotą,

małogłowie, czyli nieproporcjonalnie małe rozmiary czaszki, zwłaszcza części mózgowej – wyjaśnił – wodogłowie wysokiego bądź zaawansowanego stopnia, ułomności wszelkiego rodzaju, a głównie brak całych kończyn, ciężkie deformacje głowy i rozszczepienia kręgosłupa, wreszcie porażenia, włącznie z chorobą Little’a.

Panowie czynią notatki w mikroskopijnych notatnikach, kiwają ze zrozumieniem głowami, gdy Wódz podsumowuje:

– Krótko mówiąc, zamierzam zlikwidować na terenie Niemiec wszystkich chorych umysłowo, co niewątpliwie wpłynie korzystnie na czystość naszej świętej krwi niemieckiej.

Doktor Conti patrzy znad notesiku, wygląda na zafrasowanego...

– Wodzu, ale czy aby na pewno możemy połączyć jedno z drugim? Nie widzę naukowego uzasadnienia, mimo wszystko.

Wódz wysłała stalowe sztylety spojrzenia w stronę doktora i ten milknie.

Doktor Brandt tymczasem wstaje i głośno dzieli się swymi przemyśleniami.

– Panowie, Wodzu, jednak niezależnie od rozważań o rasie, jakże wielkie obciążenia musi ponosić społeczeństwo w związku z utrzymywaniem ludzi nieuleczalnie i śmiertelnie chorych.

Wódz podchwytuje wątek.

– Silniejszy gatunek będzie przepędzał gatunek słabszy, ponieważ dążenie do życia w ostatecznej formie wciąż na nowo łamać będzie wszystkie śmieszne kajdany tak zwanej humanistycznej jednostki, aby w to miejsce pozwolić humanitaryzmowi natury zniszczyć to, co słabe, i ofiarować miejsce silniejszemu. Panowie doktorzy i ty, zacny Phillipie, wiecie o tym, że rok temu zdarzyło się coś, co pozwoliło mi na głęboki namysł nad ową sprawą. – Nagle wstaje od stołu i podchodzi do zabawkowego okna, za którym szumi cicho zrobiony z jedwabiu Bałtyk.

– Ojciec dziecka o nazwisku Knauer zwrócił się do mnie listownie z prośbą o zgodę na łaskawą śmierć dla tego nieszczęsnego stworzenia. Dziecko Knauera, znajdujące się wówczas w klinice profesora Catela w Lipsku, na moją prośbę zbadał doktor Brandt. I wyraził zgodę na jego śmierć. Beznadziejny przypadek potworka urodzonego bez nogi, bez przedramienia, ślepego jak kret i z wrodzonym idiotyzmem, nie mógł pozostać obojętny naszemu sercu. Rozpatrzyłem wniosek pozytywnie, dziecko zostało pozbawione swego bezwartościowego życia zastrzykiem z trucizną.

– Wódz sięgnął po filiżankę wielkości naparstka i pociągnął z niej łyk herbaty. – Uważam, że jest nonsensem, aby chorzy psychicznie, niebezpieczni dla siebie i innych, byli utrzymywani przy życiu kosztem wielkich wysiłków narodu. Obciążenie finansowe związane

z utrzymywaniem osób cierpiących na choroby psychiczne stanowi groźbę dla państwa i całego społeczeństwa.

Doktorzy przy stole nie mogą zaprzeczyć.

– Panowie, rozszerzamy uprawnienia lekarzy tak, by po przebadaniu chorego byli w stanie, jeśli uznają to za konieczne, zastosować łaskę śmierci.

Doktor Brandt wyciąga z kieszonki swego białego fartucha lekarskiego maleńką ulotkę i pokazuje zebranym – zdjęcie debila na wózku inwalidzkim, istoty nic niewartej i budzącej odrazę, oraz podpis, krzyczący wielkimi literami: „60 000 reichsmarek kosztuje społeczeństwo przez całe swoje życie ten chory na chorobę dziedziczną. Towarzyszu, to są także twoje pieniądze. Twórzcie nowy naród!”.

– Brawo, Brandt. – Wódz poklepuje lekarza po plecach. – Twórzmy nowy naród – mówi i spogląda w dal.

Do muzeum zabawek w Norymberdze wpada tymczasem wycieczka dzieci. Robi się gwarno i tłoczno. Wódz i jego świta natychmiast zajmują swoje strategiczne pozycje, na mównicy i wokół niej. Herbata w mikroskopijnych filiżankach stygnie na stoliku w apartamencie hotelu Grand nad Bałtykiem.

Dzieci o twarzach czarnych, o skośnych oczach, w jarmułkach i w chustach, zagląдают do kolejnych witryn, ekscytując się widokiem domków dla lalek albo gigantycznych kolejek elektrycznych. Gadają do siebie po niemiecku, śmieją się i przepychają.

Karolina, Sebastian i znów płacząca Małgosia idą w kierunku hotelu, może mała uśnie, może jak się wyśpi, będzie w lepszym humorze, bo teraz to naprawdę odechciewa się mieć dzieci, patrząc na jej popisy.

Od autorki

Ta książka jest fikcyjną historią osób, które pojawiły się pewnego dnia w mojej głowie. Jednak wiele opisywanych w książce postaci i wydarzeń ma swój pierwowzór w rzeczywistości. Postać profesor Luben jest inspirowana tandemem lekarskim, prowadzącym w czasie drugiej wojny światowej swą zbrodniczą działalność w szpitalu dla chorych psychicznie w Lublińcu. Doktorzy Elisabeth Hecker i Ernst Buchalik za zbrodnie popełnione na niewinnych dzieciach – pacjentach lublinieckiego szpitala – nigdy nie ponieśli żadnej kary, dożywając swych dni w spokoju, jako szanowani obywatele Republiki Federalnej Niemiec. Podobnie rzecz miała się z wieloma innymi lekarzami, którzy uniknęli kary w powojennych Niemczech. Problem denazyfikacji i odpowiedzialności za zbrodnie wciąż pozostaje otwarty, bo wielu ludzi uciekło przed sprawiedliwością.

Akcja T4, skierowana przeciw najslabszym – dzieciom i ludziom chorym – była – o czym dziś zupełnie zapomniano – strasliwym preludium do Holocaustu, swego rodzaju ćwiczeniem gotowości bojowej, próbą generalną do Ostatecznego Rozwiązania. Wspominając wszystkie ofiary reżimu hilerowskiego, powinniśmy zawsze pamiętać i o tej zbrodni. Wiele jej ofiar do dziś pozostało bezimiennymi.

Jestem dzieckiem lekarskiej rodziny. Mój dziadek Jan Tadeusz Dziewit i moja babcia Anna Podstawka-Dziewit należeli do tych lekarzy, którzy zapisali się w pamięci swoich pacjentów jako ludzie gotowi do poświęceń dla innych. Ja też ich takimi pamiętam z czasów, gdy pracowali zawodowo. Medycyna postrzegana przez ich pryzmat była dla mnie zawsze tą jasną stroną nauki, a szpital miejscem, w którym między innymi dzięki ich pracy ludzie wracali do zdrowia. Być może z niezgody na postawienie medycyny po stronie mroku zrodziła się ta powieść.

Przytoczony w rozdziale o Rysiu tekst przysięgi Hipokratesa, po doświadczeniu drugiej wojny światowej i niechlubnej roli medycyny w wydarzeniach, do jakich doszło pomiędzy 1939 a 1945 rokiem, został zmieniony podczas Zjazdu Światowej Organizacji Lekarzy w Genewie w 1948 roku – opracowano jego nowożytną wersję, wielokrotnie zresztą jeszcze zmienianą i uzupełnianą. Obowiązujące w Polsce Przyrzeczenie Lekarskie, które jest częścią Kodeksu Etyki Lekarskiej, nawiązuje w swej formie do Deklaracji Genewskiej.

Pisząc tę książkę, korzystałam z bardzo wielu źródeł, szukając wiedzy o tamtych czasach w różnych archiwach i dokumentach.

Poniższy spis nie jest więc bibliografią, to jedynie wskazówka dla tych, którzy chcieliby zagłębić się w tę niełatwą tematykę. A także moim podziękowaniem dla autorów, którzy weszli do świata, gdzie nie da się wejść – co po napisaniu książki już wiem bardzo dobrze – bez konsekwencji dla siebie samego.

Bernhard Thomas, *Autobiografie*, Czarne, Wołowiec 2013.

Black Edwin, *Wojna przeciw słabym*, Muza, Warszawa 2004.

Dagerman Stig, *Niemiecka jesień*, Czarne, Wołowiec 2012.

Kąkolewski Krzysztof, *Co u pana słyhać?*, Zysk i S-ka, Poznań 2010.

Kuryluk Ewa, *Goldi*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.

Lem Stanisław, *Szpital przemienienia*, Agora, Warszawa 2008.

Mikulski Jan, *Medycyna hitlerowska w służbie III Rzeszy*, PWN, Warszawa 1981.

Miller Alice, *Zniewolone dzieciństwo*, Media Rodzina, Poznań 2007.

Miller Martin, *Prawdziwy dramat udanego dziecka*, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2014.

Nasierowski Tadeusz, *Zagłada chorych psychicznie*, Enteia, Warszawa 2013.

Nowak Włodzimierz, *Obwód głowy*, Czarne, Wołowiec 2007.

Rosmus Anne Elisabeth, *Out of Passau. Leaving a City Hitler Called Home*, Open Road Integrated Media, New York 2013.

Spitz Vivien, *Doktorzy z piekła rodem*, Replika, Zakrzew 2009.

Sterkowicz Stanisław, *Nieludzka medycyna. Lekarze w służbie nazizmu*, Medyk, Warszawa 2007.

Cień mojej młodości. Wspomnienia dzieci i młodzieży z przymusowych robót w III Rzeszy, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1979.

Podziękowania

Dziękuję Marcinowi i naszym dzieciom za to, że wytrzymali pisanie tej książki i wybaczeni mi moją nieobecność ciałem i duchem. Marcin – Twoje wsparcie daje mi ogromną siłę.

Dziękuję Magdalenie Michalskiej, mojej ukochanej ciotce, której duch opiekuńczy czuwał nade mną podczas pisania.

Dziękuję Monice Mielke – najlepszej redaktorce, która swoją wrażliwością, ogromnym doświadczeniem i mądrością wspierała mnie cierpliwie.

Dziękuję Kubie i Kasi Wende, a także wspaniałej Wiesi Bielawskiej-Osewskiej – za możliwość zaszywania się u nich na końcu świata i pisania w spokoju.

Dziękuję wspaniałemu zespołowi wydawnictwa Wielka Litera.

Specjalne podziękowania także dla Magdy Parys, Dominika Rutkowskiego i Pawła Bravo oraz dla Remigiusza Grzeli i Anny Miszewskiej.

Dziękuję wreszcie Pawłowi Szwedowi, że zaryzykował.

Bevitore

Góra Tajget

Spis treści

[Motto](#)

[***](#)

[Sebastian](#)

[Gertruda](#)

[Zefka](#)

[Ryszard](#)

[Adik](#)

[Od autorki](#)

[Podziękowania](#)